

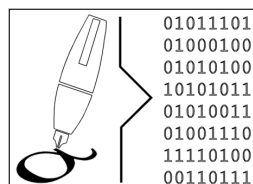
MARGIT SANDEMO

SAGA O CZARNOKSIĘŻNIKU

TOM 5

PRÓBA OGNI

Przełożyła: Anna Marciniakówna



Tytuł oryginału:

Oversatt etter: Ildproven.

Data wydania polskiego: 1996 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1992 r.

Księgi złych mocy

Przyczyna wszystkich dziwnych i przerażających wypadków, przez jakie musiała przejść pewna młoda dziewczyna z zachodniego wybrzeża Norwegii na przełomie siedemnastego i osiemnastego wieku, zawiera się w trzech księgach zła, dobrze znanych z najbardziej mrocznego rozdziału w historii Islandii.

Księgi pochodzą z czasów, gdy w Szkole Łacińskiej w Holar, na północy Islandii, rządził zły biskup Gottskalk, czyli z okresu pomiędzy latami 1498 a 1520. Biskup uprawiał prastarą i już wtedy surowo zakazaną czarną magię; Gottskalk Zły nauczył się wiele o magii w osławionej Czarnej Szkole na Sorbonie.

Szkoła Łacińska w Holar była za panowania Gottskalka tak niebezpieczna, że macki zła rozciągały się stamtąd zarówno w czasie, jak i w przestrzeni; żądza posiadania owych trzech ksiąg o piekielnej sztuce rozpałała się w każdym, kto o nich usłyszał. Ani jedna dusza nie pozostała wobec nich obojętna.

Zresztą... Aż do naszych dni przetrwała ich ponura, budząca lęk sława.

Owa młoda dziewczyna, mieszkanka Norwegii, Tiril, była z niewiadomych powodów tropiona przez nieznanymi mężczyzn. Z pomocą przyszedł jej czar-noksiężnik Móri, który poszukiwał ksiąg złych mocy. Wkrótce jednak oboje uświadomili sobie, że istnieją głębsze motywy pościgu za dziewczyną, ślady wiodły coraz dalej w przeszłość. Starając się uratować Tiril, musieli podążać za tymi śladami.

Niebawem dotarli do bardzo interesujących informacji o pochodzeniu Tiril, a także odnaleźli jej matkę. Natrafili na fragmenty jakichś tajemniczych słów: ERBE i UFER, IMUR, STAIN ORDOGNO oraz DEOBRIGULA, i znaleźli relief przedstawiający baśń o morzu, które nie istnieje, a także znak w kształcie słońca otoczonego promieniami.

Nie dowiedzieli się natomiast, że ci, którzy nękają Tiril, a teraz także jej mat-

kę, są wysłannikami rycerskiego Zakonu Świętego Słońca. W trakcie poszukiwań obu kobiet Zakon utracił wielu rycerzy, co wzbudziło straszliwy gniew Wielkiego Mistrza.

Mistrz Zakonu posiadał księgę podobną do „Rödskinny”, jednej z islandzkich ksiąg magicznych.

„I chociaż mój mózg spowiła ciężka mgła,
Leżałem nie śpiąc, w myślach pogrążony,
Widziałem, jak płomień na świeczniku drga,
Jak pełga i gaśnie śmiertelnie rażony,
I jeszcze rozbłyska sił ostatkiem,
Widziałem daleką gwiazdę nocą ponad światem”.¹

¹Fragment pierwszej części poematu „Sny w Hadesie”, którego autorem jest Gustaf Fröding, wybitny szwedzki poeta żyjący w latach 1860-1911. Poemat ten wywarł wielki wpływ na Margit Sandemo i miał dla niej ogromne znaczenie w okresie pisania „Sagi o Czarnoksiężniku”.

Rozdział 1

Rozedrgane ogniki, chybotliwe światełka, latarnicy...

Wszystko porusza się w nieustannym tańcu, w letni wieczór płomyki pełgają po bagnach i mokradłach. Wabiają na manowce człowieka, przekonanego, że małe światełka zapala ludzka dłoń.

Wyprowadzają wędrowca daleko na bagienne bezdroża, kierują jego kroki na zdradliwe ścieżki, a potem porzucają, by zapadł się na zawsze w oparzelisko, gdzie z czasem jego ciało samo przemieni się w takie niebieskie ogniki, zapalające się w ciche, nastrojowe wieczory.

„Czy nikt nigdy nie nadejdzie, czy nie pojawi się ten wyczekiwany? Przez setki lat świecimy tutaj, straszymy, czarujemy te człowiecze dzieci. I czekamy od wieków na jednego jedynego. Na tego, który się nami zajmie. Ukoi naszą udrekę.

Czekamy.

Czekamy...”

Tiril leżała spokojnie i patrzyła, jak w srebrnym świeczniku na nocnej szafce powoli dogasa płomień. Mogła wyciągnąć rękę i zdusić go, ale nie chciała. To fascynujące przyglądać się dramatycznej walce konającego światła. Myśli dziewczyny płynęły w rozmarzeniu daleko, od troski o przyszłość ku zdziwieniu, jacy mili są dla niej najbliżsi.

Móri... że też on mógł się zakochać w kimś tak pospolitym jak Tiril! Czy naprawdę zasłużyła sobie na jego miłość? Kiedy on się nareszcie znudzi i porzuci ją?

No a matka? Przecież musi się czuć rozczarowana córką, która nie odznacza się niczym szczególnym, ani w wyglądzie, ani pod względem zdolności.

Ale przecież oboje ją kochają! Okazują jej to każdego dnia, każdej godziny!

Kiedy myślała o Mórim, o tym, że leżał w jej ramionach i szeptał jej do ucha cudowne słowa miłości, że chciał być z nią, jej serce zaczynało bić mocno, podniecone. Znowu rozpaczliwie tęskniła za jego bliskością.

Ogarnięta nagłymi, wyrzutami sumienia pomyślała jednak: Ale ja jeszcze nie chcę mieć dziecka, jeszcze na to za wcześnie! Móri i ja musimy trochę побыć sami ze swoją miłością. I wcale też nie czuję się dojrzała do macierzyństwa, nie

pragnę potomka, nie znajduję w sobie macierzyńskiego instynktu, na myśl o ciąży ogarnia mnie niechęć.

Był jednak również inny powód, dla którego miała nadzieję, że alarm okaże się fałszywy. Ona i Móri byli okropnie nieostrożni. Przez cały czas myśleli o własnym szczęściu, wierzyli uspokajającym zapewnieniom niewidzialnych towarzyszy Móriego, że jeśli się pobiorą, nie stanie się nic złego.

Im nie, oczywiście! Ale czy ona lub Móri pomyśleli o tym trzecim, które mogło być zamieszane w ich sprawy?

Śmiech podążających za nimi krok w krok niewidzialnych istot wciąż brzmiał w jej uszach. Z czego się tak śmieją, skoro obiecali jej i Móriemu bezpieczeństwo? Ta myśl ją przerażała.

Daleko na południu znajdował się ktoś, kto również się martwił, ale z całkiem innych powodów.

Skąpe wiązki słonecznego światła przedzierały się przez chropowatą powierzchnię małych szybek. Mury były grube, nisze okienne głębokie. Niewiele zostawało ze słonecznego blasku, kiedy promienie padały w końcu na szerokie deski podłogi.

Pokój był mroczny, ale wytworny. Krzesła w stylu saksońskim, barokowa szafa, wykwintne drewno, które pociemniało przez lata, wszystko świadczyło o bogactwie tego domu. Z zewnątrz docierały przyciszone odgłosy wielkiego portu, głośno wykrzykiwane polecenia, skrzypienie żurawi, łoskot ciężkich beczek spadających na kamienną keję.

W pokoju powietrze było aż ciężkie od podniecenia i frustracji.

Brat Lorenzo, najbliższy człowiek Wielkiego Mistrza, był wściekły z powodu zadania, jakie mu przydzielono.

Zawsze bardzo dbał o swoją godność i może nawet jeszcze bardziej o swoją wygodę. Jego wysoka pozycja w Zakonie Świętego Słońca pozwalała mu decydować, gdzie będzie mieszkał, a on wybrał kraj słońca i ciepła, gdzie winorośl ozdabia okna, wina zaś można mieć w dzbanach, ile się tylko zapagnie.

I oto teraz Mistrz, chłodno i z pełną świadomością, a także nie bez odrobiny satysfakcji, polecił mu jechać do zimnej, barbarzyńskiej Skandynawii i pozbawić życia jakąś zupełnie nic nie znaczącą kobietę! Zadanie raczej dla któregoś nędznego nowicjusza w Zakonie, proste aż do obrzydzenia.

Lorenzo, niewysoki mężczyzna o szerokiej, zdradzającej brutalność twarzy, ze złością wrzucił do kufra ciepły sweter. Żona mu go przyniosła, przekonana, że w tych dalekich zimnych krajach będzie go potrzebował. On też o tym wiedział, żona nie musi takich rzeczy podpowiadać. Ale zdawało mu się, jakby żona nakłaniała go do tej podróży. Popędzała go. Jego, głowę i patriarchę w zamożnym kupieckim domu!

Nikt w rodzinie nie miał pojęcia o jego osłoniętej największą tajemnicą przynależności do Zakonu. Wrócił właśnie do domu z wielkiego spotkania w tajemnej siedzibie Zakonu głęboko pod ziemią. Spotykali się tam wszyscy dwa razy w roku. Musieli odbywać długą podróż, ale czynili to bez szemrania. Przybywali z całej Europy, wszyscy Wybrani, by czcić Słońce i prosić je o błogosławieństwo. Oczywiście nie to słońce gorejące na firmamencie, lecz ich tajemnicze Słońce, które znali tylko oni sami.

W przerwach pomiędzy spotkaniami utrzymywali kontakty listowne, odwiedzali się nawzajem, albo — lecz to dotyczyło jedynie Wielkiego Mistrza — porozumiewali się poprzez telepatycznie wysyłane dekrety i polecenia.

No i teraz właśnie Lorenzo otrzymał polecenie.

Księżna Theresa Holstein-Gottorp, z Habsburgów. To ją należało zgładzić.

Takie zero, kompletne nic.

No cóż, zadanie jest nadzwyczaj proste. Brat Lorenzo był mimo wszystko wdzięczny, że nie będzie musiał rozprawić się z tą młodszą, z Tiril Dahl. To by dopiero było upokarzające, polować na dziewczynę z gminu! Ktoś jego pokroju?

Promień słońca padł na starannie wypolerowany nosek jego buta. Lorenzo uniósł głowę i stał przez chwilę z płaszczem podróżnym w ręku. Oczy tkwiły głęboko pod ściągniętymi brwiami.

Dziewczyna pozbawiona jakiegokolwiek znaczenia, a mimo to stoi za nią jakaś diabelska siła. Pobożny Lorenzo znał tylko jedną złą siłę, nie był w stanie wyobrazić sobie innego przeciwnika niż diabeł.

Iluz to rycerzy Zakonu Świętego Słońca utraciło życie z jej powodu?

Georg Wetlev. Mondstein. Heinrich Reuss von Gera. Hańbiąca śmierć! Potężny Horst von Kaltenhelm żył co prawda, ale w jakim stanie?

Niepojęte!

Tak wielkiej siły nie posiada żadna kobieta, nie może jej posiadać! Kobiety to istoty pozbawione wartości! Nie powinny były zostać stworzone!

A w ogóle...

Lorenzo ponownie przerwał swoje przymusowe pakowanie. Szkoda, że nie mógł być przy tym, kiedy Heinrichowi Reussowi wymierzano najwyższą karę! Chętnie by popatrzył na upokarzającą, zadawaną w wymyślnych torturach śmierć. Lecz dla uczestników spotkania — siedem razy po trzech rycerzy — nadszedł czas przełomu, choć teraz ich liczba została zredukowana do siedemnastu, tak że trzeba zdobyć nowicjuszy, by hierarchia mogła być zachowana.

Teraz nadszedł też czas przełomu dla Lorenza, musiał wyjechać z pięknej Genui na północnym wybrzeżu Italii.

Pełen uzasadnionych skarg i żalów rozpoczynał Lorenzo swoją wyprawę na północ. Służący załadowali jego skrzynie i kufry na statek, który miał go prze-

wieść przez Gebel al Tarik¹ i dalej przez niebezpieczne Biskaje ku nieskończeniu dalekim duńsko-niemieckim brzegom Szlezwika-Holsztynu. Bracia zakonni bowiem nie nadążali za częstymi i pospiesznymi przeprowadzkami księżnej i byli przekonani, że znajduje się ona nadal w zamku Gottorp, jak przystoi pogrążonej w żałobie wdowie.

Wielki Mistrz obiecał pomóc Lorenzowi przez wywarcie z oddali psychicznej presji na tę nędzną kobietę. Ale Mistrz wyrażał się ze znacznie mniejszym niż zwykle entuzjazmem na temat tej swojej niezwyklej umiejętności. Może w nią wątpił? Nie, to z pewnością niemożliwe! Czyż nie sprowadził tym sposobem do siebie Heinricha Reussa? To prawda, sprowadził, Tiril Dahl jednak nie przybyła na jego uporczywe wołania.

Ta okropna, nic nie znacząca dziewczyna naprawdę ma związki ze złymi siłami. Brat James powiedział o niej: „A damsel of no importance”, i miał rację.

A przecież ścigano ją od wielu lat, czynił to cały rycerski zakon.

Strażnicy Świętego Słońca.

Na myśl o Słońcu, tej złocistej, promiennej kuli, dreszcz pomieszanej z lękiem rozkoszy przeniknął brata Lorenza. Słońce, cel, a zarazem środek.

W ciągu dziejów istniało wiele ezoterycznych zakonów. Były zakony żyjące w klasztorach, jak franciszkanie i cystersi, oraz zakony rycerskie, jak joannici, templariusze, krzyżacy i wiele, wiele innych, mniej znanych. Wszystkie przeznaczone dla mężczyzn, rzecz jasna. Większość z nich pochodzi z czasów wypraw krzyżowych i wyrosła z chrześcijaństwa. Lecz Zakon Świętego Słońca nie ma z chrześcijaństwem nic wspólnego. Jest zgromadzeniem bardzo starym, a prawdziwy jego wiek zna chyba tylko sam Wielki Mistrz. Bracia zakonni, rycerze, jak lubią siebie nazywać, pochodzą z różnych krajów. To niezbędne, skoro chcą osiągnąć ten niewypowiedziany cel, do którego wszyscy dążą. Trzeba zbierać informacje w różnych stronach świata. Bowiem wszędzie pozostały teraz już tylko szczątki pierwotnej wiary.

Ich ezoteryczne umiejętności odnoszące się do zagadek ziemi są ogromne. Jest to wiedza, którą dziedziczą po dawno minionych czasach, teraz już żaden z nich nie wie, jak odległe to czasy. Ale wielka tajemnica, którą znają tylko bracia zakonni, tajemnica Słońca, jest tą siłą, która pcha ich z gwałtowną, przerażającą energią do poszukiwania dwóch ostatnich brakujących fragmentów.

Dlatego trwa ów nieustanny pościg za nic nie znaczącą Tiril Dahl.

Dlatego teraz ścigana jest również jej matka.

Theresa von Holstein-Gottorp, z domu Habsburgów, jest w gruncie rzeczy nieistotnym ogniwem. Ale mogłaby, najzupełniej przypadkowo, stać się groźna. Dlatego musi zostać wyeliminowana.

Tiril natomiast wprost przeciwnie. Tiril jest groźna. Od wielu lat poszukiwano

¹Cieśnina Gibraltarska (przyp. tłum.).

jej bezskutecznie i w końcu znalazła się w Bergen. Ale później raz po raz wysłizgiwała im się z rąk.

Muszą ją pochwycić. Żywą. I to jak najszybciej. Teraz czas zaczyna naglić.

Wielki Mistrz był jedynym, który trzymał w ręku wszystkie wątki tajemnicy, z wyjątkiem owych dwóch, znajdujących się u Tiril. Wszystkie pozostałe jednak należały do niego. Strzegł ich pożądliwie i nie chciał się podzielić nawet częścią swej wiedzy ze współbraćmi. Teraz jednak zaczynał się starzeć. Mógł żyć jeszcze co najwyżej dwadzieścia lat. Ale wtedy będzie bardzo stary, nawet potwornie stary.

Jak dalej tak pójdzie, to zabierze tajemnice ze sobą do grobu.

Dlatego wszystko musi się stać jeszcze za jego życia.

Rycerze zakonni rozmyślają oczywiście o buncie. Rozważają, czy by go nie zmusić do wyjawienia prawdy, do przekazania jej komuś młodszemu.

Na przykład mnie, bratu Lorenzo, powtarzał w myślach nieszczęsny podróżnik, przewieszony przez reling statku, dręczony morską chorobą na stosunkowo dziś spokojnym obszarze Biskajów.

Z całego serca i żołądka pragnął teraz znajdować się znowu na lądzie, ale też nie opuszczało go poczucie, że życzyłby sobie być członkiem Zakonu, któremu okazywano by więcej zaufania. Tak jak bratankowi Wielkiego Mistrza. Chodziło nie o to, że ów bratanek wiedział specjalnie dużo, ale o to, że Wielki Mistrz był z nim wprost obrzydliwie szczery. Pewnego dnia Lorenzo będzie musiał coś z tym zrobić. Może nasypie, na przykład, bratankowi czegoś do wina?

Bo przecież najwyższym rangą po starcu był właśnie Lorenzo. I nikt nie ma prawa wciskać się pomiędzy niego a Wielkiego Mistrza!

Żebyż tak można było wydobyć prawdę z tego starca! Poznać tajemnicę.

Tylko że nikt nie miał prawa powstać przeciwko Wielkiemu Mistrzowi. Jeden z rycerzy zakonu tak uczynił. Próbował wyciągnąć wszystko od Mistrza. Najpierw pochlebstwem i ostrożną przebiegłością. Próbował przekonywać, że w razie odejścia Mistrza bracia zakonni pozostaną bezradni.

Okazało się jednak, że była to głupia taktyka. Mistrz nie chciał słyszeć o niczym, co nastąpi po jego odejściu.

Dlatego niecierpliwy brat zakonny spróbował czegoś, co można określić jako metodę nacisku. Dawał do zrozumienia, że w razie czego można będzie sięgnąć nawet do tortur.

Nigdy nie powinien był tego robić. Przerażony Lorenzo (który w gruncie rzeczy sprzyjał zuchwałemu buntownikowi) był świadkiem, jak oczy Wielkiego Mistrza pociemniały. Potem rozjarzyły się niczym płonące węgle, miały skry, a przeciwnika dosięgły śmiertelne promienie. Wypaliły mu oczy, oślepiły.

Ów brat zakonny żył teraz jako niewidomy, bełkoczący żebrak w swoich rodzinnych stronach, we Francji. Nikt nie rozumiał, co mówi, w poparzonych rękach, którymi tamtego dnia starał się zasłonić oczy, nie mógł utrzymać pióra, by

zapisać swoje myśli i w ten sposób przekazać wiedzę o groźnej sile Wielkiego Mistrza. Biedak został, oczywiście, wykluczony z Zakonu Świętego Słońca.

I Wielki Mistrz zachował swoją tajemnicę.

Nie tylko Lorenzo patrzył podejrzliwym wzrokiem na bratanek Wielkiego Mistrza. Wielu braci szeptało pomiędzy sobą o nepotyzmie, czyli faworyzowaniu najbliższych krewnych. Wszyscy wiedzieli, że bratanek jest wyjątkowo wysoko ceniony za swoje zasługi, bowiem to on zdobył kielich. Prastary kielich Habsburgów z reliefem przedstawiającym baśń o morzu, które nie istnieje.

Wielki wyczyn bratanek, który poza tym był niewiele znaczącym pionkiem w życiu Zakonu.

Boże, czy daleko jeszcze do lądu? Lorenzo trwał bez życia przewieszony przez reling i nienawidził wszystkiego, co ma związek z morzem. Do domu będzie wracał drogą lądową, chociaż to oznaczało większe zagrożenia i niebezpieczeństwo ataku ze strony rozbójników oraz wszelkiej innej hołoty.

No cóż, przynajmniej jedno się wyjaśniło. Wielki Mistrz ma do niego zaufanie. Misja Lorenza w Skandynawii była osłonięta tajemnicą. Wielką tajemnicą. O jego podróży nie wiedział nikt w Zakonie, z wyjątkiem Mistrza i jego samego. Nie wiedział o niej nawet ten przeklęty bratanek. Przyjemnie było o tym myśleć.

Mistrz podkreślał wielokrotnie, że to bardzo ważna sprawa, by nikt a nikt oprócz nich obu nie miał pojęcia o podróży.

I Lorenzo doskonale wiedział, dlaczego tak musi być.

Rozdział 2

Księżna Theresa nie była pewna, kiedy zaczęła podejrzewać, że ktoś ją obserwuje i za nią chodzi.

Podejrzeenie narastało niepostrzeżenie. Właściwie po raz pierwszy wkradło się do jej duszy dopiero po wyjeździe z Norwegii, może już w czasie przygotowań do tej podróży?

A może jeszcze przed ślubem Tiril i Móriego? Nie, chyba jednak nie, nie mogła w to uwierzyć. Kapłan udzielił młodym ślubu podczas nader skromnej i pospiesznej ceremonii.

Ten ślub zresztą to historia sama w sobie. . .

Pastor przyglądał się Móriemu, kiedy młoda para stanęła przed wejściem do kościoła.

— Pan nie należy do Królestwa Bożego — powiedział bezbarwnym głosem.

Oczy Móriego pociemniały.

— Do drugiej strony także nie należę.

Pastor wahał się. Zdaje się, że najchętniej zatrzaskałby drzwi świątyni i odszedł, ale przecież miał do czynienia z wysoko postawionymi ludźmi.

Zarówno Tiril i Theresa, jak i pozostali goście wstrzymali oddech.

— Dobrze, w takim razie połączę was w imię Boże. Ale, młoda damo, mam nadzieję, że pani wie, co robi?

— Wiem, oczywiście — odparła Tiril stanowczo. Czowała się upokorzona i urażona w imieniu Móriego. Był tego dnia taki niewiarygodnie przystojny, w stroju, który podarował mu Erling, w tym stroju z kamizelką ze skóry łosia i krótkimi, miękkimi butami. Erling uważał ubranie za zbyt staromodne w czasach koronkowych żabotów, jedwabi i pudrowanych peruk. Ta moda jednak była najzupełniej obca ubóstwianemu przez Tiril Móriemu. — To prawda, że dusza mojego narzeczonego błądzi po bezdrożach, nie są to jednak obszary należące do Złego. On pokonał granice czasu i przestrzeni, ale jest dobrym człowiekiem.

— Tiril ma rację — potwierdziła księżna Theresa. — Nikt nie pomógł mej

nieszczęsnej córce bardziej niż on.

— Nie każda pomoc pochodzi od dobrego, wasza wysokość. Ale co panienka miała na myśli, mówiąc, że przekroczył pan granice czasu i przestrzeni? — zwrócił się kapłan do Móriego.

— Tiril określiła to właściwie, ale niezbyt precyzyjnie. To była granica krainy zimnych cieni, krainy Śmierci; powążyłem się na próbę jej przekroczenia. Udało mi się to, a zarazem nie udało. To, że prawie mi się udało, możecie, panie, sami wyczytać w moich oczach, prawda?

— To właśnie w nich dostrzegam. Poznają zresztą, jak się sprawy mają, także po pańskiej trupio bladej skórze i po czymś jeszcze, czego jednak nie odważę się wypowiedzieć głośno. Żałuje pan swego niebezpiecznego postępu?

— Tak, ojczec. Żałuję każdego dnia. Bo tak strasznie jest dźwigać karę.

Pastor skinął głową. W jego twarzy pojawił się wyraz napięcia.

— Nie jest pan sam, prawda?

— Nie. Nie jestem sam — potwierdził Móri. — Dlatego chciałbym prosić, by ksiądz się zatrzymał przed świętą siedzibą Pana, nie wprowadzał nas do środka.

— Tak, i bardzo dziękuję — rzekł pastor pospiesznie. — Niech mi zatem będzie wolno coś powiedzieć: tu obok zakrystii mamy niewielkie pomieszczenie, udzielamy nim szybkich chrztów, ślubów zawieranych z konieczności oraz pogrzebów ludzi niegodnych...

— Ale Tiril, moja córka... — jęknęła księżna. — Czyż ona zasłużyła sobie na taki wstyd?

— Wszystko w porządku, mamó — wtrąciła Tiril spokojnie. — Ze względu na Móriego, mamó, proszę... Żadnych protestów!

Matka i córka wymieniły spojrzenia. To prawda, że Móriemu nie wolno było nawet dotknąć stopą kościelnej podłogi, ale obie wiedziały też, że Tiril nie ma prawa do kościelnego ślubu. Przyszła na świat jako dziecko z nieprawego łoża, a poza tym nie jest już dziewicą. Postanowiły jednak przemilczeć tę trudną prawdę. Propozycja pastora była znakomitym rozwiązaniem, również ze względu na wyrzuty sumienia ich obu.

Mimo wszystko Theresa czuła się urażona. Pragnęła dać swemu jedyńemu dziecku wszystko, co najlepsze, wspaniały ślub w wiedeńskim Hofburgu, ale na to nie miała, niestety, czasu.

Najważniejsze w tym całym zamieszaniu i pośpiechu było to, że udało się przybyć Aurorze. Co prawda tylko dlatego, że jej matka, zwana powszechnie wdową-smoczyką, chciała nadzorować sprzedaż dworu, żeby zagarnąć pieniądze. Niezależnie od przyczyn, to bardzo dobrze, że udało im się trzymać smoczykę z dala od kościoła, tak więc Aurora, obok rodzeństwa Mikalsenów, Augusta i Seline, była jedynym gościem. Tiril i Móri bardzo ubolewali nad nieobecnością swoich przyjaciół — Erlinga i Catherine, natomiast Nero musiał zostać za kościelnym parkanem i tam czekać na zakończenie ceremonii.

Aurorze niełatwo było uwolnić się od despotycznej matki i wyjść samej z domu, ale zastosowała wypróbowany chwyt: „Wyglądasz, matko, dzisiaj bardzo nie-dobrze. Żle się czujesz?” Na takie słowa matka natychmiast zaczynała zbolalym głosem wyliczać wszystkie swoje dolegliwości. Tej pułapki nigdy nie była w stanie uniknąć. „W takim razie absolutnie powinnaś zostać w łóżku! To wszystko nie wygląda mi za dobrze”. Stara dama robiła głupią minę, ale przecież nie mogła już cofnąć tego, co przed chwilą powiedziała. Wściekła Lizuska musiała również zostać, by opiekować się smoczyką. Ciekawska pokojówka miała zamiar pójść do kościoła, by obejrzeć ceremonię. Ślub to zawsze wielkie wydarzenie dla osób żądnych sensacji.

August był wzruszony, że może znowu oglądać „tę wspaniałą panienkę Ororę”. Panna Orora jest bardzo miła, choć nosi takie dziwaczne imię. Jak ona to pisze? Jest okrągłutka i ma niezwykle ciepłe oczy, dokładnie taka powinna być kobieta.

Ale nie wolno mu było jej dotknąć. Jest przecież zwyczajnym wieśniakiem. Na dodatek nie ma nawet gospodarstwa.

August westchnął ciężko na myśl o tym pięknym dworze, który od dawna popada w ruinę, a którym nikt się nie zajmuje. On wiedziałby dokładnie, jak go poprowadzić. No a teraz ta okropna baba, która tak strasznie się obchodzi ze swoją piękną córką Ororą, ma zamiar wszystko sprzedać. Jakimś ludziom z miasta, którym potrzebna jest mała wiejska siedziba!

Wiejska siedziba? Mała? Taki wspaniały dwór!

Gdyby tylko August miał pieniądze, to na pewno starałby się go kupić. Ale, niestety, nie miał. Wspominał o swoich marzeniach pannie Ororze, bo z nią świetnie mu się rozmawiało. Zawsze z takim zrozumieniem patrzyła na niego tymi swoimi oczyma jak gwiazdy. . .

August był na tyle niedoświadczony, że nie zdawał sobie sprawy, iż to nie zrozumienie, lecz podziw płonie w małych oczach Aurory i że to właśnie ów podziw sprawia, iż błyszczą jak gwiazdy.

Teraz, kiedy tak wszyscy posłusznie podążali za pastorem, Aurora miała własne zmartwienia. Nie wiedziała, jak ma zacząć swoją sprawę. Tu potrzeba było taktu, dyplomacji i bystrego umysłu i należało działać ostrożnie, by dwór dostał się we właściwe ręce.

Tiril jest taka śliczna, myślała Theresa, zarazem dumna i przygnębiona, stojąc wraz z nielicznymi gośćmi w ciasnym pomieszczeniu obok zakrystii. Księżna wspominała własny, organizowany z wielkim przepychem ślub z Adolfem von Holstein-Gottorp. Wspominała dawny ból i rozpacz.

Ale która z nich wygrywa, Tiril, czy ona? Co należy cenić bardziej? Wspaniałą ceremonię, przepych i małżeństwo pozbawione miłości czy też skromny ślub

udzielony w najwyższym pośpiechu, za to z mężczyzną, którego się kocha i który odpłaca taką samą miłością?

Poczuła ukłucie w piersi. O, mój ukochany, jedyna miłości mego życia! Powinieneś teraz widzieć naszą córkę! Powinieneś tu z nami być!

Ty i ja.

Myśli Theresy podążały własnym torem i głos duchownego zdawał się cichnąć.

Czy powinnam była odszukać ukochanego? Czy nasze życie, Tiril i moje, potoczyłoby się wtedy inaczej? Czy on mógłby coś dla nas zrobić? Czy by się cieszył, że ma takie dziecko jak Tiril? Takie śliczne i pogodne, takie dobre dziecko.

Czy potrafiłby się jakoś przeciwstawić temu nieustannemu pościgowi i prześladowaniu, na jakie narażona jest nasza niewinna córka?

Księżna skuliła się na swoim miejscu. Niczego nie mogła zrobić inaczej, niż zrobiła. Cała odpowiedzialność za Tiril musiała od początku spoczywać na jej barkach. A ona zawiodła, przez ponad dwadzieścia lat unikała tej odpowiedzialności.

Ale już nigdy więcej! Teraz nadeszła pora, by wynagrodzić zawód. Tiril nigdy więcej nie może się czuć porzucona przez własną matkę. Księżną powodowało jednak nie tylko poczucie obowiązku. Kochała swoją odzyskaną po latach córkę z taką siłą, że chyba bardziej już nie można. Ta miłość przepełniała jej duszę bezgranicznym szczęściem.

Ksiądz zakończył ceremonię pospiesznie i z wyraźną ulgą. Im prędzej ten niebezpieczny człowiek o płonących oczach wyjdzie z kościoła, tym lepiej!

Kiedy szli ku cmentarnej bramie, gdzie Nero skakał wysoko w górę z podniecenia, Móri położył rękę na ramieniu Tiril. Ona przytuliła się do niego i oboje na moment przystanęli. Oboje przepełniało głębokie, niewypowiedziane szczęście. Razem! Na zawsze!

Prześladowcy Tiril od dawna już nie dali znać o sobie. Młodzi małżonkowie liczyli na to, że niewidzialni towarzysze Móriego skutecznie ich odstraszyli.

Cudownie było móc myśleć tylko o własnych sprawach. W spokoju i bez napięcia.

To, czego Tiril się obawiała, że mianowicie spodziewa się dziecka, okazało się prawdą. Ale ten fakt nie miał wpływu na ich decyzję. Postanowili się pobrać i uczyniliby tak również, gdyby alarm okazał się fałszywy.

— Zdumiewające — rzekła Tiril z uśmiechem. — Zdawało mi się, że po ślubie staniesz się akuratnym, solidnym i trochę nudnym małżonkiem, a ty jesteś tak samo tajemniczy i zagadkowy jak przedtem. Choć znam cię tak dobrze, mam wrażenie, że pod pewnymi względami nie znam cię wcale. I to jest wspaniałe, każdy człowiek powinien mieć w sobie jakieś sekrety, których nie ujawnia nawet najbliższym mimo przywiązania, jakie dla nich żywi.

— Owszem — przyznał Móri. — Ja zresztą też muszę ci powiedzieć, że odczuwam przy tobie odrobinę skrępowania i niepewności. Masz mnóstwo niezwykłych i tajemniczych cech, Tiril, i myślę, że poznawanie ich zajmie mi wiele czasu. Niekiedy dostrzegam w tobie wyraźnie dawną Tiril, radosne, pełne życia dziecko, które utraciło swój optymizm w zderzeniu ze złem i rozpaczą, jakie stały się twoim udziałem. Chciałbym, żeby tamte twoje cechy znowu się ujawniły.

Tiril roześmiała się, ale jej oczy pozostały poważne.

— Móri... Ja nie wiem, czy chcę opuścić Norwegię. Dwór Aurory tak, bo kryje on w sobie zbyt wiele okropnych i bolesnych wspomnień, znanych tylko nam obojgu, ale kraj? Wyjechać na południe, w całkiem obce strony? Nie jestem pewna, czy naprawdę bym tego chciała.

— Rozumiem twoje wątpliwości — rzekł z wolna.

— Tak, bo twoje wątpliwości są jeszcze większe, prawda? Ty tęsknisz za Islandią, myślisz, że o tym nie wiem?

— Może nie nazwałbym tego tęsknotą, to nie tak, raczej moje rachunki z Islandią nie zostały załatwione. Wciąż jest coś, co... mnie tam ciągnie. Coś więcej niż tęsknota! Chociaż to może nie do końca mnie dotyczy, ale mimo wszystko coś takiego jest. Uff, przeczę sam sobie! Chodź, czekają na nas!

Wszyscy zajęli miejsca w powozach. I wszyscy byli zgodni co do tego, że mimo wielkiej prostoty uroczystość w pomieszczeniu koło zakrystii pozostanie w ich pamięci jako bardzo podniosła chwila.

Myśli Aurory krążyły nieustannie. Jak wielokrotnie przedtem odczuwała coś na kształt nienawiści do swojej matki. Teraz bardziej niż kiedykolwiek. Gdyby wszystko było inaczej (to znaczy, gdyby matka umarła, ale na takie stwierdzenie nigdy sobie nie pozwalała, wystarczało jej to „gdyby wszystko było inaczej”), to może ona, Aurora, mogłaby przeżyć kilka szczęśliwych lat w tym norweskim majątku.

Z pomocą przyszła jej Theresa. Obie wysoko urodzone panie siedziały w jednym powozie.

Olbrzym August wrócił właśnie na swoje miejsce.

Theresa uśmiechnęła się przelotnie.

— Auroro, masz tu wielbiciela!

Przyjaciółka zarumieniła się gwałtownie.

— Tak myślisz?

— Myśle? Przecież on pędzi na każde twoje skinienie, że mało nóg nie pogubi.

Aurora westchnęła, uszczęśliwiona, a zarazem bezradna.

— Żeby tak wszystko mogło być inaczej!

— Ja wiem. Twoja matka.

— I nie tylko to. Jeszcze warstwa społeczna. Pieniądze. Duma.

Theresa skinęła głową.

— Wiem, że August bardzo chętnie kupiłby dwór, gdyby tylko mógł. Seline mi o tym wspominała. On uważa, że to okropne oddawać taki dwór mieszczuchom.

— Ja też tak uważam. Wszystko mogłoby się ułożyć znakomicie!

Księżna przyglądała jej się z boku.

Czy myślałaś, Auroro, żeby tu zamieszkać? Na stałe?

Nic nie sprawiłoby mi większej radości! — zawołała Aurora, która nic a nic nie wiedziała o strasznych wydarzeniach, jakie miały miejsce w pobliżu. — Sama jestem w gruncie rzeczy człowiekiem bardzo prostym, szlachectwo mnie krępuje. Upokarza mnie, że dla mojej matki jestem jak ścierka do kurzu albo wycieraczka przy drzwiach, że Lizuska sobie ze mnie drwi, a szlachta mnie nie cierpi. Chcę uciec od tego wszystkiego. A poza tym lubię być przydatna, lubię coś robić. Może nic wielkiego, ale chciałabym po prostu coś dla ludzi znaczyć. Wypełniać jakieś rozsądne i pożyteczne obowiązki, właśnie takie jak prowadzenie dworu. Bardziej, oczywiście, jako zarządzająca niż wykonawczyni. Czy nie sądzisz, że miło jest wskazywać ludziom: teraz zrób to, a teraz to?

— No, to rzeczywiście brzmi interesująco. Poza tym uważam, że jesteś urodzonym organizatorem, Auroro — uśmiechnęła się Theresa. — No i w końcu zdarzało się, że kobiety wysokiego rodu wychodziły za mąż poniżej swego stanu, chociaż najczęściej, niestety, w grę wchodziły pieniądze. Gdyby August został właścicielem tego dworu. . .

— Och, tak — westchnęła Aurora, a powóz toczył się po ściennej jesiennym przymrozkiem drodze. — Wtedy sprawy dałoby się jakoś ułożyć, przy protestach, rzecz jasna, ale byłoby to możliwe.

W oczach Theresy pojawił się błysk.

— Siedziałam i zastanawiałam się. . . krewni mego męża z radością wykupili zamek Gottorp. Dzięki temu otrzymałam dodatkowe pieniądze, których nie chcę zatrzymać. Gdybym znalazła odpowiedniego człowieka, na przykład mojego za-przyjaźnionego od lat bankiera, który by przelicytował tych ludzi z miasta. . .

Aurora aż podskoczyła z radości.

— Thereso! Wspaniale! Ale ja muszę ci ten dług zwrócić w przyszłości! Moja droga mama siedzi na worku z pieniędzmi, nie dostanę wprawdzie ani grosza przed jej śmiercią, lecz przecież nawet ona nie jest wieczna!

Theresa roześmiała się głośno.

— Porozmawiamy o tym później. Najtrudniej jednak chyba przekonać Augusta, że dwór należy do niej chociaż został kupiony za moje pieniądze. Boję się też, czy twoja matka zechce go zaakceptować jako nowego właściciela.

— Nie, absolutnie nie. Poza tym Lizuska zdążyła już zwąchać pismo nosem, to znaczy domyśla się, że coś jest między mną i Augustem, chociaż żadne niczego, ani wobec innych, ani nawet wobec siebie nawzajem, nie okazywało.

— Pozwól mi porozmawiać z Augustem — rzekła Theresa stanowczo. — Spiszę z nim kontrakt. Wy oboje dostaniecie ode mnie dwór w dzierżawę. Tak chyba będzie najlepiej?

— Też tak myślę. August za nic nie przyjąłby darowizny, o tym jestem przekonana. Ale dzierżawa, to jest wyjście, możemy cię powoli spłacać, uważam, że August się zgodzi. A kiedy moją drogą mamę będzie już można nazywać nieboszczką spoczywającą w pokoju, spłacę wszystko za jednym razem. Chociaż nie jestem taka pewna, czy rzeczywiście będzie ona spoczywać w pokoju. August z pewnością mi we wszystkim pomoże, w spłacaniu długu również.

— Znakomicie! August jest dobrym człowiekiem i w pełni zasługuje na własny dwór, a nie żeby do końca życia służył za parobka u swego starszego brata. No, to jesteśmy na miejscu. Uff, wkrótce nadejdzie zima — zakończyła z drżeniem. — Jak najszybciej powinniśmy wyjechać na południe!

— Ja nie jadę! — oświadczyła Aurora wojowniczo.

— Najpierw, oczywiście, załatwimy sprawę kupna i sprzedaży dworu — uspokoiła ją Theresa. — A potem jeszcze postaramy się wyprawić stąd twoją matkę i Lizuskę. Czy może wolałabyś, żeby zostały do twojego wesela?

— Niech mnie Bóg broni! — zadrżała Aurora. — Ale zapominasz o jednym: że August jeszcze się nie oświadczył. Chyba dzielimy skórę na niedźwiedziu.

— W takim razie ty mnie jeszcze nie znasz — oznajmiła księżna. — Od czasu, gdy znalazłam moją córkę i pozbyłam się... Och, przepraszam, kiedy zostałam wdową, chciałam powiedzieć, odzyskałam siłę woli i zdolność do działania.

— Miło mi to słyszeć — rzekła Aurora z zadowoleniem.

Obie panie milczały przez jakiś czas. Rozglądały się z poważnymi minami po obejściu.

Aurora zbierała siły przed starciem z matką. Theresa zadrżała z nieoczekiwanego i całkowicie nieuzasadnionego lęku. Nie miała przecież żadnych powodów, żeby się bać. Służba stała w szeregu z rozpromienionymi twarzami, gotowa usługiwać gościom na wspaniałym weselnym obiedzie. Zarówno jej własna przyszłość, jak i przyszłość młodej pary zdawała się rysować jasno.

A mimo to... Theresa nie potrafiłaby opisać tego ogarniającego ją powoli przerażenia.

Jakby jakiś bardzo, bardzo daleki głos szeptał cichutko jej imię. Przywoływał ją tak sugestywnie, że niemal miała ochotę zawołać: „Tutaj jestem, zbliż się, ty, który mnie szukasz!”

Rozdział 3

Wdowa-smoczyca siedziała, dysząc niczym stare, dotknięte astmą organy. Pounure oczy były niemal zamknięte, można było dostrzec jedynie wąziutkie szparki, w których czaiło się przebiegłe spojrzenie.

A cóż to znowu takiego? Wytwornie ubrany człowiek przybył z nową propozycją w sprawie dworu. I gotów jest zapłacić znacznie wyższą sumę niż tamci z Christianii?

Stara nie wiedziała o tym, że nowy kupiec został tu przysłany przez przyjaciela księżnej Theresy, starego bankiera. Z trudem udało się zresztą powstrzymać bankiera, by nie przyjechał sam. Jego skapstwo mogło wszystko zepsuć.

Przybysz należał do jego zaufanych. Księżna Theresa wprowadziła go w całą sprawę i teraz, kiedy stał przed starą i jej wyraźnie zbyt pulchną córką oraz wścibską pokojówką o żadnym sensacji spojrzeniu, pojmował sytuację bardzo dobrze.

— A zatem pan dobrodziej życzy sobie kupić dwór dla pewnej pani ze swojej rodziny? — pytała matka Aurory.

— Czy ta pani to ktoś dobrze urodzony?

— Jak najlepiej — zapewniał bankowiec, nie wspominając rzecz jasna, że chodzi o rodzoną córkę starszej pani i jej własną rodzinę. — Natomiast jej przyszły mąż jest solidnym człowiekiem z bogatego rodu chłopskiego.

Z pewnością pokieruje dworem wzorowo.

— Hmm... I są wypłacalni?

— Płacą od razu. Żywą gotówką.

Było widoczne, że starsza pani się waha. Dopiero co uderzeniem dłoni potwierdziła sprzedaż dworu komu innemu, ale pieniędzy jeszcze nie dostała. Aurora, która dobrze znała sposób rozumowania matki, wtrąciła pospiesznie:

— Może lepiej dotrzymać tego, co mama obiecała ludziom z Christianii?

Stara smoczyca natychmiast przeszła do opozycji, dokładnie tak jak Aurora oczekiwała.

— Ale oni nie zapłacili jeszcze ani grosza! — parsknęła.

— Tylko że...

— Milcz, dziewczyno!

Matka skierowała do bankiera promienny uśmiech. Był to najbardziej obrzydliwy uśmiech, jaki ten człowiek kiedykolwiek widział.

— Mój panie, jeśli wyłoży pan pieniądze na stół, dwór od zaraz należy do pana.

Aurora odetchnęła cichutko z uczuciem wielkiej ulgi.

Teraz chodziło już tylko o to, by wyprawić starą w drogę, ale bez Aurory.

I to okazało się najtrudniejsze.

Konspirowali długo, Aurora i Theresa, Tiril i Móri.

I to właśnie Móri pomógł im rozwiązać problem.

Dał Aurorze jakiś nie stanowiący zagrożenia dla zdrowia środek, który wywołał u niej gorączkę i czerwoną wysypkę na całym ciele.

— To bardzo zakaźne — oznajmił matce ze śmiertelną powagą.

Stara smoczyca i Lizuska jak na komendę odskoczyły tył. Stały właśnie, gotowe do drogi, i wymyślały Aurorze, jak miała czelność zachorować właśnie teraz, kiedy jej ukochana matka może się nareszcie wyrwać z tego okropnego pustkowia i z powrotem zamieszkać w swoim wygodnym zamku.

Głos starej przeszedł w falset, kiedy zataczając się wybiegała z sypialni córki.

— Sama sobie za to podziękuj, Auroro! Skoro spotykasz się z takimi plebejuższymi, jak ten cały Móri i rodzeństwo Mikalsenów, ja umyвам ręce. Przyjedź do zamku dopiero wtedy, gdy będziesz zdrowa.

Lizuska przerażonym wzrokiem przyglądała się chorej.

— Hurrra — szepnęła Aurora.

Mimo wszystko sprawiała jednak wrażenie trochę zasmuconej, że jej własna matka troszczy się o nią tak niewiele. Co prawda tego właśnie mogła się spodziewać, ale i tak odczuwała bolesną pustkę w sercu.

Aurora była dobra, dopóki matka mogła się nią wysługiwać według własnego widzimisie. Teraz stała się bezwartościowa, a na dodatek stanowiła zagrożenie dla bezcennego zdrowia tej egoistycznej despotki.

Przyjaciele pocieszali Aurorę jak mogli. Wkrótce po wyjeździe starej zostawili ją w towarzystwie Augusta Mikalsena, zapewniwszy go przedtem, że oświadczyiny zostaną przez pannę Aurorę przyjęte z wielkim zadowoleniem.

Stara smoczyca sądziła z pewnością, że córka do niej przyjedzie, ale tak się nie stało. W końcu nadeszła zima i zamknęła wszystkie drogi.

Theresa i jej dzieci przekonawszy się, że Aurora i August postanowili być razem, po ich przeprowadzce do dworu uznali, że czas najwyższy ruszać w drogę. Na szczęście jesień była długa tego roku, śnieg pozwalał na siebie czekać, a im dalej na południe się posuwali, tym mniej zima dawała o sobie znać.

Przeprawili się przez wzburzone i szarpane sztormami Bałtyk i podróżowali przez północne Niemcy, starając się nie zatrzymywać w Prusach, które nie należały do największych przyjaciół Austrii. Wtedy to Theresa odbyła poważną rozmowę z Mórím.

Jako ludzie wysokiego stanu zatrzymywali się po drodze w najlepszych gospodach. Pewnego wieczoru Tiril już się położyła, ale jej matka i mąż siedzieli jeszcze i gawędzili.

Móri był zachwycony wspaniałym niemieckim jedzeniem. Tymi ogromnymi plastrami szynki i sera, do których podawano piwo lub wino, co kto woli. Mimo to czuł się trochę skrępowany, a poza tym im dalej na południe się posuwali, tym większa dręczyła go tęsknota za Islandią. Czuł się tak, jakby zdradzał swoją ojczyznę.

Mimo wszystko nie zastanawiał się nad wyborem, chciał podążać tam, dokąd wybierała się Tiril. Pod tym względem życie było proste.

Ale rozmowa z Theresą go zaskoczyła.

Móri, ty znasz moją córkę lepiej niż ja — zaczęła księżna odsuwając na bok kielich z winem i siadając wygodniej w fotelu przed kominkiem w dużej izbie gospody. Na dworze było zimno i chłód zaczynał przenikać do wnętrza.

— Nie jestem tego pewien, wasza wysokość — odparł Móri. — Chociaż, rzeczywiście, znam ją dłużej.

Theresa skinęła głową.

— Jak dalece byłaby ona w stanie znieść niechęć ludzi i inne przeciwności losu?

O mój Boże, jeszcze jakieś przeciwności? Czy nigdy nie będzie temu końca, myślał Móri.

— O ile wiem, Tiril jest zdolna znieść bardzo wiele — powiedział głośno. — Ale ona jest teraz naprawdę zmęczona i powinna być otaczana wyłącznie opieką i serdeczną troskliwością.

— Pojmuję to bardzo dobrze i zrobiłabym dla niej wszystko, musisz jednak zrozumieć, mój kochany zięciu, który stajesz mi się coraz droższy w miarę, jak cię lepiej poznaję. . . kiedy po raz ostatni przebywałam w zamku Gottorp, nawiązałam kontakty z moją rodziną w Hofburgu, w Wiedniu. Chciałam przygotować ich na to, że wrócę z córką, i zabiegałam, by Tiril została dobrze przyjęta. Moi rodzice nie żyją, natomiast cesarz i dwoje mego rodzeństwa, mieszkający w Hofburgu, nie chcą nawet o niczym słyszeć. Całkiem niedawno rodzina przeżyła wielki skandal, kolejnego dom księżęcy nie zniesie. Wiesz, jest wielu takich, którzy tylko czyhają na okazję, by zagarnąć tron, zwłaszcza że pozycja cesarza jest bardzo niepewna. Pojęcia nie mam, jak powiedzieć o tym wszystkim Tiril.

— O, jeśli nie mamy poważniejszych zmartwień, to naprawdę nie ma się czym przejmować — rzekł Móri z ulgą. — Największym problemem Tiril było właśnie to, że będzie musiała być przedstawiona u dworu. „Żebyśmy mogła tego uniknąć,

wszystko byłoby znakomicie”, powiedziała mi nie dalej jak wczoraj.

— Och, to wspaniale! — ucieszyła się Theresa. — Mój brat zaproponował, bym zajęła Theresenhof i tam zamieszkała. . . Nie, to nie po mnie dwór ma nazwę, to była Theresia, moja krewna, która żyła dawniej. W naszej rodzinie mnóstwo jest takich imion: Therese, Theresa, Maria Theresa. To bardzo ładna, nieduża posiadłość w Kärnten, na zachód od Wiednia.

— Świetnie! — powiedział Móri, starając się, by jego głos brzmiał możliwie jak najbardziej entuzjastycznie. Stworzenie ukochanej własnego domu od wielu miesięcy stanowiło jego życiowy cel. Najchętniej zamieszkałby z nią na Islandii. Był jednak kompletnie bezsilny. Ze sprawami materialnymi nigdy sobie dobrze nie radził.

Theresa dodała z pewnym ociąganiem:

— Pomyślałam więc, że moglibyśmy tam zamieszkać, wszyscy troje. Jeśli zgodzisz się przyjąć pod swój dach teściową. . .

Ona również była bezdomna, także została odepchnięta. Móri uśmiechnął się ciepło i promiennie.

— Co też wasza wysokość! Tiril będzie na pewno zachwycona!

— Dzięki ci za te słowa. Przecież jeśli o nią chodzi, mam tak wiele do odrobienia. Tyle trzeba naprawić. Mój brat poczynił już przygotowania na nasze przyjęcie, zgromadził służbę i wszystko, co potrzeba. To człowiek o dobrym sercu, chociaż z pozoru bardzo surowy. Nie szczędził mi ostrych wymówek, na szczęście listownych, za lekkomyślność w młodości, ale wiem, że z radością spotka Tiril. Niestety, nie może się to dokonać w Hofburgu.

— To rozumiałe. Ale, księżno. . . Pani jeszcze nie o wszystkim mi powiedziała, prawda? Od wielu dni dręczy panią jakieś zmartwienie, a przecież ta rodzinna sprawa, o której teraz rozmawiamy, nie może być przyczyną aż tak wielu ciężkich westchnień i pełnych lęku spojrzeń. Przy najmniejszym szeleście wasza wysokość po prostu podskakuje.

Theresa położyła rękę na jego dłoni.

— Jesteś bardzo dobrym obserwatorem, Móri. To prawda, że mam poważne zmartwienia. Ale to sprawy tak dziwne, że nawet nie jestem w stanie o nich mówić.

Móri zmarszczył brwi. Theresa dostrzegła niepokój na jego twarzy.

— Wasza wysokość, proszę mi o wszystkim opowiedzieć!

Przez cały wieczór padało. Deszcz ze śniegiem zacinał w okienne szyby.

Ale teraz pogrążeni w rozmowie nawet nie zauważyli, że deszcz ustał i nieoczekiwanie małe szybki rozjaśnił blask księżyca. Pogoda musiała się zmienić jakiś czas temu, ale dwoje ludzi w izbie, zajętych swoimi sprawami, niczego nie zauważyło.

Nagle Móri spojrział na księżyc i zadrżał. Przerazało go to, co Theresa miała mu opowiedzieć.

„Księżyc świecił, lecz jego zimny blask
Był jak ogień Elma, co na masztach płoną,
Gdy wieczór cieniem kładzie się na morze,
Jak błędny ogień, jak światła smolnych drzazg,
Lub jak ów błysk, co go w noc jesienną
Twe oko przelotnie pochwyci nad grobem.”¹

¹Fragment pierwszej części poematu Gustafa Frödinga „Sny w Hadesie”.

Rozdział 4

Theresa również zwróciła teraz uwagę na zmianę, jaka zaszła w pogodzie.

— Zrobiło się zimniej — powiedziała cicho.

— Tak.

— W tych okolicach jednak zazwyczaj chłody nie są bardzo dokuczliwe. W każdym razie nie takie jak w Norwegii.

Móri nie odpowiadał. Siedział i przyglądał się tej jeszcze młodej kobiecie, która została właśnie jego teściową. Była bardzo podobna do Tiril, tylko twarz miała nieco szczuplejszą i w ogóle wydawała się jakby drobniejsza. Miała też w sobie wrodzoną szlachecką godność, której w Tiril pozostało niewiele, Tiril bowiem była spontanicznym dzieckiem natury.

Cóż to musiał być za drań, ten który wykorzystał taką wtedy młodą Theresę? I dlaczego ona chroni jego nazwisko, można powiedzieć — zębami i pazurami? Jak mężczyzna może zrobić coś takiego spragnionej miłości młodej dziewczynie, właściwie jeszcze dziecku? Móri domyślał się, że ojciec Tiril wie o istnieniu córki. Ale gdzie on się podziewa? Dlaczego nie poczuwa się do odpowiedzialności?

Theresa mówiła coś o ciepłej pogodzie. Móri uznał, że nie chce odpowiadać na jego pytanie.

— Mam nadzieję, że jutro pojedziemy dalej — powiedziała, oglądając się niespokojnie przez ramię.

— Proszę kontynuować opowiadanie, wasza wysokość.

Księżna westchnęła.

— Cóż, zacznę od sprawy najprostszej. Przedwczoraj rano, kiedy już mieliśmy opuszczać gospodę w... ech, zapomniałam, jak się to miejsce nazywa, ale to bez znaczenia. Wtedy podeszła do mnie karczmarzowa i powiedziała, że obawia się, iż popełniła głupstwo.

Móri spoglądał pytająco na swoją teściową.

— Karczmarzowa wyjaśniła mi, że jakiś tydzień temu przybył do gospody gość i niby przypadkiem zapytał, czy daleko stąd do zamku Gottorp.

Na te słowa Móri nastawił uszu.

— Karczmarzowa odpowiedziała mu, że to zaledwie dzień drogi, i zapytała,

kogo ma zamiar tam odwiedzić. Ów nieznajomy oświadczył, że księżnę There-
sę. Przecież księżna wyjechała na północ, zdziwiła się wtedy kobieta i wyjaśniła,
że jej wysokość kierowała się do Norwegii. To sprawiło, że obcy zmienił kurs
i również podążył na północ. Karczmarzowa nie wiedziała, co o tym myśleć, za-
martwiała się, że wprowadziła człowieka w błąd, bo nie miała pojęcia, że ja tak
szybko wrócę.

— Czy zapytała ją pani, jak ten człowiek wyglądał? — chciał wiedzieć Móri.

— Tak. Bo i ja się zmartwiłam z jego powodu. Myślałam, że to ktoś, kogo
znam. Ale tak nie było. Karczmarzowa opisała go jako niezwykle przystojnego
mężczyznę, mówiącego bardzo źle po niemiecku. Jej zdaniem mógł to być Włoch,
albowiem towarzyszący mu sługa zwracał się do niego per signore Lorenzo. Był
to człowiek o ciemnych włosach i oliwkowej cerze, w średnim wieku, z dużą
blizną na twarzy, obejmującą także jedno ucho. Absolutnie nie znam nikogo, kto
by odpowiadał temu rysopisowi.

Przez chwilę siedzieli oboje bez słowa, pogrążeni w myślach. Potem Móri
przypomniał:

— Mówiła pani o wielu zmartwieniach.

Twarz księżnej pociemniała. Ona sama zaś cofnęła się nieco, jakby chciała
czegoś uniknąć.

— To bardzo dziwna sprawa. A zarazem potworna.

— Czy pani... przeżyła coś, czego pani nie rozumie, księżno?

— Tak. Tak właśnie należy to określić. Móri, nie patrz na mnie w ten sposób!
Mam wrażenie, jakbyś wiedział, co chcę ci powiedzieć.

— Boję się, że to prawda. Proszę mówić!

— To jest głos... — zaczęła księżna z wahaniem.

Móri zbladł. Cała jego sylwetka wyglądała teraz jak czarny cień rysujący się
na tle ściany. Jedyne twarz lśniła w blasku ognia z kominka.

— Wewnętrzny głos, prawda? A mimo to dochodzący z oddali?

— Właśnie! Wiesz coś o tym?

— Aż nazbyt wiele! Proszę już nic więcej nie dodawać. Może księżna zrobić
wszystko, tylko proszę nie odpowiadać na jego wołanie!

— Ale ja chcę odpowiedzieć! Czasami udaje mi się trzymać od tego na odle-
głość, ale głos jest tak natarczywy, że mam ochotę krzyknąć: „Tutaj! Tutaj jestem!
Idę! Już idę!”

— I tego właśnie ów głos pragnie — odparł Móri wstrząśnięty. — Proszę mi
obiecać, że nigdy mu pani nie odpowie!

— W takim razie wyjaśnij mi, co to za głos!

— Dobrze, wyjaśnię!

Theresa wiedziała przecież już dość dużo o polowaniu na Tiril, ale opis ostat-
nich wydarzeń we dworze niedaleko Christianii dotarł do niej zaledwie we frag-
mentach.

Móri opowiedział o głosie, który nalegał, by Tiril ujawniła, gdzie się znajduje.

— Rozumie pani, księżno, że on... Bo to jest mężczyzna...

Księżna skinęła głową.

— On z łatwością może dotrzeć do duszy człowieka. Najpierw odnalazł duszę Tiril, ale teraz odkrył istnienie waszej wysokości. Wygląda jednak na to, że owej nieznaney sile trudno jest zlokalizować żywego człowieka, tego, do którego dusza należy. On po prostu nie wie, gdzie się człowiek znajduje, i dlatego stara się panią do siebie przyciągnąć, dlatego przyzywa. Ale ja i moi niewidzialni towarzysze zdołaliśmy otoczyć Tiril swego rodzaju murem tak, że on nie może mieć do niej przystępu.

— Bogu dzięki — westchnęła Theresa z ulgą. — Wolalabym jednak tych, o których mówisz „towarzysze”, nazywać twoimi duchami opiekuńczymi.

— Proszę bardzo — rzekł Móri. — Ja przeciwstawiałem im się przez wiele lat, nie chciałem nawet słyszeć o ich istnieniu. Chyba już czas okazać wdzięczność za ich nieustanną obecność przy mnie.

— I ja tak myślę — powiedziała księżna z powagą.

— Ale, księżno... Panią także możemy otoczyć nieprzebytym murem. Zgodzi się pani na to?

Księżna zadrżała.

— Nie wiem, czy mam dość sił. Pozwól mi przemyśleć tę sprawę dziś w nocy.

— Proszę bardzo, byleby to nie trwało zbyt długo!

Zapadł głęboko w krzesło i całkowicie pograżył się w mroku.

— Przestraszyło mnie to, że znowu ktoś mówi o głosie. Widzi pani, księżno, byliśmy przekonani, że niebezpieczeństwo z tamtej strony już zostało wyeliminowane. Bowiem moi przyjaciele z tamtego świata uczynili absolutnie wszystko, by raz na zawsze pozbyć się dwu prześladowców, którzy kilka tygodni temu o mało nie schwytali Tiril. Potem nastał spokój i odetchnęliśmy z ulgą. A teraz od księżnej pani słyszę o głosie. Przeraza mnie to. Czego oni mogą od pani chcieć, księżno?

— Nie wiem — jęknęła żałośnie. — Nie potrafiłabym znaleźć najmniejszej przyczyny. Ale co się jeszcze wydarzyło we dworze, kiedy ja byłam w zamku Gottorp?

Móri uśmiechnął się krzywo.

— Duchy zabrały nas w podróż w czasie i przestrzeni, do Tiersteingram w Tiveden za czasów złego księcia.

— Oj!

— Tak, istotnie nie bardzo to było przyjemne.

— Wspominaliście o tym, ale nie brałam waszych słów poważnie. Wydawało mi się to zbyt nierealne. Opowiedz mi teraz więcej!

Móri opowiedział i na koniec rzekł:

— Najgorsze, że ja wszystko zniszczyłem. Zobaczyłem wielką księgę ze znakiem słońca i natychmiast chciałem ją otworzyć. Tiril zdołała mnie powstrzymać w ostatniej chwili, ale mimo to dość brutalnie zostaliśmy przywróceny do rzeczywistości.

— Ale dowiedziałeś się czegoś?

— Odczytałem tylko dwa słowa, wypisane na okładce książki jakimś runicznym pismem.

Theresa przyglądała mu się wyczekująco.

— Nic nam te słowa nie mówią. STAIN ORDOGNO, tak brzmią. „Stain” pisane przez ai.

Księżna zmarszczyła brwi. Móri widział, że bardzo się stara coś sobie przypomnieć.

— Wasza wysokość zna te słowa?

— Myślisz, że to po niemiecku?

— Prawdopodobnie, skoro księżęta stamtąd pochodzili.

Theresa myślała teraz głośno.

— „STAIN”, to musi być „STEIN”, kamień. Pismo runiczne ma wspólny znak E oraz I, więc dla rozróżnienia w tym przypadku używano A zamiast E.

— Słusznie.

— Angielskie słowo „stain”, oznaczające plamę, tu wydaje się kompletnie nieuzasadnione. „STAIN” to może także być imię, ale nie wydaje mi się, żeby w tym przypadku tak było. ORDOGNO natomiast. . .

Umilkła. Móri czekał.

— Już kiedyś to słyszałam. . .

— Brzmi jakoś z włoska — wtrącił Móri.

Theresa skinęła głową.

— Albo z hiszpańska. Ordogno. . . Ordogno. . . — Potem powtórzyła szeptem: — Słyszałam to, ale w związku z czym. . . ?

— Niech księżna spróbuje sobie przypomnieć — prosił Móri. — Wydaje mi się, że to ważne. Ale jutro musimy ruszać dalej, więc może. . .

— Tak, masz rację — powiedziała księżna, wracając do rzeczywistości. — Rozmowa z tobą zawsze przynosi pociechę, Móri.

— To samo ja chciałbym powiedzieć o rozmowach z panią, księżno.

Theresa dotknęła delikatnie jego ramienia.

— Nie przestaję dziękować Panu Bogu za to, że Tiril znalazła ciebie, Móri! I powinieneś wiedzieć, że bardzo się cieszę na przybycie wnuka!

Móri uśmiechnął się.

— Postaram się, żeby Tiril przyjęła to ze spokojem, ona jest bardzo dzielna. Wszelkie przeciwności traktuje jako wyzwanie. Mogę jednak zapewnić księżnę, że my oboje też się bardzo cieszymy.

Nie wspomniał ani słowem o okropnym lęku, jaki ich czasami ogarnia na myśl o mającym się narodzić dziecku.

Twarz Theresy się rozjaśniła.

— Teraz Tiril będzie miała spokój w Theresenhof. A my będziemy się nią opiekować, prawda?

— Oczywiście — potwierdził Móri, a w jego oczach pojawił się wyraz zdecydowania.

Czy ten krótki, szyderczy śmiech, który, jak mu się zdawało, doszedł do niego z ciemnego kąta, to tylko wytwór pobudzonej wyobraźni?

Tiril jednak nie spała. Leżała na łóżku w pokoju na piętrze i wpatrywała się w okno, skąd widoczne było rozjaśnione księżycowym światłem nieb o. Blask księżycy wpadał do pokoju i cień okiennych ram tworzył na ścianie dziwne geometryczne wzory. Świeca już dawno temu dopaliła się i zgasła.

— Boże — szeptała Tiril. — Boże kochany, bądź miłosierny! Pragniemy tego dziecka bardziej niż czegokolwiek na świecie, ale czy nie czyniliśmy czegoś nieodpowiedzialnego? Myśleliśmy przecież tylko o własnym szczęściu, czy z tego powodu ta niewinna istota miałaby cierpieć? Z powodu naszej miłości?

Umilkła i zaczęła nasłuchiwać. Zdawało jej się, że coś słyszy...

Słaby, słabiuteńki odgłos...

Nie, niczego nie słychać.

Tak się boję, myślała. Boże, dopomóż mi, tak się boję. Rozmawialiśmy o tym, by nie dopuścić do urodzenia maleństwa, ale jak moglibyśmy uczynić coś takiego? Nikt nas do tego nie zmusi! To przecież wielki grzech i straszna niesprawiedliwość wobec dziecka, które może chciałoby żyć.

Ale czy nie popełniliśmy niesprawiedliwości pozwalając mu żyć? Może będzie nas za to nienawidzić?

Wesołość niewidzialnych towarzyszy Móriego...

To przerażające. Jakby... Jakby mające się narodzić dziecko uważały za swoje.

Och, nie, to niemożliwe, ponosi mnie wyobraźnia. Wymyślam sprawy, które nie istnieją.

Tiril zamknęła oczy.

Wkrótce zapadła w ten stan drzemki, który poprzedza sny. Ostatnim wysiłkiem woli starała się ponownie otworzyć oczy i znowu zaczęła się wpatrywać w księżyc, który tymczasem przesunął się tak, że świecił jej prosto w twarz.

Znajdowała się w jakimś przedziwnym miejscu.

Rozległe, niemal bezkresne bagna, za którymi majaczyły wysokie góry. W szczelinie pośród lekkich i prawie przezroczystych chmur przesuwających się nad bagnami pojawił się księżyc. Wszędzie widziała małe, niebieskie, tańczące ponad trzęsawiskami płomyki, jakby jakieś karły przenosiły po mokradłach latarenki. Noc była niebieska, ani ciemna, ani jasna, dokładnie taka sama jak ta tutaj,

za jej oknem.

W trwającym kilka minut półśnie znowu usłyszała te słabe dźwięki. Jakieś szepczące głosy.

„Czy oczekiwany wkrótce się pojawi?”

Takie właśnie słowa wypowiadały szeptem te głosy. A może jej się tylko zda-
wało?

„Przez setki lat czekaliśmy, czekaliśmy, czekaliśmy”. Czy słyszała coś jeszcze
o zaczarowanym ludzkim dziecięciu?

Nie była w stanie sobie tego przypomnieć. Senne marzenie rozproszyło się
i rozwiało.

Tiril odwróciła się do ściany i oparła dłoń na boazerii. Jaka jedwabista po-
wierzchnia, ile w niej życia. Jak dłoń przyjaciela. Przesuwała ręką po drewnie.

Jestem teraz taka szczęśliwa. Mam Móriego. I Nera. I odnalazłam matkę, którą
z każdym dniem bardziej lubię.

A mimo to nie czuję się bezpieczna.

Oczekuję dziecka Móriego. To szczęście tak wielkie, że czasami o mało się nie
uduszę łzami radości. Zwłaszcza że już od dawna zaakceptowałam to maleństwo.

Dlaczego właśnie to cudowne oczekiwanie miesza się z rozdzierającym serce
lękiem?

Rozdział 5

Wielki Mistrz Zakonu Świętego Słońca ponownie znajdował się w domu po spotkaniu w poświęconych Słońcu salach. Od brata Lorenza wciąż nie było żadnych wiadomości. Dlatego musiał raz jeszcze wezwać księżnę Theresę.

Tiril Dahl już nie odpowiadała na jego wołania. Zresztą szczerze mówiąc nigdy tego nie robiła, on jednak czuł, że związek między nimi istnieje, ale teraz jakby ich oddzielał jakiś mur. Jakby ona już nie słyszała jego wezwań. To niepojęte, niewytłumaczalne!

A może tkwił jakiś okrucich prawdy w tym, co twierdzili Reuss i von Kaltenhelm? Że tę dziewczynę otaczają teraz potężniejsze siły.

Nonsens! Któż by to mógł być? Przecież właśnie Wielki Mistrz rozporządzał największą okultystyczną siłą, jaką kiedykolwiek zdołał w sobie rozwinąć syn rodzaju ludzkiego. On sam znał się najlepiej na takiej akurat magii. Nie mogła istnieć żadna moc, która byłaby w stanie się z nim mierzyć. A mimo to Tiril Dahl była w jakiś sposób chroniona, choć Mistrz nie mógł sobie wyobrazić, w jaki. Może dziewczyna umarła?

Nie, nie, to niemożliwe, w takim razie byliby zgubieni, wszyscy rycerze świątyni. To znaczy rycerze Słońca; rycerze świątyni to ci, którzy należą tylko do kościoła.

Księżna Theresa natomiast nie miała żadnej ochrony. Zdołał zauważyć, że ona odbiera jego wołania. Wciąż jednak nie wiedział, gdzie się ta kobieta znajduje.

Wielki Mistrz użalał się nad sobą. To nieustanne napięcie, jakiego wymagało wzywanie obu kobiet, bardzo nadwreżyło jego siły. Zarówno duchowe, jak i fizyczne. Musiał to jednak ponawiać.

Rozpalił kadzidło w małej miseczce. Kilka razy zaciągnął się dymem, usiadł w swoim krześle z bardzo wysokim oparciem, skłonił głowę, splótł ręce na pierśsiach i zamknął oczy z westchnieniem udręki. Ze względu na siebie najchętniej by to wszystko zakończył, nie wolno mu było jednak rezygnować, koniecznie musiał podjąć jeszcze jedną próbę. Skoro nie mógł dotrzeć do Tiril, musiał zdobyć w zamian jej matkę.

Żywił nadzieję, że będzie to już ostatni raz. Uparte, głupie baby, które przy-

czyniąją mu tyle zmartwień!

Wonny dym sprawił, że Mistrzowi lekko zawirowało w głowie. Koncentrował się na osobie Theresy, starał się odsunąć od siebie wszelkie inne myśli.

Pokój, w którym siedział, zniknął. Mistrz znajdował się teraz w mrocznej pustce, w której kręciła się nieustannie jakaś olbrzymia kula. W końcu dusza Mistrza przeniknęła do kuli i zawrót głowy ustał. Wielki Mistrz nie zdawał już sobie sprawy z tego, gdzie się znajduje, świadom był tylko jednego. Perliste krople potu ukazały się na jego czole i na górnej wardze, wyszukany materiał, z jakiego wykonana była jego szata, lepił się do ciała. Serce łomotało, zakłócając ciszę jego świata, Mistrz bał się, że to nieszczęsne serce za chwilę pęknie.

Z gardła wydobywały się nieokreślone dźwięki, ale nie był w stanie wypowiedzieć ani jednego słowa. Zresztą te dźwięki też pojawiały się wbrew jego woli.

Był wyczerpany do granic wytrzymałości tą potworną koncentracją. Nie miał sił, by poruszać wargami. Raz po raz z gardła z trudem wydobywał się charkot. Sprawiało mu to wielki ból.

— Thereeesaaa... Thereesaaa...

Z nosa Wielkiego Mistrza ciekła krew, ale on tego nie dostrzegał. Ciało przestało dla niego istnieć. Tylko duch był żywy. I trwał udręczony do ostateczności niebywałym wysiłkiem myśli.

Serce waliło ciężko jak uderzenia młota. Gdyby ktoś stał na dziedzińcu, mógłby je chyba usłyszeć.

— Chooodź! Chodź, Thereesaaa, chooodź!

Powietrze w pokoju zdawało się tak gęste, że Mistrz z trudem oddychał. W płucach mu świszczowało.

Głęboko w podświadomości Mistrza tkwiło przekonanie: Jeszcze tylko ten jeden raz! Więcej już by nie zniósł. Nie był przecież młody, a te nawoływania odbijały się boleśnie na całym jego organizmie.

— Theereeesaaa!

Nienaturalny szept zawisł w pokoju niczym głuche echo.

Kiedy pierwsze szare smugi brzasku rozjaśniły niebo, księżna Theresa się ocknęła.

Poczuła lodowate zimno na plecach od karku aż do krzyża.

Głos!

Pojawił się znowu. Powolny, szepczący. Zdawała sobie sprawę z tego, że słyszy go już jakiś czas, że słyszała jeszcze we śnie, ale nie chciała się obudzić.

— *Theresa* — wzywał głos. Powoli, przeciągle. — *Theresa, chodź!*

Teraz nie mogła go już lekceważyć, nie mogła udawać, że nie słyszy.

Nic nie pomagało zatykanie uszu rękami, bo wołanie rozlegało się gdzieś w głębi jej jestestwa. Zarówno tam, jak i na zewnątrz. Jakby docierało do niej

z jakiegoś miejsca w górze, może w dachu albo ze ścian. W każdym razie jego źródło znajdowało się bardzo daleko stąd, a mimo to nie mogła się oprzeć wrażeniu, że tkwi w jej głowie.

Głos odezwał się znowu. Teraz słów było więcej:

— *Theresa von Habichtsburg!*

Prastara nazwa pierwszego habsburskiego zamku, Habichtsburg, Góra Jastrzębi. Skąd Głos mógł znać tę nazwę?

Wszystko wskazywało na to, że Głos posługuje się językiem niemieckim. Albo przynajmniej jego ojczysty język jest blisko z niemieckim spokrewniony.

Głos był taki uwodzicielski. Zagłuszał wszystkie świadome myśli. Budził w księżnej poczucie bezpieczeństwa, jakby została otulona jakąś nieprzenikalną tkaniną. Jakby mówił: „Jeśli tylko do mnie przyjdiesz, wszystko będzie dobrze”.

Był dzisiaj bardziej natarczywy i bardziej dobitny niż zazwyczaj. Jakby dawał do zrozumienia, że wszystko musi się rozstrzygnąć teraz albo nigdy. Theresa, która, słyszała wołania od jakiegoś czasu przez sen, nie mogła zrozumieć, dlaczego nie jest w stanie spełnić polecenia Głosu. Miał on przecież siłę, dokładnie tak samo jak jej ojciec i dziadek. Im była powolna we wszystkim, nie pytając dlaczego. Posłuszeństwo wobec starszych było w niej głęboko zakorzenione.

Raz jeszcze Głos wezwał ją, by przyszła. Brzmiało to usypiająco, oszałamiająco, czyniło ją bezwolną.

— Tak — wyszeptała sama do siebie.

Wtedy nadeszły całkiem inne słowa:

— *Theresaaa, gdzie ty jesteś?*

— Tutaj — odparła sennie. — Tutaj jestem.

Głos był poirytowany. Zniecierpliwiony. Chciał wiedzieć, gdzie dokładnie.

Na to pytanie Theresa odpowiedzieć nie mogła, była bowiem kompletnie oszłamiona, a podczas tej podróży zatrzymywali się tylekroć, w tylu różnych miejscach, że nie byłaby w stanie określić, gdzie się znajdują akurat teraz. Odpowiedziała tylko:

— Zaraz przyjdę.

I zaczęła się ubierać.

Zawsze bądź posłuszna dorosłym. To pierwsze przykazanie jej dzieciństwa.

Trzej służący brata Lorenza przenieśli wszystkie bagaże na pokład łodzi, która miała zawieźć ich do Szwecji. Stamtąd drogą lądową zamierzali podążyć do Norwegii.

Służący zostali dobrani niezwykle starannie; jeden z nich pochodził z północnych krajów i dzięki temu mógł być tłumaczem na barbarzyńskiej ziemi.

Lorenzo stał przy relingu i dygotał z zimna, chociaż miał na sobie ciepły sweter, który dała mu żona, i jeszcze wiele innych ubrań. Morze było ohydnie szare,

pokryte spienionymi sztormowymi falami. Lorenzo przymocował kapelusz szalikiem zawiązanym pod brodą i walczył jak mógł o zachowanie godnego wyglądu, mimo że opatulił się w niemal wszystko, co miał, a na dodatek ciekło mu z nosa.

Był to ostatni w tym roku statek przez cieśninę. Przy tamtym brzegu zaczynał się już kłaść lód.

Lorenzo tędy nie będzie mógł wrócić wcześniej niż, dopiero z nadejściem wiosny. Był wściekły, ale cóż mógł na to poradzić? Rozkaz to rozkaz, nikt nie odmawia Mistrzowi.

Tłumacz dyskutował gorączkowo z jakimś wysokim członkiem załogi. Na kei zaczynano odwiązywać cumy.

— Signore Lorenzo... — tłumacz był podniecony.

— Tak, co się stało?

— Ten człowiek powiada, że księżna Theresa wraz z orszakiem pojechała znowu na południe.

— Co takiego? — ryknął Lorenzo i poczuł, że z gniewu twarz robi mu się purpurowa.

Stateczek powoli odpływał od kei.

— Zatrzymajcie się! — krzyknął Lorenzo. — Nakazuję wam zatrzymać łódź! Muszę zejść na ląd!

Przekłete babsko! Czy ona sama nie wie, czego chce?

Szyper nie miał ochoty słuchać poleceń Lorenza. Łódź była szwedzka, miała przed sobą ostatni kurs w tym sezonie, szyper chciał wracać do domu i nie miał czasu na zabawy.

Nakłonienie kapitana „do rozsądku” kosztowało Lorenza połowę zawartości jego podróźnej kasy. I, oczywiście, mnóstwo czasu pochłonęło ponowne wyładowanie wszystkiego, co należało do Włochów.

Potem Lorenzo znowu stracił bardzo wiele czasu na odszukanie zamku Gottorp, gdzie jednak Theresy nie było od wielu tygodni i dokąd ona sama nigdy już nie chciała wracać. Uzyskał w zamian informację, że księżna zamierzała prędzej czy później powrócić do swojej ojczyzny, czyli do Austrii.

No cóż, powinien być przynajmniej wdzięczny losowi, że w porę pozwolił mu zawrócić na południe. Lorenzo jednak wszystko widział w ponurych barwach. Czuł się pokonany i oszukany.

Mimo wszystko trafił na trop, chociaż bardzo się spóźniał. Dość łatwo było poruszać się śladami Theresy z gospody do gospody. Wszędzie ludzie ją pamiętali, zresztą osoba z takim eleganckim ekwipażem, podróżująca ze specjalnym orszakiem, nie może się przemknąć nie zauważona.

Nic jednak nie pomagało. Lorenzo był zły. Bardzo, bardzo zły. Jeśli kiedykolwiek w jego duszy gościła litość, to teraz nie został po niej najmniejszy nawet ślad. Nikt nie może sobie kpić z brata Lorenza!

Rozdział 6

Kiedy Tiril i Móri siedzieli rano przy śniadaniu w głównej izbie gospody, przybiegła pokojówka Theresy. Jej twarz wyrażała głębokie zmartwienie i poczucie winy.

— Zasnęłam dzisiaj, sama nie wiem, jak to się mogło stać — mówiła zgnębiona. — A kiedy się obudziłam, jej wysokość już wstała. Czy księżnej pani tu nie ma?

— Nie. I wcale jej dzisiaj nie widzieliśmy!

Przesłuchania woźnicy i dwóch służących, którzy towarzyszyli księżnej, do niczego nie doprowadziły. Rozmowy z tutejszymi ludźmi także nie. Dopóki nie porozmawiali z jedną z dziewcząt kuchennych, które zaczynają swą pracę najwcześniej.

Otóż ta właśnie dziewczyna stała przy oknie na pięterku wyjmowała ze skrzynek zmarznięte pelargonie. Wtedy zobaczyła, że ta „piękna pani” wychodzi przez główne drzwi. Nie rozwidniło się jeszcze całkiem, ale dziewczyna gotowa była przysięgać, że widziała właśnie księżną. Piękna pani miała na sobie płaszcz podróżny, a kiedy wyszła z domu, przez chwilę stała na schodach, jakby się wahała. Potem skierowała wzrok ku południowi i szybkim krokiem ruszyła w stronę bramy. Po chwili zniknęła na drodze.

Dziewczyna myślała, że elegancka pani nie może spać i chciała się trochę przespacerować.

— Na drodze, powiadasz. Ale tutaj jest kilka dróg. Na której?

Służąca podeszła do okna i pokazała.

— To znaczy na południe? — zapytał Móri.

Dziewczyna sprawiała wrażenie zakłopotanej.

— Nie. Ja tylko widziałam, jak pani szła do dużej krzyżówki. A w którą stronę poszła stamtąd, to nie wiem.

— W stronę domu, do Wiednia? — zastanawiała się Tiril.

— Tego nie możemy wiedzieć — odparła zaufana pokojówka Theresy. — Teraz jesteśmy koło Hochstadt. Droga na Wiedeń, a także do Kärnten, gdyby jej wysokość chciała pójść do Theresenhof, prowadzi na wschód. Ale nie wiemy,

którą drogę jej wysokość wybrała.

— A dokąd prowadzi ta droga, która od krzyżówki biegnie na południe? — zapytał Móri.

Woźnica i karczmarz zawołali jeden przez drugiego:

— W stronę Szwajcarii.

— Ale moja mama nic o tym nie wie. Ona chciała się tylko przejść — powiedziała Tiril.

— W środku nocy? No tak, o świcie. . . Mimo wszystko bardzo mnie to martwi — rzekł Móri.

Jeden ze służących wtrącił:

— Jej wysokość może się stać ofiarą napadu.

— Nie sądzę — zaprzeczył Móri w zamyśleniu. Odwrócił się do służącego. — Pojechałbyś ze mną? I może jeszcze ktoś z gospody? Pożyczycie nam koni?

— Naturalnie!

Karczmarz pospiesznie załatwił wszystko, o co Móri prosił. Znalazły się nawet pistolety dla niego i dla chłopca stajennego, który miał mu towarzyszyć. Sługa księżnej miał własną broń.

— No i Nero — powiedział na koniec Móri. — On jest ważny. Znajdźcie zaraz jakąś część ubrania księżnej, coś, co nosiła blisko ciała. Może koszulę, w której spała ostatniej nocy?

Pokojówka przyniosła niebywale elegancką nocną koszulę z najdelikatniejszego jedwabiu, zdobioną koronkami.

Teraz okazało się, że z psem będzie kłopot. Nie mogli mu powiedzieć: „Szukaj Theresy”, bo rzadko słyszał to imię. „Księżna” brzmiało jakoś bezosobowo. Jak najczęściej się do niej zwracali?

— My przeważnie mówiliśmy „wasza wysokość” — oświadczyła pokojówka niepewnie.

Tego musieli się trzymać. Chętny do pomocy, ale całkiem zdezorientowany Nero wahał nocną koszulę księżnej, a Móri powtarzał:

— Odszukaj waszą wysokość, Nero!

Tiril pomagała jak mogła, przestraszona, że jej ukochany pies nie dorósł do takiego zadania. Nigdy przecież jeszcze czegoś takiego nie robił.

— Nero, znajdź waszą wysokość! Spróbuj, Nero! — prosiła.

Pies spoglądał to na jedno, to na drugie, wahał nocną koszulę, z przejęciem machał ogonem, ale zdaje się niewiele z tego wszystkiego rozumiał. Trwało tak, dopóki Tiril nie wpadła na znakomity pomysł, który szczerze mówiąc powinien był komuś przyjść już dawno do głowy, nakłoniła psa, by wahał ślady na schodach.

— Szukaj, szukaj! — mówiła zachęcająco. — Znajdź waszą wysokość! Szukaj, szukaj! Tutaj! Tu jest ślad jej cienkich obcasów, spójrz tutaj, Nero!

Nareszcie odezwał się pierwotny instynkt myśliwski. Pies uniósł ogon i poczuł się niesłuchanie ważny. Nagle ruszył przed siebie do bramy i dalej drogą. Pochwyił trop!

— Świetnie! — powiedział Móri do zebranych. — Ale minęło wiele godzin. Księżna musiała zejść daleko. Mówiłaś, że wyglądała na zdecydowaną? — zapytał służącej.

— Tak, bardzo — odparła dziewczyna. — Jakby spieszyła się na jakieś spotkanie.

— Tego się właśnie bałem — mruknął Móri z goryczą. — Ruszajmy, zanim nasz znakomity pies zniknie nam z oczu!

Musiała iść bardzo szybko, zaszła bowiem naprawdę daleko. Dalej niż idący jej śladem się spodziewali.

Wybrała drogę na południe i wszystko wskazywało, że uczyniła to bez wahania. Poszła traktem prowadzącym w stronę Szwajcarii.

— Czego jej wysokość tam szuka? — zastanawiał się służący.

Móri nie odpowiedział. Nie chciał zdradzać, że droga, którą księżna poszła, prowadzi w kierunku, skąd odzywa się Głos.

Gdyby to było możliwe, pozwoliby jej iść dalej, aż do miejsca, w którym znajduje się zło. Tym sposobem odnalazłby źródło.

Ale nie mógł tego zrobić tej delikatnej, kruchej kobiecie, która w życiu musiała się tyle nacierpieć.

Znajdowali się w niebywale pięknej dolinie z potężnymi masywami górskimi na horyzoncie. Tam ją znaleźli.

Nero zobaczył księżnę pierwszy i pomknął ku niej niczym armatnia kula.

Widzieli z daleka, jak nieduża kobieca figurka spieszenie posuwa się naprzód, świadoma celu, nie wahając się. Księżna potykała się niekiedy ze zmęczenia, lecz niestrudzenie szła dalej.

Radosne powitanie Nera o mało nie powaliło Theresy na ziemię. Widzieli, że się zatrzymała i próbowała pogłaskać psa, ale to jej się nie udało, bo zwierzę dosłownie, tańczyło dookoła niej. Kiedy trzech mężczyzn podjechali do księżnej, rozglądała się zaskoczona i przestraszona, jakby nie wiedziała, kim są. Zeskoczyli z koni.

— Móri? Co ty tu robisz? I Nero... i wy wszyscy?

— Księżno, droga przyjaciółko, musi pani zawrócić do gospody. Tam czeka Tiril.

— Tiril? Och, tak, moje ukochane dziecko. Ale, widzisz, ja muszę iść dalej. Zabierz Tiril do Theresenhof, ja natomiast muszę najpierw iść, załatwić pewną sprawę.

— Dokąd? — zapytał Móri niespokojnie.

— Jak to dokąd? — zdziwiła się księżna. — W tamtą stronę — pokazała przed siebie na południe. — No, dobrze już, Nero, widzę, że jesteś. . .

Móri postanowił wprowadzić obu mężczyzn w sprawę, powiedział im o Głosie, który może mieć ludzi. Patrzył bezradnie na swoich dwóch pomocników.

— Będzie najlepiej, wasza wysokość, jeśli teraz wszyscy zawrócimy — powiedział delikatnie służący.

— Później. Teraz muszę. . . być posłuszna, ja muszę. . .

Móri położył księżnej ręce na ramionach i spojrzał jej głęboko w oczy.

— Wasza wysokość, stało się właśnie to, o czym rozmawialiśmy wczoraj wieczorem. Głos zdobył przewagę nad panią.

Próbowała mu się wyrwać.

— Ale ja muszę. . .

— Głos jest niebezpieczny, księżno. Stoi za nim potężna siła, której jeszcze nie znamy. Wcześniej Głos próbował zdobyć władzę nad Tiril, twoją niewinną córką, pani.

— Tiril — jęknęła księżna. — Nie, jej nie wolno mu skrzywdzić! To niech już raczej weźmie mnie, ja się poświęcę, zrobię, co Głos chce, pójdę do niego.

— Czy pani tego nie rozumie? — zapytał Móri, wciąż mocno przytrzymując teściową. — On tego właśnie pragnie. Chce zdobyć panią i być może za pani pośrednictwem coś jeszcze osiągnąć.

Theresa otrząsnęła się ze zubożenia, w jakim do niedawna trwała, nastawiona jedynie na to, by spełnić rozkaz. Teraz wybuchnęła głośnym płaczem i szlochała rozdzierająco.

— On mnie przyciąga, nakazuje mi, ja nie chcę, ale co mam robić? Nie mam siły się opierać!

Móri zwrócił się do towarzyszących mu mężczyzn.

— Czy możecie przez chwilę przytrzymać jej wysokość? Ja muszę przygotować coś, co pomoże księżnej wyrwać się spod tych czarów i powrócić do rzeczywistości.

— Nie! — jęknęła Theresa.

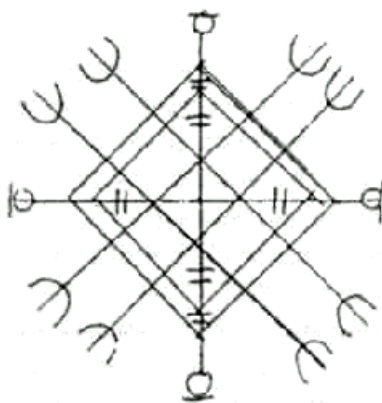
— Owszem, wasza wysokość, to niezbędne! To bardzo dobry ochronny znak. Co prawda na panią nie zostało rzucone żadne przekleństwo, ale znak chroni również przed tą magią, której księżna podlega.

Theresa w dalszym ciągu protestowała.

— Nie dałeś przecież niczego takiego Tiril, dlaczego więc dajesz mnie?

— Ponieważ pani została zaatakowana gwałtowniej niż Tiril. Ona zdołała się przeciwstawić Głosowi, pani poszła na wezwanie.

Móri wyjął magiczną runę zawieszoną na rzemieniu, włożył amulet księżnej na szyję i schował go pod bluzkę.



Theresa najpierw zaczęła się wyrywać, po chwili jednak przycichła i uspokoiła się. Ze zdziwieniem, jakby się ocknęła z zamroczenia, patrzyła na zebranych.

— Co ja zrobiłam? Musiałam być zaczarowana, bo wcale nie zamierzałam nigdzie chodzić, nie chciałam tego, ale nie mogłam się przeciwstawić.

— To nie pani wina, księżno — rzekł Móri serdecznie. — Ale jak jest teraz? Czy nadal słyszy pani wezwanie?

Księżna nasłuchiwała, wciąż z tym zakłopotanym, zmartwionym wyrazem twarzy.

— Słyszę je jakby we mnie, wewnątrz — odparła niepewnie. — Zanim dałeś mi tę... runę, słyszałam nakaz rozlegający się donośnie gdzieś w przestworzach, grzmiący, przyzywający...

— Tak samo słyszeliśmy Tiril i ja — powiedział Móri.

— Ale teraz słyszę go tylko w moim wnętrzu.

Księżna stała bez ruchu, wsłuchana w siebie. Cała grupka znajdowała się teraz pośrodku drogi w pięknej dolinie. Nero wpadł na trop zająca i przestał się przejmować ludźmi, ale akurat teraz nikt nie miał czasu, żeby go szukać. Dwaj mężczyźni w zdumieniu słuchali rozmowy, jaką jej wysokość prowadziła z tym dziwnym czarownikiem na temat spraw, których absolutnie nie pojmowali. Tak, bo byli przekonani, że Móri jest czarownikiem, lepszego określenia dla jego zdolności nie potrafili znaleźć.

— To niedobrze, że wasza wysokość w dalszym ciągu słyszy wołanie — mówił Móri z naciskiem. — Obawiam się, że będzie pani musiała przejść przez to samo, co Tiril. I powinno się to dokonać teraz, natychmiast, gdy moc wezwania została osłabiona przez runę.

Theresa przetknęła ślinę.

— Ty myślisz... Będziesz musiał mnie osłonić ochronną tarczą?
— Runa zdołała już wytworzyć taki pierścień bezpieczeństwa.
Księżna zbladła.
— Poprosisz o pomoc swych towarzyszy? — szepnęła.
— Tak. Będziesz, pani, w stanie spojrzeć na nich?
— Jeśli będę zmuszona.
— Niestety, to konieczne.
Skinęła głową.
— Dla Tiril, prawda?
— Właśnie.
— Dla Tiril gotowa jestem zrobić wszystko. Tyle muszę jej wynagrodzić.
— Proszę teraz nie myśleć o wynagradzaniu. Tiril wybaczyła pani już dawno temu.
— W takim razie uczynię to z miłości.
Móri uśmiechnął się.
— Tak będzie najlepiej. Ale wy dwaj... — zwrócił się do obu mężczyzn. — Może najlepiej by było, żebyście już wyruszyli w stronę domu. I nie oglądajcie się.
Chłopak z gospody zbladł, ale służący księżnej rzekł stanowczym głosem:
— Obiecałem, że będę służył mojej pani, i nie opuszczę jej, kiedy nadchodzą trudne chwile.
— Dziękuję ci, Teobaldzie — szepnęła księżna.
— W takim razie ja także zostaję — oznajmił chłopak stajenny. — W końcu człowiek jest też trochę ciekawy.
Móri zdążył już im opowiedzieć o swoich niepospolitych zdolnościach, a że towarzyszy mu ktoś czy coś niewidzialnego, sami zdołali stwierdzić.
W pobliżu nie było żadnych zabudowań, zagajniki zamykały widok z obu stron. Móri miał nadzieję, że nikt nie pojawi się nieoczekiwanie na drodze, w końcu pora była zbyt wczesna na jakichkolwiek wędrowców.
— Muszę was uprzedzić, że wcale nie jest takie pewne czy wy dwaj cokolwiek dostrzeżecie — powiedział Móri bardzo spokojnym głosem. — W normalnych warunkach na pewno nie byłoby to możliwe, ale teraz przywołam duchy i wszystko może być dużo wyraźniejsze, również dla was. Wasza wysokość natomiast musi je zobaczyć, dlatego proszę wziąć w rękę magiczną runę. I proszę wyciągnąć ją przed siebie.
Theresa z wahaniem ujęła tę samą runę, którą kiedyś w Bergen przez pomyłkę wzięła Tiril, i wtedy przed jej oczyma ukazały się duchy.
— To jest tak zwana runa duchów — wyjaśnił Móri. — Trzymając ją w ręce zobaczy pani to, co na ogół przed nami zakryte.
Theresa nie miała odwagi spojrzeć przed siebie. Stała i z uporem wpatrywała się w runę, ale kątem oka dostrzegła, że na drodze zaroilo się od tamtych...

Słyszała, jak dwaj służący z wysiłkiem wciągają powietrze. „Widzisz coś?” — zapytał jeden z nich. „Tak, widzę jakieś cienie na drodze” — odpowiedział drugi.

Ale to, co widziała Theresa, to nie były cienie. Te stworzenia, które majaczyły jej przed oczyma, były rzeczywiste.

Jedną istotę rozpoznawała dokładnie. Jakieś budzące grozę zwierzę, które przebiegło obok niej. Tiril opowiadała o Zwierzęciu, którego rany goi współczucie, wyrozumiałość i troskliwość. Theresa nie była wprost w stanie na nie patrzeć, ale w jej oczach pojawiły się łzy głębokiego współczucia.

— O, mój przyjacielu — szepnęła. — Mój nieszczęsny przyjacielu!

Pozostali towarzysze Móriego stali odwróceny od niej plecami. Dlatego w końcu odważyła się podnieść oczy.

Była wdzięczna losowi, że widzi je tylko od tyłu, dostrzegała przede wszystkim podarte ubrania, skołtunione włosy i owrzodzone ręce. Niektóre z tych istot w niewielkim tylko stopniu przypominały ludzi, tak jak ta białozółta postać, która musiała być Nidhoggiem. Dwie bardzo urodziwe kobiety ostro kontrastowały z ogólną brzydotą.

A więc Móri i Tiril mówili prawdę. Ona im, oczywiście, wierzyła, ale gdzieś w głębi duszy wszystko się burzyło przed przyjęciem tego do wiadomości. Mimo że zawsze w obecności Móriego ogarniał ją jakiś dziwny nastrój, coś nieokreślonego, nie ufała własnym odczuciom, wmawiała sobie, że to tylko przywidzenia.

Ale teraz wszystko się sprawdzało. To ją otaczały tajemnicze istoty, pozostali żywi ludzie znajdowali się poza obrębem kręgu utworzonego przez duchy. Theresa wiedziała, że i Móri, i Nero są chronieni, służącym zaś żadna ochrona nie jest potrzebna.

Towarzysze Móriego unosili ramiona. Wstrząśnięta i przerażona Theresa słyszała ich zaklęcia, magiczne formułki i coś, co określiłaby jako anatemę, wyklinalanie lub rzucanie przekleństwa. Powietrze rozbrzmiewało obcymi, niezrozumiałymi językami, słyszała, że wołanie przeciwnika słabnie, staje się jakby bardziej przytłumione, pozbawione siły. Głos wciąż jeszcze walczył, starał się unikać spadających nań zaklęć i magicznych formułek, ale ona miała tak wielką ochronę, że musiał ustąpić.

Sługa księżnej i chłopiec z gospody skulili się na ziemi, obejmując głowy rękami. Rozszalała się wichura, szarpała ludźmi, jakby chciała zerwać z nich ubrania i powyrywać im włosy. Theresa najchętniej zaczęłaby krzyczeć z całych sił i uciekła stąd, ale znowu dała o sobie znać samodyscyplina, jaką wyrobiono w niej w latach dzieciństwa. Stała wyprostowana, sama na drodze w tym budzącym grozę kręgu. Tylko jej przerażone oczy mówiły, co czuje naprawdę. Ścisnęła magiczną runę zawieszoną na szyi.

I to jest świat mojej córki, myślała z bólem. Doświadcza spotkania z nim poprzez Móriego, ale nie mam pojęcia jak często. Czy powinnam była jej zabronić małżeństwa z tym islandzkim czarnoksiężnikiem?

Nagle uderzyła ją inna myśl: Głos nie miał nic wspólnego z Mórím. Duchy nie wiedziały, do kogo należy. Głos zaatakował Tiril i uczynił to, mimo że Móri był przy niej. Teraz chciał zaatakować również ją, Theresę. Bez Móriego i jego towarzyszy zarówno ona, jak i jej córka byłyby bezpowrotnie stracone.

Wołania nie było już słycać. Duchy zakończyły swoje przekleństwa w wielkim crescendo, co sprawiło, że księżnej o mało nie popękały bębenki.

Potem zaległa cisza.

Z poczuciem ulgi Theresa opuściła ramiona.

— Dzięki — szepnęła.

Móri uśmiechnął się krzywo.

— Proszę puścić runę, którą trzyma pani w lewej ręce, to nie będzie pani musiała już na nich patrzeć!

Księżna wyprostowała się.

— Nie! — powiedziała stanowczo. — Ja chcę na nich patrzeć. Chcę każdemu z nich podziękować za pomoc.

Nastąpiła długa chwila ciszy, Móri, zaskoczony, spoglądał na księżnę z niedowierzaniem.

— One są przecież przyjaciółmi Tiril, prawda?

— Owszem, to prawdziwi przyjaciele.

— Więc pozwól mi spojrzeć im w twarz, istotom z dawno minionego czasu, z nie znanych dalekich miejsc i z nie znanych sfer.

Przybysze stali w bezruchu, po chwili wszyscy zaczęli się odwracać w stronę księżnej.

Theresa z trudem przełykała ślinę i bardzo się starała, by nie zacząć żałować swojej odważnej decyzji. Zwierzę widziała już przedtem. Teraz patrzyła na długą, bladą twarz istoty imieniem Nidhogg z jego wystającymi kłami, długimi jak palce, na odpychającą postać Ducha Utraconych Nadziei, na Nauczyciela, dwie piękne, smutne kobiety, na Hraundrangi-Móriego, ducha imieniem Pustka, ledwo mającego na drodze, oraz na jakąś postać w mnisim habicie. . .

— Kim wy jesteście? — zwróciła się do owej postaci. — Tiril i Móri o was nie mówili.

Móri odpowiedział:

— To pani duch opiekuńczy, księżno.

Theresa odruchowo skłoniła głowę.

— Dzięki za wasze wsparcie, szary bracie — powiedziała cicho. — I dzięki wam wszystkim! Dziękuję każdemu z osobna, przyjmijcie moje najpokorniejsze dzięki za wszystko, coście zrobili dla mojej córki i dla mego zięcia, Móriego!

Wyprostowała się z uśmiechem.

— Oczywiście, mieliśmy duchy i w Hofburgu, i w innych zamkach należących do rodziny, ale ja osobiście nigdy żadnego nie widziałam i nie wierzyłam w nie. Natomiast wasza obecność zdaje się być czymś tak naturalnym, że wcale się was

nie boję. Zupełnie nie mam poczucia czegoś nadprzyrodzonego, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

Nauczyciel skinął głową.

— To był dla nas zaszczyt wspierać panią, księżno. I to nie z powodu pani wysokiej pozycji w świecie, lecz dla pani gorącego i szlachetnego serca. Móri wybrał wspaniale zarówno żonę, jak teściową!

— Dziękuję! Móri i Tiril opowiadali mi o was i teraz widzę, że kogoś, tu brak. Kobiety — ducha opiekuńczego.

— To duch opiekuńczy Móriego. Dziś nie było tu dla niej zajęcia.

— No tak, zamiast niej przybył mój szary brat, prawda?

— Właśnie!

— Więc teraz już mnie więcej Głos nie dosięgnie?

— Nie, ale trzeba uważać na inne niebezpieczeństwa! Te złe siły nie poddają się tak łatwo.

— Czego one od nas chcą?

— Tego nie wiemy. To jakaś wielka czarodziejska siła. Jest w stanie ukryć i siebie, i swoje zamiary.

Theresa raz jeszcze podziękowała za pomoc i niemal niechętnie puściła magiczną runę. Towarzysze Móriego zniknęli i ludzie mogli ruszyć w drogę powrotną do gospody. Theresa wsiadła na konia swego sługi, on zaś usadowił się za chłopcem stajennym.

Jechali w milczeniu.

Rozdział 7

Miało się już ku południowi, postanowili więc, że dziś nie pojedą dalej i jeszcze jedną noc spędzą w gospodzie pod Hochstadt. Theresa potrzebowała odpoczynku po wielkim wysiłku fizycznym i psychicznym.

Wieczorem jednak o mało nie doszło do katastrofy.

Skończyli kolację, ale zarówno gospodarze, jak i goście siedzieli jeszcze przy stole i rozmawiali. Tyle się przecież wydarzyło, nie co dzień też zatrzymywali się w gospodzie goście książęcego rodu.

— Proszę mi powiedzieć, wasza wysokość — zwrócił się Móri do księżnej. — Proszę mi powiedzieć, dokąd właściwie pani szła? Owszem, wiem, że to było wezwanie Głosu, ale dokąd konkretnie?

— Do Sankt Gallen — odpowiedziała bez wahania.

— Sankt Gallen należy do szwajcarskiego związku kantonów — wtrącił gospodarz. — Księżna miała przed sobą daleką drogę.

Akurat w tym momencie w pełnym galopie wjechał na dziedziniec parobek, który załatwiał jakieś interesy na północy. Zeskoczył z konia i wpadł do izby, gdzie przy stole siedziało całe towarzystwo.

— W drodze do domu wyprzedziłem jakiś bardzo elegancki ekwipaż — oświadczył zdyszany. — Lada chwila tu będą. Udało mi się zajrzeć do powozu, siedział tam wytworny pan z blizną na twarzy i z rozciętym uchem. Dokładnie tak jak państwo opisywali człowieka, który państwa prześladuje.

Wszyscy zerwali się od stołu.

— Dziękuję ci, mój przyjacielu — powiedziała księżna do parobka. — Wynagrodzę cię za to sownie. Ukryjcie jak najszybciej nasz powóz! Tiril, Móri i ja pójdziemy do naszych pokojów i nie będziemy się pokazywać. Pozostali otrzymają dokładne instrukcje... Tiril, weź ze sobą Nera! I owióż mu pysk, żeby nie czekał.

Karczmarz i jego małżonka byli trochę zaniepokojeni, jako ludzie bardzo religijni starali się unikać kłamstwa. Ten problem jednak rozwiązano z łatwością.

Brat Lorenzo wyglądał dosyć groźnie, kiedy wkroczył do izby wraz ze swoim orszakiem.

U drzwi przywitała go pokojówka Theresy, zapraszając pokornie w swoje progi.

— Pokoje dla wszystkich na noc — zarządził Lorenzo władcym tonem, a tłumacz przełożył jego słowa na niemiecki — I wystawić na stół wszystko, co macie najlepszego! Niech wasi parobcy zajmą się powozem i końmi i niech nam przygotują świeże konie na jutro rano. Zrozumiałaś, kobieto?

Pańskie maniery nie bardzo pokojówce zaimponowały. Ukłoniła się lekko.

— Wszystko będzie tak, jak sobie wasza miłość życzy.

Wyniosły ruch głowy brata Lorenza miał oznaczać: Spróbujcie tylko się nie podporządkować!

Zacierał dla rozgrzewki ręce przy kominku, a po chwili zapytał z udawaną obojętnością:

— Czy mieliście ostatnio jakichś wysoko postawionych gości?

My często miewamy wytwornych gości — odpowiedziała pokojówka, która świetnie posługiwała się miejscowym dialektem, bowiem gospoda znajdowała się niedaleko od austriackiej granicy. — Czy wielmożny pan ma na myśli kogoś konkretnego?

Lorenzo wbił w nią oczy.

— Chodzi mi o księżnę Theresę von Holstein-Gottorp. Zatrzymywała się u was?

— A, księżna! Jakaż to wytworna dama! Jej wysokość bawiła u nas nie dalej jak wczoraj.

Paskudny uśmieszek wykrzywił twarz Lorenza.

— Ach, tak? I dokąd udała się od was? W stronę Wiednia, nieprawdaż?

— Nie, wasza miłość. Księżna jedzie do Sankt Gallen.

Uzgodniono bowiem, że pokojówka tak właśnie powie.

Lorenzo drgnął gwałtownie.

— Do Sankt Gallen?

— Tak, wasza miłość. I bardzo jej się spieszyło.

Lorenzo stał pogrążony w myślach. Jego twarz przybrała podstępny wyraz, ale był to też wyraz zadowolenia.

— Sankt Gallen, powiadasz? Sankt Gallen. . . To bardzo, bardzo interesujące!

— zwrócił się znowu do pokojówki.

— Jej wysokość miała na myśli miasto czy kanton?

— Tego ja nie wiem, proszę pana.

— Bo jeśli to było miasto. . .

Znowu pogrążył się w rozmyślaniach. Szeptał sam do siebie:

— W takim razie moje zadanie przestaje mieć znaczenie, jest zbędne. Nie wolno mi do tego dopuścić!

Ocknął się i popatrzył podejrzliwie na rzekomą gospodynię, ona jednak tymczasem zaczęła obrywać uschłe liście z kwiatów stojących na okiennym parapacie.

— Przepraszam, nie dosłyszałam, co mój pan raczył powiedzieć. Przepraszam.

— Nic. Przygotujcie mi świeże konie jeszcze dziś wieczór. Muszę niezwłocznie ruszać dalej.

— Ale kolacja... ?

— Oczywiście, kolacja! A potem wszystko ma być przygotowane!

— Tak jest, wasza miłość!

Kilka godzin później brat Lorenzo i cała jego świta podróżowali dalej na południe. Tą samą drogą, którą rano poszła Theresa.

Na jakiś czas niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

A najważniejsze ze wszystkiego było to, że ani Głos, ani Lorenzo nie wiedzieli, iż celem podróży Tiril i Theresy jest Theresenhof.

Następnego dnia Theresa wysłała list do swego brata w Wiedniu:

Nikomui nie mów, gdzie jestem ja i moja córka — napisała między innymi. — Niczego Ci tymczasem nie mogę wyjaśnić, ale tropią nas źli ludzie, którzy chcą nas skrzywdzić.

Miała nadzieję, że brat potraktuje jej prośbę poważnie.

Theresa okazała wielką szczodrość wobec wszystkich w gospodzie, wynagrodziła ich sownie w podzięcie za uratowanie od wielkiego niebezpieczeństwa jej samej i jej małej rodziny. Karczmarz i jego małżonka obiecali, że nikomu nie wyjawią, dokąd księżna od nich pojechała.

— Z zachowania włoskiego pana wiemy teraz, że w Sankt Gallen znajduje się coś specjalnego — powiedział Móri, kiedy opuścili już gospodę w Hochstadt. — Przy najbliższej okazji postaram się zbadać tę sprawę dokładniej.

— Ale jeszcze nie teraz — poprosiła Tiril.

— Oczywiście, że nie. Teraz najważniejsza sprawa, to dotrzeć jak najszybciej do naszego nowego domu.

Theresa była daleko, nie mogła słyszeć, o czym rozmawiają. Tiril westchnęła.

— Móri, nie bardzo rozumiem to, co czuję. Wszystko tutaj jest bez wątpienia piękne, ale niewypowiedziane obce! Już teraz tęsknię do Norwegii. Może nie mam w sobie aż takiego pragnienia przygód, jak niegdyś myślałam?

— Ja odbieram to tak samo, Tiril. Nie czuję się tutaj jak w domu. Obcy język, obcy kraj, obcy ludzie. A tak marzyłem, by zamieszkać razem z tobą na Islandii!

— Wiem o tym, kochany. Ale może jeszcze się uda.

Kiedy jednak zobaczyli Theresenhof z daleka i kiedy jechali konno ku tej fantastycznie pięknej, niewielkiej pańskiej siedzibie, za którą na horyzoncie widać było wschodnie Alpy z górą Grossglockner, a u jej stóp, na dnie zielonej doliny, wiała się rzeka, to wiedzieli od pierwszej chwili, że będzie im tu dobrze. Poczuli się naprawdę jak w domu.

Potem szli przez pokoje i wykrzykiwali jedno przez drugie: „och!” albo „no nie, zobacz!” i bawili się znakomicie. Był to bardzo wygodny, pełen światła pałacyk, w którym wszędzie stały kwiaty, a brat Theresy przygotował służbę, jak mógł najlepiej.

— Witajcie w domu! — powiedziała Theresa wzruszona. — Witajcie Tiril i Móri, a zwłaszcza Nero. Bowiem pies potrzebuje domu, w którym mógłby stróżować i który traktowałby jak swoją własność. Wtedy ludzie, których kocha, mają prawo tam zamieszkać. Zdaje mi się, że psy tak właśnie widzą sprawy, jeśli nie są zmuszane do takiej pokory, że pełzają na brzuchu albo kładą się na, grzbiecie natychmiast, kiedy ich pan na nie spojrzy. Ale naszego psa to przecież nie dotyczy!

Móri patrzył na nią zaskoczony.

— Wiedziałem, że wasza wysokość lubi Nera, ale pojęcia nie miałem, że pani tak znakomicie rozumie psy.

Theresa się uśmiechnęła.

— W Hofburgu w czasach mojego dzieciństwa zawsze mieliśmy psy. I nie zawsze były one dobrze traktowane. Ja je po kryjomu pocieszałam i dlatego były mi bardzo oddane. To wtedy nauczyłam się kochać zwierzęta. I może trochę je rozumieć.

Nero dotknął jej ręki swoim mokrym, zimnym nosem. W dowód sympatii.

W mieście Sankt Gallen Wielki Mistrz chodził tam i z powrotem po pokoju. Szybkie, gwałtowne ruchy świadczyły, że jest w bardzo złym humorze.

— Księżna nigdy nie przybyła do Sankt Gallen — syknął w stronę brata Lorenza, który starał się usłyszeć jego słowa poprzez bicie kościelnych dzwonów. Była niedziela i obaj powinni byli iść na mszę, lecz teraz to akurat mogło pocze-kać.

— Ale ona była w drodze do miasta, wiem o tym bardzo dobrze — starał się bronić brat zakonny. — Natychmiast wyruszyłem w ślad za nią. Wychodziłem naturalnie z założenia, że to wyście ją do siebie wezwali, panie.

Wielki Mistrz gwałtownie przystanął. Patrzył zaskoczony na swego najbliższego współpracownika.

— Oczywiście, że ją wezwałem. Zauważyłem nawet, że się zbliża. Ale nagle...

Lorenzo czekał.

— Ale nagle? — powtórzył jakby dla zachęty.

Mistrz ponownie zaczął chodzić, a jego długa szata pętała mu nogi.

— Ale nagle wszystko się urwało, koniec. Ona zniknęła! Tak samo jak wtedy Tiril Dahl. I teraz obie się gdzieś podziały, nie ma żadnej!

— Zniknęły? Podziały się? Co macie na myśli, panie?

Lorenzo wiedział, że drażni swego mistrza. Ale sprawiało mu złośliwą przyjemność widzieć, jak tamten wije się niczym piskorz. Lorenzo, który go zawsze podziwiał, teraz patrzył inaczej na jego przesadny strój. Pstrokaty jak u papugi, pomyślał z obrzydzeniem.

— Te dwie kobiety znajdują się pod ochroną jakiejś bardzo wielkiej siły — warknął Wielki Mistrz.

— Może to ten ich tajemniczy przewodnik? — głos Lorenza brzmiał niebywale łagodnie.

— Absolutnie nie! Żaden człowiek nie rozporządza taką siłą!

Ja aż za dobrze znam twoje myśli, powtarzał w duchu Lorenzo. Widziałem, jak twoje wargi już się układały, by dodać to, czego nie dopowiedziałeś: „z wyjątkiem mnie samego”. Ale tak myślisz, tylko twoja fałszywa skromność cię powstrzymała.

Mimo że obaj zmagali się ze wspólnymi wrogami, tymi dwiema niebywale silnymi kobietami, i z upływem czasu, to trwała między nimi nieustanna, zaciekle rywalizacja. Lorenzo bardzo dobrze wiedział, dlaczego. Jego miejsce w hierarchii było zagrożone, oto powód.

Dlatego dostrzegał wszelką przesadę, jaka kryje się za autorytetem Wielkiego Mistrza. Dlatego ze złośliwą radością przyjmował każdą najmniejszą nawet oznakę słabości duchowego przywódcy Zakonu Świętego Słońca. Nigdy przedtem tego nie robił. Zawsze byli braćmi i sprzymierzeńcami, Wielki Mistrz i on.

Ale tamte czasy dobiegły końca. Dlatego zaczął mówić o opiece Tiril i Theresy...

— Myślę, że może powinniście go tutaj wezwać, panie.

— Nie bądź taki piekielnie zadowolony, Lorenzo! — ryknął Mistrz. — Nie, nie będę wzywał tego człowieka. A poza tym nie wiemy nawet, jak się nazywa.

— Owszem — odpad Lorenzo cierpko. — Wiemy. Imię, tego człowieka brzmi Móri.

— To włoskie nazwisko. Czy on jest Włochem?

— Wprost przeciwnie, jeśli wolno tak powiedzieć. To Islandczyk, o którym musieliście, panie, słyszeć. Móri to, zdaje się, i jego imię, i nazwisko, a najprawdopodobniej przezwisko. Brat Rasmus z Danii uważa, że to znaczy „Nieśmiertelny czarnoksiężnik”.

Mistrz nie spuszczał oczu z mówiącego. Lorenzo odgadywał jego myśli: „Zatem należałoby go tutaj wezwać i unieszkodliwić. Ale brak mi odwagi”.

W każdym razie Lorenzo wyobrażał sobie, nie ukrywając niechęci, że to właśnie przychodzi Mistrzowi do głowy.

— Nieśmiertelny czarnoksiężnik? — warknął Wielki Mistrz. — Nigdy w życiu nie słyszałem czegoś równie nonsensownego!

Lorenzo uznał, że najlepiej będzie zmienić temat. Rozejrzał się po pokoju.

— Pakujecie się, panie? Zamierzacie znowu udać się w podróż?

— Niezbyt daleko. Zamierzam odwiedzić mego bratanka. On walczy dzielnie na swoim odcinku.

Lorenzo spochmurniał. Nienawidził tego przekłętego bratanka, który cieszył się zaufaniem Mistrza. Wstrętny pochlebca, który czyhał na pozycję brata Lorenza w Zakonie.

Czy, ściślej biorąc: Zarówno bratanek, jak i Lorenzo zabiegali o to, by stać się następcą Wielkiego Mistrza Zakonu Świętego Słońca.

Starzec nie może już długo żyć. A bratanek jest najbliższy jego sercu, chociaż to Lorenzo od dawna zajmuje miejsce najbardziej zaufanego współpracownika.

— Jego siły duchowe są chyba niewystarczające w tej dziedzinie, którą sobie wybrał — rzekł Lorenzo z jadowitą złośliwością. — Mam na myśli jego funkcję w kościele.

Mistrz spojrział na niego ostro.

— Jest do tego wystarczająco uzdolniony! Ale w kręgach, w których on i ja działamy, panuje wielka konkurencja.

— Oczywiście — odparł Lorenzo ze słodko-cierpkim uśmiechem.

— No cóż, w takim razie powinienesz niezwłocznie ruszać do Wiednia, do Hofburga. Tam masz się rozpytać o księżną Theresę. Oni z pewnością wiedzą, gdzie ta baba się ukrywa, nawet jeśli nie pojechała do Wiednia. A zresztą może się rozmyśliła i mimo wszystko ruszyła do stolicy? Tak czy inaczej musisz to wyjaśnić.

— Właściwie to powinienem wrócić do domu i zająć się interesami — rzekł Lorenzo gniewnie. Nie uśmiechało mu się wcale jeździć tam i z powrotem w charakterze chłopca na posyłki. Do Wiednia? Co, u licha, będzie robił w Wiedniu?

Ale stanie się tak, jak chce Wielki Mistrz. Rycerze złożyli przecież przysięgę, że sprawy Świętego Słońca będą dla nich ważniejsze od wszystkich innych. I jak powiedziano: Nikt przy zdrowych zmysłach nie sprzeciwia się temu człowiekowi.

Bardzo niezadowolony brat Lorenzo przybył do Wiednia. Najpierw rozpytywał o księżną na mieście, a następnie pod murami Hofburga.

Tam jednak natrafił na inny mur, mur milczenia. Na temat księżnej Theresy nikt nic nie wiedział. Czyż nie powinna była przebywać w zamku Gottorp?

Nie, w Gottorp jej nie ma, syczał Lorenzo przez zęby. Doznawał nieprzyjemnego uczucia, że nikt nie chce mu nic powiedzieć.

Rozgoryczony musiał wrócić do Wielkiego Mistrza i przyznać, że sprawy ułożyły się jak najgorzej.

Mistrz zaczął gorączkowo poszukiwać nowych dróg dotarcia do obu kobiet, Tiril i Theresy.

Ale nic rozsądnego nie przychodziło mu do głowy.

„Powietrze zdało się ciężkie i gęste,
Niczym ziemia wyschła i roztarta,
Co stała się pyłem, który można wdychać.
Półmrok pełen zjaw dziwacznych,
Cienie i błyski wzajem przemieszane,
Zaduch grobowej krypty, jak z baśni
o czarnoksiężnikach”.¹

¹Fragment pierwszej części poematu Gustafa Frödinga „Sny w Hadesie”.

Rozdział 8

Tiril i Móri przeżywali w Theresenhof bardzo piękne chwile.

Nigdy wcześniej nie mogli się całkowicie wyzbyć napięcia i być szczęśliwi. Duchy teraz się nie pokazywały, wiedzieli jednak, że są z nimi, i Tiril wyobrażała sobie, że one też cieszą się z „istnienia”, jeśli w odniesieniu do nich takiego wyrażenia można użyć. Ludzie w pięknej dolinie byli życzliwi i pogodni, Theresa czuła się spokojna jak nigdy dotychczas, a Nero po prostu promieniał szczęściem. Przedsiębrał długie wyprawy po swoich łąkach i polach, świetnie wiedział, że nie wolno mu gonić owiec, ale przecież można je trochę postraszyć, choćby dla zabawy. Śmiesznie było patrzeć, jak umykały w popłochu. Warto było takie chwile radości okupić wymówkami w rodzaju: „Fe, Nero!” albo „Jak ci nie wstyd? Taki mądry pies!” Z tyłu za domem pani Theresa hodowała mnóstwo przeróżnych ptaszków, które codziennie karmiła. Obowiązkiem Nera było trzymać koty z daleka od ptaszarni, który to obowiązek wypełniał z lubością. Czasami rozpoznawał też krążące nad ptaszarnią jastrzębie, których po prostu nienawidził. Jazda stąd! Wynocha, czekał wtedy na całe gardło.

Łąki i zagajniki, oto jego eldorado! Lasy iglaste w Austrii nie były takie mroczne i ponure ani takie gęste i kłujące jak w Skandynawii. Na Południu sosny rosły z rzadka na mięciutkich łąkach, a drzewa nie były takie wysokie jak na Północy. Nowe tereny Nera to prawdziwe lasy z bajki, radość dla ludzkich oczu. To krajobraz jak stworzony, by dzieci bawiły się tu w chowanego, do urządzania śniadań na trawie i majówek z tańcami elfów wśród drzew. A w zimie, kiedy spadał śnieg, las jarzył się mnóstwem iskierek, drzewa zaś wyglądały niczym świąteczne choinki. Nero często hasał pomiędzy sosnami i nikt go nie karcił ani nie upominał.

To był cudowny czas.

Móri chodził spokojnie po polach i zabudowaniach, oglądając swój majątek. Na razie właścicielką była Theresa, z czasem jednak Tiril i Móri mieli przejąć wszystko. Rozmawiał przyjaźnie z ludźmi i zwierzętami. Móri łatwo uczył się obcych języków, bardzo szybko pojedyncze słowa układały się w całe zdania. I on, i Tiril rozumieli już od dość dawna niemiecki, co innego jednak rozumieć język, a co innego posługiwać się nim w mowie. Ale teraz oboje zaczęli mówić

swobodnie.

Móri bardzo starannie ukrywał swoje magiczne zdolności, a jeśli musiał się nimi posłużyć, czynił to niezwykle ostrożnie. Nie wolno było narażać rodziny. Ale oczywiście niekiedy robił to i owo w ukryciu, pomagał starym, chorym ludziom lub źle potraktowanym zwierzętom, pielęgnował okaleczone drzewa. Zdarzyło się też, że wydobył kilku niewinnych ludzi z więzienia, posługując się bardzo silnymi runami. Ta ostatnia sprawa narobiła trochę szumu, nikt nie rozumiał, jak to się stało, i Móri ostatecznie uznał, że nie było to rozsądne przedsięwzięcie. Mógł narazić na szwank swoje sprawy, ale chodziło o młodych wiejskich chłopców, całym niewinnych, a bardzo źle traktowanych. Słyszał, że nawet ich torturowano.

Na ogół bardzo dbał, by to, co robi, wyglądało możliwie najbardziej niewinnie. Ci zaś, którym pomagał, nawet jeżeli to i owo ich zastanawiało, nigdy nie pisnęli ani słowa. Wszyscy chcieli zachować przyjaźń tego potężnego i bardzo sympatycznego czarownika. Z początku trochę się, oczywiście, bali ponurego, przejmującego spojrzenia jego głęboko osadzonych, ciemnych oczu. Bardzo szybko jednak odnajdywali w nich smutek i wyrozumiałość. Móri był przyjacielem wszystkich w majątku, wszyscy też podziwiali go i patrzyli na niego z szacunkiem prawie tak wielkim jak na księżną i jej miłą córkę, małżonkę Móriego. Ludzie z dworu mieli świadomość, że zrobią dla swoich państwa, co tylko będzie trzeba, a państwo wynagradzali ich za to sownie, zapewniając im opiekę, troskliwość i byt materialny. Nigdzie ludziom nie było tak dobrze jak tutaj, toteż zdarzało się nierzadko, że przychodzili do Theresenhof obcy szukać pracy w majątku. Ale możliwości zatrudnienia były ograniczone.

Minęła zima i wiosna, nadeszło lato.

Tiril czuła się bardzo dobrze, była zaskoczona, że oczekiwanie dziecka to taka prosta sprawa. Theresa i Móri dziwili się również, po Tiril właściwie nic nie było widać. Młoda kobieta była po prostu radosna.

Chociaż czasami ogarniał ją trudny do wytłumaczenia lęk.

Ale Tiril pochłaniały własne myśli.

Często w nocy leżała nie śpiąc. Pomóż mi, błagała bezgłośnie, wpatrując się w piękne, jasne niebo wznoszące się nad ziemią w tę niezwyklej urody eteryczną letnią noc. Nie chciała mieć na oknach ciężkich zasłon, jedynie muślinowe firanki, białe w delikatne kropki, chciała wciąż widzieć krajobraz za oknami. Na ogół okna były uchylone i nocny wiatr poruszał firankami.

Móri spał, a Tiril nigdy mu nie opowiadała o swoich bezsennych godzinach. To wtedy jej zmartwienia i lęki ożywały, to wtedy dostrzegała groźbę tego, co uczynili. Powołali do życia dziecko zgodnie z wolą duchów.

Czy to zły, czy dobry znak?

Powinna była czuć się taka szczęśliwa. Niebezpieczeństwo ze strony niezna-

nych prześladowców już jej nie zagrażało, odnalazła rodzoną matkę, która dała jej wspaniały dom, mogła mieć przy sobie swego ukochanego Nera. . . Ale to wszystko nic, miała bowiem przede wszystkim Móriego. Móri należał do niej na zawsze, czuła się do niego coraz bardziej i bardziej przywiązana.

Tiril wiedziała, że Móri kocha ją niemal rozpaczliwą miłością. Jakby nie wierzył, że zdoła ją zatrzymać przy sobie, tak gwałtownie ją niekiedy obejmował.

To dziwne, bo czyż nie rozumiał, że odkąd spotkała jego, żaden inny mężczyzna nie może mieć dla niej najmniejszego znaczenia? Wciąż była niemal tak samo zafascynowana jego tajemniczością, jego głębokim smutkiem, tymi sugestywnymi, głęboko osadzonymi oczyma, jego zmysłowością, jak tamtego dnia, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Był cudownym i bardzo czułym kochankiem, ale czułym tylko do pewnych granic, potem przychodził taki moment, kiedy zdawał się zapominać o wszystkim i brał ją z dziką, egoistyczną gwałtownością. Jakby w tych najgorętszych chwilach płonął i jakby również ją chciał cisnąć w płomień, a ona starała się z całych sił opanować i powstrzymać swoje pragnienia, bała się bowiem okazywać zbyt otwarcie podniecenie i pożądanie. Ale opanować się nie mogła, w każdym razie nie tak, jak by chciała.

Teraz jednak już od bardzo dawna nie odważyli się do siebie zbliżyć, oboje bowiem wyczuwali, że rozwijające się życie jest nieskończenie delikatne i potrzebuje jak najwięcej troskliwości.

Czasami Tiril zastanawiała się, czy przypadkiem nie popełnia błędu, sądząc, że jest w ciąży, to mające się narodzić dziecko prawie nie dawało o sobie znać. Wiedziała, że ono tam jest, ale czuła tak, jakby nosiła w sobie płód elfa, takie jej się zdawało eteryczne.

Inna jeszcze sprawa napełniała ją przerażeniem, ale z nikim, nawet z Mórim, nie odważyła się o niej rozmawiać.

Wielokrotnie w ciągu ostatnich tygodni dostrzegła coś kątem oka, kiedy się jednak odwracała, w pobliżu nie było nikogo ani niczego. Nie mogła więc widzenia opisać nawet sama przed sobą, ale zdawało jej się, że to wysoki czarny cień, który początkowo stanowił jedynie czarny punkt daleko nad horyzontem. Podpowiadała jej to wyobraźnia, bowiem niczego konkretnego nie zauważała. Później ów cień pokazywał się jakby bliżej i bliżej, a potem był już tuż-tuż, okropnie blisko.

Widywała go też we śnie. I wtedy zjawa była dokładnie taka, jak Tiril sobie wyobrażała: Niepospolicie wysoka, smoliście czarna sylwetka, która szła za nią w pewnej odległości, jakby jej pilnowała. Było to w najwyższym stopniu nieprzyjemne i przerażające ponad wszelkie granice, ale nie miała z kim na ten temat porozmawiać. Nie umiała o tym mówić, bo ów cień był jakby przeznaczony tylko dla niej i nikt inny nie powinien był o nim wiedzieć.

W ostatnim czasie zjawa stała się nieco bardziej konkretna, tak się Tiril zdawało. Kiedy szła z Nerem na wieczorną przechadzkę pośród pięknych łąk, czuła

obecność zjawy za plecami, a ściślej biorąc: czuła jej spojrzenie na karku. Odwracała się, oczywiście, bo była przekonana, że cień znajduje się bardzo blisko, ale — rzecz jasna — niczego nie dostrzegała.

Nero zdawał się też niczego nie widzieć. A co dziwniejsze, Tiril jakoś nie mogła łączyć tego tajemniczego cienia z istotami, które podążały za Mórim. Te istoty z jej cieniem nie miały nic wspólnego.

Nie, ten był przeznaczony wyłącznie dla niej.

To straszne, za każdym razem, kiedy zdawało jej się, że cień za nią stoi, czuła ciarki przechodzące po plecach.

Było to w czerwcu. Kolejna bezsenna noc, jakich ostatnio Tiril miewała coraz więcej. Wydarzyło się coś niezrozumiałego.

Przez cały dzień odczuwała jakiś niepokój w ciele, ale nie chciała nic mówić Móriemu, bo był to tylko... no właśnie, niepokój.

Teraz leżała na łóżku i wpatrywała się w jasną noc za oknem. Zaczynało już świtać, jeszcze co prawda było bardzo wcześnie, zaledwie przed kilkoma godzinami się ściemniło, ale przecież czerwiec to cudowny czas krótkich nocy.

Móri przez cały dzień ciężko pracował, w majątku budowano nową oborę i chciał być z ludźmi. Teraz więc spał głęboko.

Czas Tiril jeszcze się nie zbliżał, miała przed sobą co najmniej dwa, może nawet trzy tygodnie. Więc ten niepokój musiał pochodzić z jakiegoś innego źródła.

Kiedy tak patrzyła w okno szeroko otwartymi oczyma, na dworze nagle pociemniało. Z wolna, a jednak bardzo szybko, światło zniknęło, zarówno na zewnątrz, jak i w pokoju.

Czy ja ślepnę? — pomyślała przestraszona.

Chciała obudzić Móriego, ale stwierdziła, że nie jest w stanie się poruszyć. Krzyczeć też nie mogła.

Ratunku, co się ze mną dzieje, myślała w panice. Co to takiego?

Łóżko zaczęło wirować wraz z nią. A może traciła przytomność? Usiłowała zatrzymać na czymś wzrok, ale wszystko spowijały gęste ciemności.

O Boże, Móri, ja umieram!

Wirowanie ustało.

Nagle zobaczyła siebie z pewnej odległości, szła przez jakieś pustkowia. Znajdowała się w tym ciele, które szło, a jednocześnie w tym, które leżało na łóżku, było to straszne doznanie, nie byłaby w stanie go wytłumaczyć.

Żeby się nie dać kompletnie przytłoczyć wrażeniom, skupiła się jedynie na tym, czego doznawała i co odczuwała Tiril wędrująca samotnie po polach. Wtedy zaczęła widzieć wyraźniej, jakby tajemnicze światło nocy powróciło.

Wokół niej rozciągały się bezkresne bagna. Idąc przez nie odczuwała nocny chłód. To znaczy znajdowała się już bardzo daleko na bagiennej przestrzeni, kiedy

cała ta wizja się zaczynała. Nie odwracaj się, Tiril! Cień!

Wszędzie wokół migotały te maleńkie niebieskie światełka. Błędne ogniki, wędrujące ognie czy jak tam lud nazywa takie zjawiska.

Wokół rozlegały się też szepty, słabe, niemal niedosłyszalne szepty. Zdawało jej się, że dociera do niej coś jakby „Czekamy. Czekamy”.

Czy po mokradłach nie błędzą karły ze swoimi latarniami? Nie widziała wyraźnie pełgających płomyków, bo nad ziemią unosiła się mgła. Światełka poruszały się, strzelały w górę i przygasały. Tiril próbowała podejść do najbliższego. Chciała zobaczyć, co to.

O, tam, właśnie przy tej dziurze w ziemi, do której się zbliżała. Wyciągnęła rękę w stronę matowoniebieskiego płomyka. . .

Ziemia usunęła jej się spod nóg i całe widzenie zniknęło. Tiril leżała znowu w swoim łóżku, ale zdawało jej się, że stoi nad tą dziurą w bagiennej ziemi, na tym grząskim, zdradliwym gruncie, i uchwyciła się mocno brzegu materaca, żeby nie wpaść.

— Móri, Móri, ja spadam — zdawało jej się, że tak właśnie woła, ale nie mogła tego zrobić, bo w pobliżu nikogo nie było, choć wiedziała, że mąż leży obok niej.

Mój Boże, mój Boże, co to jest, myślała zrozpaczona. Co się ze mną dzieje?

Jakiś basowy głos narastał do siły grzmotu, dudniło jej w uszach, a ciemności stawały się coraz głębsze. Coś ciągnęło Tiril w dół, coś niby tańczący, huczący sztorm. Musiała zamknąć oczy, mimo wszystko jednak czuła, że obraca się w coraz szybszym tempie, zsuwając się wciąż niżej i niżej, jakby ją wsysał jakiś potężny wir.

Nagle wszystko ustało.

Po długim, pełnym przerażenia czekaniu odważyła się w końcu otworzyć oczy.

Zielonkawe światło rozjaśniało delikatnie sklepienie, pod którym się znajdowała.

Sklepienie? Gdzie się podziała piękna sypialnia w Theresenhof?

Tiril nie rozumiała niczego.

Z bardzo daleka docierał do niej głos smutnego męskiego chóru, o którym opowiadał Móri. Pełne żalu modły umarłych czarnoksiężników, proszących o wybaczenie ich złych postępów.

W powietrzu czuło się zapach zbutwiałej ziemi i Śmierci.

Znajduję się w krypcie grobowej, pomyślała nieoczekiwanie przytomnie. Ale co ja tu robię?

Wiedziała, że nie śpi i że to wszystko nie jest sennym marzeniem. Leżała w łóżku i patrzyła na poruszane wiatrem firanki, kiedy ciemności pochłonęły pokój i krajobraz za oknem. I to, co teraz przeżywała, to nie był żaden stan przejściowy między snem a jawą.

— Gdzie ja jestem? — szepnęła, a w każdym razie próbowała wypowiedzieć takie słowa, lecz głos odmówił jej posłuszeństwa.

Nie poznawała tego miejsca, nigdy przedtem tu nie była. To nie były ani krypty grobowe w Tiersteingram, ani kościół w Holar, ani żadne inne miejsce, w którym kiedyś była.

Coś przepłynęło koło niej. Cień...?

Nie, zresztą cokolwiek to było, już zniknęło.

W miarę jednak jak jej oczy przyzwyczajały się do tego zielonkawego mroku, dostrzegała coraz więcej cieni. I teraz je rozpoznawała.

— Nidhogg — próbowała wyszeptać.

Siadały na krawędzi jej łóżka, bowiem nadal w nim leżała, tylko że Móriego nie było.

Tiril bała się jego towarzyszy.

— Dlaczego ja tutaj jestem?

— Musisz zostać przygotowana — odpowiedział Nidhogg skrzekliwym głosem.

— Do czego?

— Przecież wiesz.

Zjawili się wszyscy. Widziała wśród nich własnego ducha opiekuńczego, uśmiechał się do niej uspokajająco, ale ona nie była w stanie odpowiedzieć mu tym samym.

— Dlaczego widzę te ogniki?

— Nie są przeznaczone dla ciebie.

Nauczyciel ujął ją pod łokcie i zmusił, by usiadła.

— Nie dotykaj mnie — jęknęła zdjeta nagłym strachem.

— No, no, dobrze już, dobrze, będziesz musiała przez to przejść.

— Ale ja nie chcę! Pozwólcie mi odejść!

— Tiril — upomniał Nauczyciel z wielką cierpliwością. — Wiedziałaś o tym od dawna. Teraz już za późno na protesty i żale.

Próbowała się cofać.

— Dlaczego chcecie sprawić mi ból?

— Nic ci nie zrobimy, powinnaś o tym wiedzieć. To do Móriego powinnaś mieć pretensje, nie do nas. Teraz wokół niej stali wszyscy. Tiril nie odrywała od nich oczu.

— Czego wy ode mnie chcecie, duchy śmierci?

— Przekonać cię, że powinnaś być ostrożna. Prosić cię, byś chroniła to, co należy do nas.

Tiril poczuła zimny pot na plecach.

— O co wam chodzi?

Nauczyciel powiedział:

— Nigdy nie pozwól mu iść dalej na Południe! Już i tak znaleźliście się zbyt daleko od domu. Mimo wszystko to dobrze, że przyszliście tutaj.

— Mówicie zagadkami, panie.

— Pozwól mu wypełnić jego zadanie! Nie powstrzymuj go! Nie trać czasu na bezsensowne walki na Południu ani na żadne poszukiwania. Pozwól mu wypełnić jego wolę.

Tiril spoglądała to na jednego, to na drugiego.

— Bo ono jest nasze — dodał Duch Zgasłych Nadziei.

Tiril jęczała bezradnie, niezdolna wykrztusić ani słowa.

— Ty dostaniesz więcej — rzekł Nauczyciel. — Ale to jest nasze.

— Nie! — krzyknęła stanowczo.

— Tak po prostu musi być. Pamiętaj o ostrożności! O wielkiej ostrożności. Na Południu istnieją złe siły, nie pozwól, by znalazły się blisko ciebie. I jeszcze jedna ważna sprawa: Nie nadawaj mu imienia bez nas! To my będziemy decydować o imieniu.

„To”. „Ono”. Przez cały czas tak mówili. W takim razie nie wiedzą, co to będzie. Tiril poczuła coś w rodzaju złośliwego triumfu, że jednak nie wszystko jest przed nimi otwarte.

Po chwili ogarnęła ją rozpacz.

— Nie możecie zrobić nic złego takiej niewinnej istocie — powiedziała gwałtownie.

— O tym Móri powinien był pomyśleć wtedy, kiedy próbował wskrzeszać zmarłych w kościele w Holar. Powinien był rozumieć, że my łapczywie pochwyćmy nadarzącą się okazję.

— Jaką okazję? Czego wy chcecie, do czego zmierzacie?

— To nasza sprawa, nie twoja. Ty jesteś tylko pośredniczką.

— No to pomóżcie nam w zamian za to! Pomóżcie nam przeciwko tym, którzy nastają na nasze życie!

Oblicze Nauczyciela pociemniało.

— My tej siły nie znamy. Ale na tobie spoczywa odpowiedzialność, by je dla nas uchronić również przed tą siłą.

— To niesprawiedliwe! Chcecie brać, nic w zamian nie dając!

— Nic ci o tym nie wiadomo.

Ręce wyciągały się, by jej dotknąć. W następnej chwili Tiril krzyknęła śmiertelnie przerażona. Zamknęła się nad nią wielka ciemność.

„Mgliste postaci widziałem w oddali,
Długie szeregi uspiomych pokoleń,
Wciąż pogrążonych w nadziei i wierze,
Że zbudzi je słońce, co ciemność pokona,

Cicho drzemiące bliźnięta przy sobie,
Jedno przy drugim w spokojnym grobie”.¹

¹Fragment pierwszej części poematu Gustafa Frödinga „Sny w Hadesie”.

Rozdział 9

W głowie Tiril szumiało i grzmiało. Boże, Boże, to się źle skończy, myślała. To mnie zabije, one wciągną mnie do swego świata, do świata Śmierci, muszę się z tego wydobyć, zanim będzie za późno. . .

Miotła się niczym tonący, który usiłuje wysunąć głowę nad powierzchnię wody, z tą tylko różnicą, że na wpół uduszona Tiril się zmagala nie z wodą, lecz z ziemią.

Z cmentarnym, zbutwiałym piachem, ciemnobrazowym, ułożonym warstwa na warstwie jak torf i pełnym doczesnych szczątków dawno temu pochowanych ludzi. Nie widziała nad sobą blasku dnia, wszystko stało się brunatne, ale była w stanie wyobrazić sobie życiodajne światło, tęskniła za nim, robiła wszystko, by do niego wrócić.

Szamotała się i walczyła desperacko.

Wokół było tak ciasno, ciało miała obolałe od wysiłku i poobijane podczas prób wydobywania się z tego dławiącego uścisku. Cierpiała straszliwie, ale nie dawała za wygraną. Musiała się wydostać na górę!

Pozwól mi zobaczyć Móriego choćby jeszcze jeden jedyny raz, żebym mogła mu powiedzieć, jak bardzo go kocham, chyba byłam w tych sprawach trochę za bardzo powściągliwa, bo tak się bałam, że go utracę. Nie miałam odwagi ujawnić swoich najgłębszych uczuć, o Boże, ja stąd nie wyjdę, ziemia jest taka zwarta, ból rozszarpie mnie na kawałki, pomóż mi, pomóż mi, duchy nie pozwalają mi wyjść! Móri, nie powinieneś być nigdy zawierać z nimi paktu, teraz będziemy musieli ponieść konsekwencje.

Jaki ból, o Boże, nie wytrzymam tego!

Jakiś głos, niedaleko. . .

— Musisz przeć, Tiril, przeć jeszcze mocniej! Wiem, ale w żaden sposób nie mogę wyjść na górę, nie mogę, ziemia mnie dławi.

— Mocniej, Tiril! Za późno, żeby się zatrzymywać. Pierwszy głos należał do kobiety. Drugi do Móriego.

— To wszystko idzie za szybko — oznajmił obcy głos austriackim dialektem. A może głos nie był taki obcy? Tiril już go kiedyś słyszała. . .

Akuszerka.

Ból ustał. Tiril kilkakrotnie wciągnęła bardzo głęboko powietrze i otworzyła oczy.

— No, Bogu dzięki — szepnął Móri przy jej głowie. — Już się baliśmy, że cię utracimy.

— Ja byłam. . . — zaczęła szeptem, ale nie mogła dokończyć, bo przeszył ją znowu potworny ból, Tiril krzyknęła rozdzierająco i ponownie straciła świadomość.

Głosy, znowu głosy, podniecone, świszczące:

— Szybko, przytrzymaj tam, a ja będę cisnąć. . . Nie, nie, ostrożniej! O, tak! No, no, teraz pójdzie dobrze, trzymaj mocno!

Nie do niej mówiły te głosy, rozmawiały pomiędzy sobą.

Przewlekły, nieznośny ból, który zdawał się rozrywać ją na strzępy, powoli przygasał, jakby wypływał z jej ciała.

Czuła się pusta, cudownie wyzwolona, lecz pusta!

Przez długą chwilę trwała cisza.

A potem rozległ się szept:

— Zabierz go stąd, zanim ona się ocknie!

To był głos jej matki, martwy, pozbawiony wyrazu.

— Ale to znamię. . . — szepnęła akuszerka.

— Znamię?

To ochrypły, przerażony głos Móriego.

— Tutaj — powiedziała akuszerka.

Cisza.

Znamię? Znak? Kiedyś, bardzo dawno temu, duchy powiedziały: „Ale uważaj na znak!”

Tiril chciała coś powiedzieć, chciała otworzyć oczy, lecz była na to zbyt wyczerpana. Nie stać jej było na nic.

Ponownie głos matki:

— Wyglądasz na kompletnie porażonego, Móri. Co oznacza to znamię, skoro jego widok tak na ciebie działa?

Dlaczego dziecko nie krzyczy? Bo tyle mogę zrozumieć, że dziecko przyszło na świat i że to chłopiec. Ale dlaczego nie krzyczy?

— Ja miałem takie samo znamię na łopatce, kiedy się urodziłem — odparł Móri. — Moja matka nazywała to znamieniem maga. Później zniknęło.

— Dokładnie tak jak Mongolskie plamki znikają z dzieci — powiedziała Theresa. — Móri, czy to znaczy, że. . . ?

— Tak. Ale przecież sama pani widzi, że to nie tylko znamię. . .

— Owszem, widzę — odparła Theresa. — Cii, Tiril się budzi! Zabierajcie stąd dziecko, szybko!

Pospieszne kroki po podłodze, jakieś zamykane drzwi.

Nie, nie zabierajcie mi dziecka, chciałam je zobaczyć, pomyślała.

Mozolnie starała się otworzyć oczy. Przy drzwiach. . . Jakiś wysoki cień.

— Móri?

— Jestem tutaj, Tiril.

Jego ręka w jej dłoni. Jego ciemne oczy, teraz całkiem czarne w bladej twarzy. Dłoń matki w drugiej ręce Tiril. Zapomnij o cieniu! Nie patrz w tamtą stronę!

— Miałam okropny sen — szepnęła Tiril, a Theresa zwilżyła jej spękane wargi mokrą szmatką. Móri pomógł jej unieść głowę i dał jej się napić wody.

Poczuła się lepiej. Była już w stanie rozmawiać, ale czy chciała? Czy chciała poznać prawdę? Czy nie lepiej wybrać nieświadomość?

Nie, musi wiedzieć!

— Czy urodził się żywy?

Że też czekanie na odpowiedź może być takie bezlitosne!

Skoro odpowiedź nie nadeszła w ciągu następnych kilku sekund, mówiła dalej niemal jednym tchem:

— Nie słyszałam, żeby płakał.

— On żyje — zapewnił Móri zachrypłym głosem.

— I tylko to jedno się liczy — powiedziała Tiril z głębokim westchnieniem ulgi. — Chcę go zobaczyć! Dlaczego nie chcecie mi go pokazać?

Matka wahała się.

— On jest. . .

— To nie ma znaczenia — przerwała jej Tiril. — Kocham go i tak.

— My także — potwierdziła Theresa. — Prawda, Móri?

— Owszem.

— Widzieliście go i mimo to go kochacie. Dlaczego mnie nie wolno go widzieć?

— Jesteś jeszcze bardzo słaba. Mało brakowało, a bylibyśmy cię utracili.

— Dlaczego? To znaczy, co się stało?

Móri zwlekał z odpowiedzią.

— Chyba za bardzo się wykrwawiłaś. A i przedtem nie miałaś za dużo krwi. Poza tym w pokoju coś się stało. Obudziłem się, bo jęczałaś przez sen, myślałem, że coś ci się śni, ale ty byłaś nieprzytomna, jakby twoja dusza przebywała gdzie indziej. Mimo to zrozumiałem, że zbliża się poród.

— Masz rację, byłam bardzo daleko — potwierdziła Tiril.

Móri patrzył na nią badawczo.

— Pokój był taki dziwnie mroczny. I powietrze takie gęste. Takie gęste jak. . . jak. . .

— Jak ziemia — podpowiedziała Tiril.

— Tak. To właściwe określenie. Ale ja, naturalnie, natychmiast podniosłem alarm. Kiedy wróciłem do ciebie, pokój był znowu zwyczajny. Potem przez cały ranek walczyliśmy o życie twoje i dziecka.

— To wszystko stało się tak szybko — wyjaśniła matka.

— Nie było żadnych znaków świadczących, że rozwiązanie się zbliża, prawda? I nagle poród był w toku. Mało brakowało, a akuszerka przyszłaby po wszystkim.

Ja czułam, że coś się zbliża, pomyślała Tiril. Niepokój w całym ciele. Powinam była powiedzieć im o tym. Ale zdawało mi się, że to nic takiego.

— Czy mogłabym go teraz zobaczyć?

— Tak, tylko trzeba go wykapać i ubrać — powiedziała Theresa.

— Gdzie ty właściwie byłaś, Tiril? — zapytał Móri z powagą. — Wyglądałaś jak martwa, przeraziło mnie to.

Tiril wpatrywała się rozmarzonym wzrokiem w letni krajobraz za oknem, szczęśliwa, że znowu jest tutaj, że może się cieszyć jasnym, ciepłym dniem.

— To nie był sen, mogłabym przysiąc, że...

— Nie, oczywiście, że to nie sen. Ale przez cały czas znajdowałaś się tutaj, wszystko inne bym natychmiast zauważył.

— Tak.

Tiril zamyśliła się.

— Ogniki — szepnęła, ale o cieniu nie wspomniała.

— Ogniki?

— Na mokradłach. Na bezkresnych mokradłach. Nieduże niebieskie płomyki tańczyły ponad bagnem...

— Gaz błotny — stwierdziła Theresa krótko.

— Możliwe, ale one czegoś ode mnie chciały. Wabiły mnie do siebie, ale to było oszustwo, bo kiedy się zbliżałam, oddalały się. Słyszałam ich świszczące szepty.

Theresa już miała coś powiedzieć, lecz Móri uniósł rękę w ostrzegawczym geście.

Tiril ciągnęła:

— Widziałam je już przedtem... Chociaż może wtedy to był sen, nie pamiętam. Wtedy też słyszałam ich szepty. O tym, że czekają. I teraz też tak mówiły. Nie rozumiem tego.

— Ani ja — westchnął Móri. — Czy na tym sen się skończył?

— Tym razem to wcale nie był sen — zaprotestowała ostro. — A później zostałam wciągnięta w dół.

— W bagno?

— Nie wiem. Nie, chyba nie. Znalazłam się w jakiejś krypcie grobowej. I twoi przyjaciele z tamtego świata byli ze mną.

— Och! — jęknął Móri wyraźnie zmartwiony.

Nagle Tiril poczuła, że nie chce mu powtarzać tego, co jej powiedziały, jakby to dotyczyło tylko jej samej. Zakończyła walkę, wydostała się znowu na powierzchnię ziemi i nie ma do czego wracać.

Otworzyły się drzwi i do pokoju weszła akuszerka z białym zawiniątkiem w ramionach. Tiril widziała, że twarze Theresy i Móriego zamarły, ona jednak poczuła się teraz bardzo silna. Pojmowała, że coś z tym dzieckiem jest nie tak jak powinno, ale może właśnie dlatego obiecała sobie, że nigdy go od siebie nie odepchnie.

Mimo wszystko nie zdołała się opanować i głośno przełknęła ślinę w panicznym strachu przed tym, co za chwilę zobaczy.

Najpierw dostrzegła z profilu maleńką główkę. I zaciśniętą, wymachującą piąstkę.

Długie, czarne niczym węgiel włoski. Różowy policzek i mocno zamknięte oczka.

— Ale... on jest przecież śliczny — powiedziała niepewnie. — Co z nim nie w porządku?

Akuszerka odwróciła dziecko, pokazując jego drugi profil, i Tiril patrzyła zdumiona.

Ta strona twarzyczki także była ładnie ukształtowana, ale kolor skóry...?

Skóra wydawała się wprost trupio biała, w niektórych miejscach niebieskawa jak lód, wargi od tej strony miały kolor sinoniebieski.

Jedna strona dla Życia. Jedna dla Śmierci.

Tiril zaczęła głośno płakać ze zmęczenia i długotrwałego napięcia. Wszystko się w niej burzyło z żalu nad tym dzieckiem, które było jej i Móriego i które zasłużyło na ich największą miłość. Biedny mały chłopczek.

Chociaż był taki maleńki i chociaż dopiero co się urodził, dostrzegała w jego buźce wyraźne podobieństwo do Móriego. W każdym razie ciemne włosy musiał odziedziczyć po ojcu.

Theresa stała przy łóżku, ocierała oczy i nos, myślała chyba, że Tiril nie zechce takiego dziecka?

— Mimo wszystko on jest śliczny — szlochała Tiril.

— Nic nie szkodzi, że taki malutki i siny i że urodził się na czarnoksiężnika. To najładniejszy malutki chłopczyk, jakiego widziałam.

— Jedno jest pewne — rzekł Móri bezbarwnym głosem.

— Będzie się znajdował pod bardzo dobrą opieką, zarówno żywych, jak i... .

Opieka będzie potężniejsza niż sądzisz, pomyślała Tiril z żalem w sercu. On należy do nich, chociaż ty jeszcze o tym nie wiesz. I... Nie, nie patrz w stronę drzwi! To nie ma znaczenia.

Theresa zdawała się także nie mieć wątpliwości, o czym pomyślała, chociaż nie dokończył zdania. Akuszerka nie rozumiała po norwesku, za co akurat teraz bardzo byli losowi wdzięczni. Pocziwa kobieta powiedziała natomiast:

— Taka trupia bladość to zły znak dla dziecka. Chyba nie pożyje długo.
Móri potrząsnął głową.
— Tu nie ma mowy o żadnej chorobie. To jest... dziedziczne obciążenie — zakończył wykrętnie.
Akuszerka pokiwała głową. Przeciwno temu, co mówi ten doktor, czy kim on tam jest, nie znajdowała argumentów.
Tiril wzięła chłopaczka na ręce. Malutkie paluszki zacisnęły się na jej palcu wskazującym i trzymały mocno. Z niepokojem dotykała jego drugiej rączki, tej po trupio bladej stronie, żeby sprawdzić, czy też funkcjonuje jak należy. Nie stwierdziła żadnej ułomności, tyle tylko że skóra była wyraźnie zimniejsza.
Ostrożnie wyciągnęła rękę i zsunęła koszulkę dziecka, odsłaniając bark.
Znamię było rozległe, nigdy przedtem niczego podobnego nie widziała. Ciemnosine, niesymetryczne, trudno było się w jego rysunku doszukać jakiegoś kształtu.
— Wydaje mi się, że ja miałem dokładnie takie samo — powiedział Móri.
— Ale teraz nic nie masz. To pocieszające — rozjaśniła się Tiril.
— Ty jednak powinnaś teraz odpocząć — wtrąciła jej matka. Wzięła dziecko, choć Tiril oddawała je bardzo niechętnie. Obie starsze kobiety opuściły pokój.
Tiril wyciągnęła rękę do Móriego, który uścisnął ją czule.
— Dziękuję, Móri — wyszeptwała. — Dziękuję za chłopca!
— To ja tobie powinienem dziękować — uśmiechnął się w odpowiedzi. — Będziemy o niego bardzo dbać i nie pozwolimy, żeby cierpiał dlatego, że jest trochę inny.
— Oczywiście!
— A jak go nazwiemy? Myśleliśmy o imieniu Theresa, gdyby urodziła się dziewczynka, ale...
Przerwała mu, kładąc palec na wargach.
— To nie my będziemy mu nadawać imię. Twoje duchy zastrzegły sobie do tego prawo. Bardzo nalegały.
Móri patrzył na nią przez chwilę, potem westchnął, zaciskając wargi.
— Mam nadzieję, że wybiorą jakieś dobre i nie nazbyt dziwaczne.
— Ja też mam taką nadzieję. Ale, Móri, ja się boję. Nie z powodu imienia, rzecz jasna, imię niech sobie będzie jakie chce. Tylko jaką przyszłość zdołamy zapewnić tej nieszczęsnej kruszynie?
— Myślę, że rozstrzygnięcie o tej sprawie nie leży w naszej mocy.
— No i tego się właśnie boję.
Długo siedzieli bez słowa, przytuleni, jakby szukali pociechy jedno u drugiego, a jednocześnie pragnęli jedno drugie uspokoić co do przyszłości malutkiego synka.
Czuli się tak okropnie bezsilni, chyba bardziej niż kiedykolwiek w ciągu tych lat, które z sobą spędzili.

— Tiril... Wiesz, o czym ja myślę?
— Nie.
— O tym, co duchy powiedziały mi kiedyś bardzo dawno temu. Że za wszystko, cokolwiek dobrego uczynię, musi zostać wyznaczona jakaś kara.
— Pamiętam to.
Cień przy drzwiach zniknął. Kiedy Tiril odważyła się spojrzeć w tamtą stronę, nikogo nie było.
Móri mówił dalej:
— Jeśli uczynię coś dobrego jednemu człowiekowi, ściągam cierpienie na kogoś innego. Teraz wyraźnie to widzę.
— Nie zgadzam się z tobą, Móri. W stosunku do mnie na przykład tysiące razy czyniłeś dobro i nie wydaje mi się, żebyś tym samym przyczynił komukolwiek zła. W ogóle nie umiem sobie przypomnieć niczego negatywnego.
Spojrzał na nią z ulgą.
— Dziękuję, Tiril! Dziękuję ci za te słowa! Pamięć o tym, co powiedziały duchy, ciążyła mi od dawna niczym mara.
— Nie wolno ci nawet tak myśleć. Wiesz co, ja sądzę, że duchy zmieniły w tej sprawie zdanie. Zapytam je, kiedy się spotkamy następnym razem.
Móri się roześmiał.
— Twój stosunek do moich pozaziemskich demonów zawsze mnie zdumiewał. Ale wiem, że zachowujesz się szczerze, i mam nadzieję, że one także w to wierzą.
— To nie żadne demony — uśmiechnęła się Tiril. — To najsympatyczniejsze istoty, jakie można sobie wyobrazić.
— Rany boskie — mruknął Móri i odwrócił twarz, by ukryć śmiech.
— Wiesz, na co się najbardziej cieszę? — zapytała po chwili Tiril.
— Mogę sobie wyobrazić różne rzeczy — odparł. — Ale o czym teraz myślisz?
— O tym, jak pokażemy naszego malca Nerowi. Myślę, że zostaną przyjaciółmi.
Móri spoważniał.
— Jeśli o to chodzi, to powinniśmy być bardzo ostrożni. Nie wolno nam wzbudzić u Nera zazdrości. I trzeba też pamiętać, że małe dzieci często ciągną psy za kudły albo wbijają im palce w oczy, nie zdając sobie sprawy z tego, co robią.
— Masz rację. Trzeba będzie bardzo uważać. Ale cieszę się mimo to.
— I ja. Och, Tiril, jaki ja jestem szczęśliwy! I jaki dumny! Ja, który myślałem że przyjdzie mi spędzić życie w cieniu, samotnie, bez przyjaciół, mam teraz całą liczną rodzinę. Najpierw los dał mi ciebie i Nera, przyszliście do mnie razem. Potem teściową, i to taką, z której nikt nie może sobie żartować. Własny dom, najwspanialszy na świecie. I w końcu syn! Maleńki synek!
— Tak!

Znowu milczeli. Oboje myśleli o tym samym: Nie ma znaczenia, jak to dziecko wygląda. Najważniejsze, że nigdy nie będzie miało powodu czuć się niekochane!

Rozdział 10

Na trzeci dzień po urodzeniu malutki chłopczyk otworzył oczka.

Tiril czekała na ten moment pełna jak najgorszych przeczuć. Ale czego się właściwie bała? Że dziecko będzie mieć jedno oko niebieskie, a drugie piwne? To by przecież nie była żadna katastrofa. Chodzą po ziemi tacy ludzie i znakomicie sobie radzą, choć różni przesądni nieszczęśnicy gotowi są uważać, że to znak Złego.

Dręczona obawami Tiril nie spodziewała się tylko tego, co naprawdę zobaczyła.

Oczy dziecka okazały się normalne, oba tego samego koloru, dokładniej mówiąc — czarne jak węgle. Nie, jak to zwykle bywa, ciemnogrnatowe, przechodzące w czerń, ale głęboko czarne, jakby w ogóle pozbawione były tęczówki i miały same źrenice. Tęczówka, oczywiście, była, tylko że kompletnie smolście czarna.

— Jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widziałam — powiedziała Theresa. Po czym dodała uspokajająco: — Ale to nie wygląda źle, to nie są brzydkie oczy, wprost przeciwnie!

Od pierwszej chwili nieprzytomnie kochała swojego wyjątkowego wnuczka; przez całe dni nie odstępowała od jego kołyski.

Pierwsze spotkanie Nera z jego nowym panem przeszło najśmielsze oczekiwania. Gdy Nero zbliżył się do dziecka, żeby je powąchać, niańka chciała go przepędzić.

— Nie, nie, nie przeszkadzaj mu — powstrzymała ją Tiril. — On musi się z dzieckiem zapoznać na swój własny sposób.

Ukucnęła obok psa.

— Tu jest jeszcze jeden człowieczek, którym będziesz się opiekował, Nero. Chcesz? Chcesz, piesku, opiekować się tym malcem? Tak, tak, możesz go powąchać. Czyż on nie jest śliczny? On cię bardzo lubi, Nero.

Wszyscy wstrzymali dech, gdy pies pochylił swój wielki łeb nad kołyską. Mógł śmiertelnie przestraszyć małeństwo, ale trudno mu było zabronić oględzin. To by mogło źle usposobić zwierzę do nowego członka rodziny.

Również Móri łagodnie przemawiał do czworonożnego przyjaciela. Szeptał mu coś do ucha dokładnie tak samo jak wtedy w Bergen, kiedy prosił Nera, by bardzo uważnie strzegł Tiril.

Nero nastawił uszu i słuchał. Ogon z wolna uderzał o podłogę. Potem pies znów z zaciekawieniem spojrzął na leżące w kołysce niemowlę.

Malec patrzył na niego swoimi lśnącymi, czarnymi oczkami. Wszyscy widzieli, że niańka jest sztywna ze strachu i w każdej chwili może zacząć krzyczeć, dawali jej więc znaki, żeby była cicho. Gdyby chłopiec się teraz poruszył, wszystko mogłoby zostać zniszczone.

Nero zliżał spokojnie kroplę mleka z bródki chłopca. Mięśnie na twarzy dziecka drgnęły, ale wyglądało to tak, jakby malec się uśmiechnął. Wszyscy odetchnęli z ulgą.

Księżna przystała na to, by zaczekać z chrztem. W tajemnicy przed innymi modliła się jednak często w kaplicy w intencji dziecka, wciąż paliła świece przed obrazami świętych i przed wyrzeźbioną w drewnie figurką Panny Marii, błagając o łaskę dla nieszczęsnego chłopca, który przyszedł na świat z takim strasznym obciążeniem. Płakała z jego powodu i prosiła o wybaczenie ciężkiego grzechu, jakiego dopuściła się w młodości, a który teraz, jak sądziła, zemścił się na jej wnuku. Całą winę za to, że chłopczyk jest taki... odmienny, Theresa brała na siebie i w tajemnicy przed Tiril lała z tego powodu gorzkie łzy.

Trudno, niech niewidzialni towarzysze Móriego ochrzczą dziecko, nie, ochrzcić to nieodpowiednie słowo, tu w grę wchodzi jedynie nadanie imienia. Mimo wszystko księżna upierała się, by malec został chrześcijaninem. No i przy tym otrzymał też dodatkowo chrześcijańskie imię, żeby któryś święty mógł roztaczać nad nim opiekę, chronić go przed...

Nie, nie była w stanie wymienić tych, którzy zagrażali maleństwu, bo sama nie miała dla nich żadnego określenia.

Móri obiecał, że będzie rozmawiał z duchami na temat ewentualnego drugiego imienia. Wiedział przecież, że Theresa jest głęboko religijną katoliczką i że dla niej fakt, iż jedyny wnuk nie został ochrzczony, trudny będzie do zniesienia. A gdyby tak umarł nie uwolniony od grzechu pierworodnego? Przecież w takim wypadku znalazłby się w piekielnych płomieniach.

Bardzo szybko jednak Theresa musiała zająć swoje myśli czym innym.

Brat księżnej zawiadomił, że wybiera się do niej z wizytą.

Theresa okropnie się denerwowała. Od dawna gotowa była przedstawić mu Tiril, to nie nastroczało kłopotów. Gotowa też była przedstawić mu swego zięcia. To co prawda trudniejsza sprawa, ale przecież bardzo lubiła Móriego i bez wątpienia sobie poradzi. Myślała o nim z dumą, będzie go bronić ze wszystkich sił, jeśli zajdzie potrzeba.

Natomiast zupełnie nie wiedziała, co zrobić z ukochanym wnuczkiem.

Pokazać go, tak jak pragnęła? I wywołać okrzyki zdziwienia, może nawet szok?

Czy może ukryć dziecko, oszczędzić córce, i zięciowi upokorzenia? Ale zarazem dałaby im przecież do zrozumienia, że wstydzi się tego dziecka.

Pojawił się jeszcze inny, przerażający problem.

Od chwili gdy dziecko przyszło na świat, nieustannie wszyscy troje przekonywali się nawzajem, że sinobiała barwa skóry z pewnością niedługo zniknie. . .

I rzeczywiście znamię, znak czarownika, powoli bladło, ale razem z nim bladła również normalna, różowa skóra.

Ich ukochany mały skarb, któremu wszyscy w domu okazywali tyle czułości, stawał się cały równomiernie bladlosiny. Taka barwa nie była w żadnym razie właściwa ludziom. Nawet chore na serce dzieci są sine w inny sposób. One bowiem są bardziej niebieskie z wyraźnie czerwonałą tonacją pod skórą.

Małeńki synek Tiril był zimny i biały niczym szron. Najbardziej nieprzyjemnie wyczuwało się ten chłód przy dotyku. I na nic się nie zdało to, że pokojówka Theresy i niańka wynajęta do dziecka bardzo się starały, żeby w pokoju wciąż było ciepło. W końcu Móri musiał im powiedzieć, żeby przestały palić w piecu, dziecko od tego i tak się nie rozgrzeje.

Oczywiście pochodząca z najbliższej okolicy służba bardzo się dziwiła przypadłości malca, szukano wytłumaczenia w różnych przesądach, ale w ich stosunku do dziecka było bardzo wiele współczucia. Tiril i Móri wielokrotnie w pokoju dziecka znajdowali mające je chronić amulety i inne dziwne przedmioty. Pozostawiali je na miejscu, przecież i tak nie mogły chłopcu zaszkodzić.

Ale co Theresa miała zrobić ze swoim bratem? Czy mogła mu pokazać to dziecko? Powiedziała o swoim dylemacie Tiril i Móriemu, a oni zrozumieli ją bardzo dobrze.

— Tego dnia, kiedy przybędzie brat waszej wysokości, powiemy, że akurat dziecko nie jest całkiem zdrowe — zaproponował Móri. — Myślę, że powinniśmy poczekać, niech księżę pobędzie u nas kilka dni, niech nas lepiej pozna.

— To bardzo rozsądna propozycja — zgodziła się Theresa. — Z tą tylko drobną uwagą, że mój brat nie jest księciem. To sam cesarz!

Tiril i Móri, którzy dotychczas stali, usiedli oboje równocześnie z bardzo niepewnymi minami.

Theresa spoglądała na nich zakłopotana.

— Ja wiem, że powinnam była powiedzieć wam o tym wcześniej. Nie chciałam jednak, żeby dystans między nami był zbyt duży. On przybędzie tutaj w całkowitej tajemnicy, jedynie w towarzystwie kilku ludzi ze swojej gwardii przybocznej. Nie będzie ani cesarzowej, ani córek, ani żadnej z moich sióstr, bo one po prostu nie wiedzą o waszym istnieniu. Brat również robił mi poważne wymówki

w liście, ale potem złagodniał. Ja osobiście wstęp do Hofburga mam zamknięty, on jednak chce mnie zobaczyć. Tutaj. I poznać moją córkę.

— To może lepiej, żebyśmy obaj, i ja, i malec, pozostali w ukryciu — zaproponował Móri.

— Ty nie. Mój brat wie, że Tiril wyszła za męża. Ale masz rację, chłopca na razie mu nie pokażemy. Nie możemy władcy narażać na zbyt wielki szok. On pozostanie tu tylko dwie noce, wobec tego pokażemy mu dziecko następnego dnia po przyjeździe. Bo przecież wszyscy troje jesteśmy bardzo dumni z naszego maleństwa, prawda?

Tiril i Móri uśmiechnęli się, ale w ich oczach było tyle smutku. . .

Zanim jednak wspaniały gość przybył z wizytą, Theresa została zaproszona na przyjęcie do sąsiedniego dworu. Gospodarze nie znali jej osobiście, lecz osoby książęcego rodu zapraszane są chętnie. Można zaimponować innym gościom!

Theresa pojechała z radością. To przyjemnie móc spotkać się z ludźmi ze swojej klasy, myślała. Bardzo, oczywiście, kochała swoją małą rodzinę, ale szczerze powiedziawszy nie była przyzwyczajona do tej warstwy społecznej, do której należeli. Poza tym Móri był dość szczególnym człowiekiem, temu przecież nie można zaprzeczyć.

U sąsiadów została przyjęta z otwartymi ramionami, wszyscy chcieli z nią rozmawiać. Zaproszono wiele wytwornych dam, bo właśnie dla najelegantszych pań z okolicy zorganizowano ten wieczór. Po znakomitym obiedzie towarzystwo rozmawiało w salonie.

Początkowo Theresa uważała, że wszystkie panie są przemiłe. Znalazła kilka znajomych swoich dawnych znajomych z czasów młodości spędzonej w Wiedniu. Trochę ją to co prawda zaniepokoiło, bo nie miała pojęcia, co te panie o niej wiedzą, a dopiero co opowiedziała, że mieszka w Theresenhof z córką, zięciem i czarującym małym wnuczkiem, co dwie panie z Wiednia przyjęły z niejakim zdumieniem.

— Słyszałyśmy, że małżeństwo pani z księciem Adolfem von Holstein-Gottorp było bezdzielne — nie wytrzymała jedna z nich.

Theresa nie mogła nie odpowiedzieć damie, gapiącej się na nią z otwartymi ustami, na których zostały jeszcze okruchy ciasta. W popłochu rozpaczliwie szukała jakiegoś wyjścia. Posłużyła się pierwszą wymówką, jaka przyszła jej do głowy, nie zastanawiając się, czy jest dobra, czy nie.

— Och, Tiril jest dzieckiem z mego pierwszego i bardzo smutnego małżeństwa, zanim jeszcze wyszłam za księcia Adolfa. To była krótkotrwała, młodzieńcza przygoda, która skończyła się bardzo szybko. Mój mążzonek zmarł, zanim Tiril przyszła na świat. Jego matka tak strasznie rozpaczała po śmierci ukochanego syna, że bliska była utraty zmysłów, i ubłagała mnie, bym oddała jej córeczkę na kilka lat. Przystałam na to, ale potem starsza pani złamała obietnicę, nie pozwoliła mi nawet widywać dziewczynki, ukrywała się wraz z dzieckiem za granicą. Przez

wszystkie te lata szukałam mojej córeczki. Odnalazłam ją dopiero teraz i wszyscy nareszcie jesteśmy bardzo szczęśliwi.

W salonie zapadła cisza.

Wybacz mi, Najświętsza Panienko, modliła się w duchu księżna. Wybacz mi to kłamstwo.

Wścibska dama z Wiednia powiedziała jednak z przekonaniem:

— Ale myśmy nigdy nie słyszeli, że księżna była dwukrotnie zameżna.

— Och, bo nie urządzono wesela i wszystko dokonało się w wielkim pośpiechu. Mój przysły małż udawał się na wojnę, a teściowa chciała, żeby ceremonia odbyła się w jej posiadłości; uczestniczyła w niej tylko najbliższa rodzina. Jak powiedziałam, małżeństwo trwało bardzo krótko, natomiast Adolf był tak dobry iż ożenił się ze mną niedługo po śmierci mego pierwszego męża.

Boże, jak ja kłamię, myślała Theresa przerażona. Ale nie zamierzam dawać im powodu do nowych plotek. Tiril jest moją córką, również w obliczu prawa, nie będzie musiała odpowiadać za błędy mojej młodości.

— Zatem książę Adolf wiedział... — zaczęła znowu tamta pozbawiona wszelkiego taktu dama, ale gospodyni, która sprawiała wrażenie osoby rozsądnej, przerwała jej w pół słowa:

— O, cóż za wzruszająca historia! I jaka romantyczna! Pomyślcie tylko, odzyskać po latach utraconą córkę!

— Tak — uśmiechnęła się Theresa z wdzięcznością, wszystkie panie odechnęły.

Czy uwierzyły w tę opowieść? Theresa miała nadzieję, że tak.

Rozmowa toczyła się dalej.

Początkowo Theresa brała w niej udział, potem jednak zaczęła słuchać.

Panie rozmawiały o pomponach do zasłon, o leniwych służących, które nie potrafiły odpowiednio zaprasować fałdek na szlafmocy, o śmiesznych mamkach (Theresa nie miała odwagi powiedzieć, że Tiril sama karmi swego synka, bo by chyba wywołała skandal), skarżyły się na bezczelnych żebraków, którzy wystają pod ich bramami, ujawniały drażliwe szczegóły swego małżeńskiego pożycia i plotkowały jak najęte.

Do uszu Teresy docierały urywane fragmenty jakiejś historii, opowiedanej z wypiekami na twarzach w gronie pań siedzących pod oknem:

— ...owocu swojego grzesznego związku nie mogli, naturalnie, ukryć. On odebrał sobie życie...

Pełne zgrozy jęki i pospieszne znaki krzyża słuchających na wieść o tak strasznym postępku jak samobójstwo.

— ...został zaszyty w krowią skórę i wyrzucony na bagna.

— Całkiem zasłużenie. A ona? Ta grzeszna wywłoka, która go zbałamuciła?

— No właśnie, miała zaledwie czternaście lat, a już taka była zepsuta. Została, oczywiście, ścięta. Książdz był bardzo mądrym człowiekiem i zebrał wszystkie

dzieci z okolicy na egzekucję, by zobaczyły, jaki koniec czeka grzeszników.

— No a dziecko?

— Nieszczęsna zdradzona małżonka tego mężczyzny nie chciała mieć z nim nic wspólnego, zresztą nie ma się czemu dziwić. Wyniosła je zatem na ulicę i zajęli się nim chyba wiedeńscy żebracy.

Theresa poczuła się okropnie. Oto siedzą eleganckie panie i przytakują tej plotkarce w przekonaniu, że sprawiedliwości stało się zadość. A co ona tu robi? Czyż już zapomniała o tych wszystkich złych plotkach na wiedeńskim dworze i później w zamku Gottorp, gdzie nigdy nie czuła się dobrze? Czy zapomniała, jak wyniośle mogą się zachowywać ludzie z arystokratycznych domów, jak bardzo mogą upokorzyć kogoś, kto odważy się wyłamać, postępować inaczej? Jakie straszne etykiety potrafią przypinać? Czy zapomniała o ich zakłamaniu, o utrzymywanych w tajemnicy romansach, flirtach na korytarzach i w ukrytych buduarach? Naprawdę o wszystkim zapomniała?

Ujrzała nagle oczyma duszy jasną, czystą twarzyczkę Tiril i szczere oblicze Móriego, ich wierną wzajemną miłość, dokładnie taką samą jak jej młodzieńcze zauroczenie, pomyślała o swoim maleńkim wnuczku bezbronny wobec bezwzględnego świata i wobec niepewnej przyszłości. Widziała radość na twarzy Tiril, jej promienne oczy. Móri opowiedział jej o dzieciństwie Tiril, on sam dowiedział się o tym od przyjaciela obojga, Erlinga. O tym, że była dzieckiem radosnym i kochającym wszystkie żywe stworzenia. I o tym, jak niepojęte zło, tkwiące w ludziach, sprawiło, że blask w jej oczach zgasł. Ten blask powrócił teraz znowu tutaj, w Theresenhof. Móriego napępniało to wielkim szczęściem.

Theresa czuła się z tego powodu niewiarygodnie dumna. Bo przecież przyczyniła się do odbudowania wiary córki w ludzi i przywrócenia jej radości życia.

A teraz księżna siedziała pośrodku gromady gdakających, prymitywnych kur. Chociaż to obraza dla kur, pięknych i pożytecznych ptaków. O niewielkim rozumie i gdaczące, to prawda, ale nigdy złe i zawistne tak jak te pańcie.

Na szczęście nie wszystkie są jednakowo odpychające. Gospodyni, na przykład, to dobry człowiek, i kilka starszych pań, może zresztą też niektóre z najmłodszych, ale pozostałe? Lepiej nie myśleć.

Jako najwyżej postawiona wśród gości Theresa mogła zakończyć wizytę, kiedy zechce. No i właśnie postanowiła skorzystać z tego prawa. Serdecznie podziękowała gospodyni za przyjęcie i bąknęła jakąś konwencjonalną formułkę na temat rewizyty w Theresenhof. Powóz zajechał natychmiast.

Kiedy odetchnęła świeżym powietrzem, pomieszanym z zapachem stajni i nawozu, poczuła niekłamaną ulgę. Nie interesowało jej, co zgromadzenie będzie mówić na jej temat za plecami.

W domu w milczeniu powitała córkę serdecznym uściskiem. Tiril dobrze wiedziała, co to oznacza: wyznanie miłości, radość, że są razem, mieszkają pod jednym dachem, i prośba o wybaczenie, że choć przez chwilę pomyślała, iż należy

do, wyższej klasy niż jej córka i zięć.

Móri oniemiał, kiedy został nieoczekiwanie uściskany, a na koniec Theresa podeszła do łóżeczka i przyglądała się sinoblademu chłopczykowi o niebywale pięknej buzi otoczonej wianuszkami czarnych włosów.

— Kocham cię, mały — wyszeptała.

Chłopczyk spojrział na nią swoimi niezwykle oczyma, tak czarnymi, że zdawało się, iż w ogóle nie ma białek, ale to pewnie dlatego, że niedawno płakał i oczka trochę mu zapuchły. O Boże, a może całe gałki ma czarne? Nie, kiedy zmusiła dziecko, by szerzej otworzyło oczka, w kąciku mignęła biel. Theresa pomyślała, że oczy malca przypominają oczy zwierzęcia, pies czy koń też pokazuje białko jedynie w niektórych okolicznościach.

— Pozwól mi naprawić krzywdę, jaką wyrządziłam Tiril — szepnęła wzruszona. — Daj mi wszystko naprawić, tak jakbyś to ty był tym dzieckiem, które od siebie odepchnęłam. Nigdy nie będziesz musiał cierpieć, mój ukochany, już ja o to zadbam.

Theresa nie miała teraz najmniejszych wątpliwości, do jakiej warstwy należy i z kim chce pozostać na zawsze.

Z czasem Tiril dowiedziała się dużo więcej na temat cienia. To nie ona była przedmiotem jego zainteresowania, nie jej towarzyszył.

Widywała go wielokrotnie, najczęściej jako szarą mgłę, przepływającą obok niej, dostrzeganą kątem oka. Niekiedy zdawał się wyższy niż zazwyczaj i groźnie czarny, choć nie pojmowała, dlaczego tak jest. Od czasu do czasu jednak znikał bez śladu. Zaczęła więc zapisywać, w jakich okolicznościach go widuje. A przejrawszy później notatki stwierdziła ponad wszelką wątpliwość: Cień pokazuje się tylko wtedy, kiedy w pokoju znajduje się jej mały synek, bywa też z dzieckiem na dworze.

W pierwszej chwili doznała szoku, serce waliło jej jak młotem. Wiedziała wprawdzie, że każdy człowiek ma swego ducha opiekuńczego, Móri jej o tym powiedział. Ale ten tutaj to jednak chyba coś innego. Jakiś potwór z pozaziemskich otchłani? Taki wysoki, taki czarny, z tym dziwnym sposobem przemieszczania się jakby się skradał, płynął lub toczył się w powietrzu. Ciężka peleryna sięgała ziemi i plątała się pod stopami.

Poza tym... Móri mówił, że każdy ma ducha opiekuńczego odmiennej płci, to znaczy kobietami opiekują się duchy męskie, a mężczyznami żeńskie. A to przecież nie była kobieta, Tiril mogła przysiąc, że nie.

Porozmawiała na ten temat z Mórim. On również widywał cienistą zjawę, lecz uznał, że nie powinni się w to mieszać.

— Nie możemy go odpędzić — powiedział — bo to by jeszcze pogorszyło sprawę.

— Czy za tym stoją twoi towarzysze?

— Nic mi o tym nie wspominali.

Tiril nie zadowolila się tą odpowiedzią.

Pewnego przedpołudnia, kiedy była w pokoju sama z synkiem, zebrała się na odwagę. Najpierw wielokrotnie przetykała ślinę i głęboko wciągała powietrze.

— Ty, który tam stoisz — powiedziała w końcu cicho do niewyraźnej szarej plamy w kącie. — Skąd do nas przybywasz? Czy mógłbyś dać mi jakiś znak? Boję się o mego maleńkiego synka i chciałabym wiedzieć, czy życzysz mu dobrze, czy źle.

Cień ani drgnął.

Czekała przez chwilę, potem westchnęła zrezygnowana.

Ułożyła dziecko w kołysce, skąd wzięła je tylko na chwilę, bo chciała poczuć jego ciało w objęciach. Stwierdziła przy tym, że mały ma mokro, więc go przewinęła, nie wzywając do tak prostej czynności niania, po czym wyszła z pokoju z mokrą pieluszką w ręce.

Kiedy wróciła, zamarła z przerażenia.

Cień, straszliwie wysoki i czarny, pochylał się nad dzieckiem.

Tiril miała wrażenie, że serce pęknie jej ze strachu.

Cień wyprostował się i „odleciał” z powrotem do kąta.

Na brokatowej kołderce maleństwa leżała cudownie piękna biała róża, lecz jej łodyga najeżona była niebywale długimi i strasznie ostrymi kolcami.

Rozdział 11

Przybył cesarz z lokajami i ochroną osobistą. Jeśli uważał, że z takim licznym orszakiem podróżuje incognito, to Móri nie podzielał jego zdania.

Karol VII nie był władcą wojowniczym, ale jego dokonania polegały zdaje się głównie na zdobywaniu, utracie i ponownym zdobywaniu nowych obszarów. Był szorstki w obejściu i władczy, lecz bardzo przywiązany do swojej najmłodszej siostry. Przy powitaniu czynił jej jeszcze wymówki za młodzieńczą lekkomyślność, później jednak stał się serdeczny i miły.

Siostrzenicę, Tiril, traktował z powściągliwą życzliwością, ale spoglądał na nią rzadko. Móri go niepokoił i być może odrobinę przerażał, tak reagują wielkie autorytety przy spotkaniu z kimś obdarzonym jeszcze większym autorytetem. Autorytet Karola wpisany był niejako w jego cesarską godność, Móri przyniósł go ze sobą na świat i okazywał też bardziej naturalnie. Wkrótce jednak łagodny głos Islandczyka przywrócił cesarskiemu majestatowi poczucie pewności siebie.

Theresehof zostało, rzecz jasna, wypucowane do połysku na przyjęcie tak znakomitego gościa. Służba wycofywała się ze spuszczonymi oczyma, nie mając śmiałości nawet spojrzeć na cesarza, a pokojówka, której kieliszki o mało nie zsunęły się z tacy, wybuchnęła rozpaczliwym płaczem. Theresa skinęła jej uspokajająco głową i wszystko skończyło się dobrze.

Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła w zamku Gottorp, pomyślała Theresa. Tam popatrzyłabym na dziewczynę surowo, a potem ukarała.

Ja się rzeczywiście zmieniłam. To zasługa Tiril i Móriego. To oni postępują właściwie. Ich kultura bycia ma źródło w ich sercach, a nie w wyuczonych formułkach na temat etykiety.

Obiad był wyszukany. Tak wytworny, że Móri, który na Islandii niekiedy musiał się żywić wodą wyciśniętą z mchu, patrzył na zastawiony stół z wyrazem niedowierzania w oczach. Najpierw podano gęstą zupę na najdelikatniejszym mięsie, zaprawioną śmietaną i jajkiem. Potem kolejno na stole pojawiły się zimne i gorące przystawki, pieczeń cielęca ze szparagami na maśle, węgorz marynowany w białym winie, przepiórki z truflami w śmietanie i maleńkie kanapki z purée z łososia... Okazało się, że to dopiero początek. Zanim dotarli do dania głów-

nego, Móri był absolutnie najedzony i mógł nabierać tylko maleńkie porcje na spróbowanie. Wszystko to spożywano na najpiękniejszej miśnieńskiej porcelanie. Ale pod stołem siedział Nero. . . Na długo przed końcem obiadu dochodziły stamtąd ciężkie posapywania przejeżdżonego psa.

Deseru Móri nie był w stanie nawet spróbować, wszelkie granice zostały przekroczone. Postanowił jednak, że poprosi w kuchni, by mu zostawiono na później kawałek pysznego z pewnością tortu. Niczego bardziej apetycznego nigdy w życiu nie widział.

Cesarz wyraził kucharzom uznanie w formie dowcipnego komplementu. Theresa odetchnęła z ulgą, gdy nareszcie mogła zabrać swego tak wysoko postawionego gościa do salonu.

Kiedy lokaje wycofali się na odpowiednią odległość, brat księżnej rzekł:

— Jak rozumiem, Móri, ty nie pochodzisz ze szlacheckiego rodu?

— Nie, Wasza Cesarska Mość. Proszę jednak pamiętać, że Tiril nie wiedziała o swoim pochodzeniu, kiedy wychodziła za mnie za mąż.

Troszkę się mijają z prawdą, ale ustalili już przedtem, że datę ślubu przesunie się nieco, powie się, że małżeństwo zawarte zostało wcześniej, by uniknąć dodatkowych wymówek.

Cesarz Karol skinął głową. Mam nadzieję, że on nie zamierza nadać mi szlacheckiego tytułu, pomyślał Móri. Niczego takiego po prostu nie chcę.

Cesarz jednak zastanawiał się nad czymś innym.

— Przed kilkoma miesiącami mieliśmy wizytę pewnego włoskiego szlachcica. Wypytywał o ciebie, Thereso.

Wszyscy wstrzymali oddech, a cesarz spoglądał na nich surowo.

— On ważył się przyjechać do Hofburga? — zapytała Theresa ledwo dosłyszalnie.

— Tak. Ale przedtem dostałem twój list, więc nie wyjawiałem, gdzie przebywałeś.

— Dziękuję, Karolu. Nawet nie wiesz, jakie dobrodziejstwo wyświadczyłeś całej naszej rodzinie!

Móri zapytał:

— Czy to był mężczyzna w średnim wieku, o ciemnej karnacji i z blizną na policzku?

— Owszem. Nazywa się Lorenzo jakiś-tam, długie włoskie nazwisko.

Pozostała trójka spoglądała po sobie w milczeniu.

— Natomiast całkiem niedawno mieliśmy kolejną wizytę — mówił dalej cesarz z uśmiechem. — Czy pamiętasz naszego towarzysza zabaw z dzieciństwa, Engelberta? On także zapytał kiedyś, co u ciebie, a ja szczerze mówiąc nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć, bo przecież obiecałem ci, że nie wyjawię nikomu miejsca twego pobytu. Nie powiedziałem wtedy nic.

Policzki Theresy gwałtownie poczerwieniały, a w jej oczach pojawił się podejrzany blask.

— O, jemu mogłeś powiedzieć! Pojęcia nie miałam, że on jeszcze chodzi po tej ziemi. Właściwie całkiem o nim zapomniałam. Gdzie teraz mieszka?

— Niedaleko stąd. Niedawno został biskupem i mieszka koło Innsbrucku.

Theresa nerwowo wygładzała fałdy sukni.

— A zatem kapelusz kardynalski ma, jeśli tak można powiedzieć, w zasięgu ręki. Coś, o czym zawsze marzył. . .

— Niewątpliwie. Przeszedł już wszystkie szczeble duchowej kariery i należy do najpierwszych w naszym Kościele. Ale wcale nie wiem, czy on pasuje na kardynała. Zawsze mi się zdawało, że ma zbyt słaby charakter.

— Pewnie dlatego, że nigdy nie lubił wojny, lecz wybrał pokojową drogę miłości w Kościele — powiedziała Theresa porywczo, jakby za wszelką cenę chciała obronić przyjaciela. — Ja znałam go lepiej niż ty, bowiem jesteśmy z Engelbertem rówieśnikami. Słaby on nie jest, jest łagodny. I dobry.

— Tak, z pewnością masz rację — mruknął cesarz. — Ale ja uważam, że on się wszystkiego bał, proszę jednak o wybaczenie. Niewątpliwie to bardzo sympatyczny człowiek.

Tiril i Móri popatrzyli na siebie.

Spojrzenia obojga wyrażały to samo: To ojciec Tiril.

Już następnego ranka przybył kurier, by wezwać cesarza do Wiednia. Jakaś ważna zagraniczna delegacja musi pilnie z nim rozmawiać.

I cesarz natychmiast opuścił Theresenhof. Nie zdążył zobaczyć „chorego” dziecka.

Wszyscy uznali, że tak właśnie jest najlepiej.

Od jakiegoś czasu trwali w uspokajającym przeświadczeniu, że polowanie na Tiril, a w pewnym stopniu również na Theresę, dobiegło końca. Tymczasem cesarz przypomniał im, że niebezpieczeństwo z południa wciąż zagraża.

— To niedobrze, że ten cały Lorenzo był w Hofburgu — rzekła Theresa. — Boję się, że niedługo zostaniemy ujawnieni.

— I ja tak myślę — zgodził się Móri siedzący na kanapie z podciągniętymi nogami. Tiril podziwiała ukradkiem jego wspaniałe uda, mąż nieustannie oddziaływał na nią z niezwykłą erotyczną siłą. — Zmuszeni jesteśmy ponownie zastanowić się nad tą sprawą.

— Koniecznie — potwierdziła Theresa.

— Gdybyśmy tylko mogli pojąć, dlaczego oni nas prześladują — żaliła się Tiril. — Czego od nas chcą, co im zrobiliśmy?

Móri zaciskał szczęki tak mocno, że widać było, jak mięśnie grają pod skórą. Westchnął głęboko i powiedział:

— Wasza wysokość, ja wiem, że pani nie lubi podejmować tego tematu, ale może osoba ojca Tiril pomogłaby wyjaśnić tajemnicę? Chodzi mi o odpowiedź na pytanie, dlaczego ci nieznajomi ludzie polują na nią z takim zapamiętaniem.

— Nie, on o niczym nie wie! — zawołała Theresa porywczo. — On jest niewinny niczym dziecko.

O, nie taki znowu niewinny, skoro spłodził potomka i zostawił matkę samą, nie biorąc za nic odpowiedzialności, pomyślał Móri. Milczał przez chwilę, po czym znowu zebrał się na odwagę:

— Czy popełniliśmy błąd sądząc, że brat księżnej pani wymienił wczoraj imię tego człowieka?

Milczenie Theresy było mniej więcej tak samo długie jak jego.

— Nie popełniacie błędu — szepnęła w końcu ledwie dostyszalnie. Po chwili podniosła odrobinę głos: — Ale ja się do niego nie zwrócę, to niemożliwe.

Córka i zięć rozumieli bardzo dobrze, dlaczego tak postanowiła.

Tiril siedziała, nie mówiąc ani słowa. Zupełnie nie wiedziała, co ma myśleć czy odczuwać na wiadomość, że jej ojciec został właśnie biskupem. W tamtym czasie, kiedy ona przyszła na świat, nie był kapłanem, jak się domyślała. Ale już wtedy marzył o tym, by zostać kardynałem.

W Kościele jest wielu ludzi żądnych kariery.

Ona i Móri rozmawiali poprzedniego wieczora o nowych informacjach i o jej pochodzeniu. Leżała na ramieniu Móriego i patrzyła w sufit długo w noc. Rozmawiali do późna, a ona co chwila zaczynała płakać. To może dziwne, ale właściwie nie odczuwała potrzeby poznania swego ojca, w każdym razie żadnych takich pragnień jak w czasie, kiedy szukali matki i kiedy to rozpaczliwie tęskniła do owej nieznajomej kobiety.

Teraz odczuwała jedynie pustkę.

Może dlatego, że Theresa broniła go tak zajadle, odnosili wrażenie, że jest słaby i żałosny. To, oczywiście, paskudna myśl i z pewnością też niesprawiedliwa.

Tak czy inaczej Tiril wcale nie marzyła o tym, by go poznać. W każdym razie od chwili, gdy dowiedziała się nieco więcej.

Móri nie chciał dać za wygraną i wyrażał przekonanie, że Theresa powinna go odszukać.

— Ale gdybyśmy księżnę bardzo prosili? — pytał.

Ona wahała się długo. Policzki jej płonęły, od czasu do czasu na wargach pojawiał się uśmiech szczęścia, lecz natychmiast gasł.

— Przecież nie mogę z całą paradą, jaka przystoi osobie książęcego rodu, odwiedzać pokornego sługi Kościoła. To by wzbudziło zbyt wielkie zainteresowanie.

— Ale dlaczego z całą paradą?

Milczeli.

— Mogłabym pojechać konno. W tajemnicy — rzekła Theresa niepewnie. — To niedaleko.

— Słusznie. Z niewielką eskortą — zgodził się Móri.

— O, nie! Niepotrzebna jest żadna eskorta! Nie do niego. Bardzo bym chciała pokazać mu Tiril, ale z tym trzeba będzie jeszcze poczekać, prawda?

— Jakiś czas tak. Najlepiej będzie przygotować go na wiadomość, że jest ojcem i dziadkiem — powiedział Móri ze złośliwym uśmiechem.

— O, on taki młody! — zawołała Theresa. — To niepojęte, że został już dziadkiem.

— A kiedy widziała go pani po raz ostatni?

— No, to już będzie ponad dwadzieścia lat.

Móri nie powiedział nic. Kiedy Theresa sama zrozumiała, jak nielogicznie brzmią jej słowa, wybuchnęła śmiechem.

— Chętnie pojedę i spotkam się z nim — powiedziała z udanym spokojem, ale krew pulsowała jej na szyi, a oddech miała przyspieszony.

— Ale nie wolno pani jechać samej — stanowczo stwierdził Móri. — Pozwoli pani, że będę jej towarzyszył? Mogę zaczekać na zewnątrz, rzecz jasna, lecz droga jest zbyt niebezpieczna dla samotnej kobiety.

— Czy ty myślisz, że ja się wstydzę mego zięcia? Dziękuję ci, chętnie zgodzę się na eskortę w twojej osobie. I będziesz mi towarzyszył do końca, pójdiesz się przywitać z ojcem Tiril. Ona sama z naturalnych powodów musi zostać z dzieckiem.

Tiril przyjęła tę decyzję z największą radością.

W toku przygotowań okazało się, że w podróż do Innsbrucku Theresa musi zabrać różne rzeczy, postanowiono zatem, że pojedzie małym powozem, nie budzącym wielkiego zainteresowania, Móri natomiast konno, obok niej lub przodem w zależności od tego, jak szeroka będzie droga.

Podróż minęła bez komplikacji, a ponieważ musieli i tak gdzieś zanoć, Theresa postanowiła, że najlepiej od razu udać się do siedziby kanonika, w której nadal mieszkał Engelbert. Po wizycie skierują się do jakiejś gospody w Innsbrucku i tam spędzą noc. Policzki płonęły jej z przejęcia i Móri uważał, że jest tego dnia bardzo ładna i wygląda młodzieńczo.

Siedziba biskupia tutejszej diecezji znajdowała się poza Innsbruckiem, Engelbert jednak chciał pozostać w mieście. Dom kanonika służył mu przez wiele lat, a on był w zasadzie człowiekiem o dość konserwatywnych poglądach, nie lubił zmian. Inna sprawa, że pałac biskupi znajdował się w dość opłakanym stanie i Engelbert wydał już polecenia, co i jak należy przebudować i doprowadzić do porządku, zanim on sam się tam przeniesie.

Móri uważał, że to wszystko nie bardzo się zgadza z opisem Theresy, przedstawiającej go jako człowieka wielkiej pokory, który zrezygnował z własnych pragnień i poświęcił się wyłącznie służbie Bogu.

Asceza nie jest cechą charakterystyczną tego człowieka, myślał Móri, kiedy w bibliotece kanonii czekali na przybycie Engelberta.

Ten człowiek, który w codziennej sutannie katolickiego biskupa szedł im na spotkanie, był dokładnie taki, jakim go sobie wyobrażał Móri. Wyglądał zdumiewająco młodo, o dość pełnej figurze od bardzo smakowitych obiadów, ale w żadnym razie otyły. Tylko jakby lekko rozmazane linie podbródka i nieco zbyt obszerna talia. Ale za kilka lat..?

Włosy miał płowoblonde, jak Tiril w dzieciństwie, po nim też córka odziedziczyła krępa figurę, poza tym jednak żadne podobieństwo nie rzucało się w oczy.

Biskup Engelbert był wyjątkowo urodziwym mężczyzną. O łagodnych rysach i...

Łagodnych?

Móri musiał przyznać rację cesarzowi Karolowi. To bardzo prawdopodobne, że biskup był łagodny, lecz gołym okiem widać było również, że to człowiek słaby. I to bardzo.

Rozpostarł ramiona, jakby chciał zamknąć księżnę serdecznym powitalnym uścisku, którego jednak wcale nie zamierzał wykonać, i szedł przez obszerną bibliotekę.

— Theresa! Przyjaciółka mego dzieciństwa! Jak wspaniale znowu cię widzieć! Dostałem twój list i czekam na ciebie w domu. Co prawda z tego powodu odwołałem bardzo ważną konferencję z nuncjuszem apostolskim z Watykanu, ale przecież musiałem się z tobą spotkać! Przez cały czas podróży towarzyszyłem ci, posyłając błogosławieństwo Boże!

Biskup ujął dłonie księżnej i zamknął je w gorącym, długotrwałym uścisku, patrząc jej przy tym w oczy tak natarczywie, że Móri poczuł się nieswojo.

Theresa opanowała się po wzruszeniach powitania.

— Najdroższy przyjacielu — rzekła. — Chciałabym ci przedstawić mego zięcia. To Móri. On pochodzi z Islandii.

— Z Islandii? — powtórzył biskup studiując uważnie twarz Móriego spojrzeniem, które on sam uważał pewnie za przenikliwe. Ale to nieprawda, jego spojrzenie było niepewne i rozbiegane. — Macie tam dobrych katolików?

— Niewielu — odparł Móri. — Islandia w tysiąc pięćset trzydziestym siódmym roku przeszła na obrządek luterński.

Biskup Engelbert uczynił znak krzyża.

— Niech Pan ma w opiece te wasze nieszczęsne dusze — mruknął, a potem wymamrotał jakąś dłuższą modlitwę po łacinie. Następnie zwrócił się znowu do Theresy.

— Ale ty, moja najdroższa siostrze w Duchu Świętym, ty pozostałaś dobrą katoliczką, prawda?

— Nie tak dobrą, jak bym pragnęła. — Po czym dodała pospiesznie: — Engelbercie, ja...

On poprawił ją z udanym skrepowaniem:

— Biskupie Engelbercie — uśmiechnął się czarująco.

— Wybacz mi. — Theresa pochyliła głowę. — Mamy poważne kłopoty.

Biskup rzucił pospiesznie okiem w stronę Móriego.

— Możemy rozmawiać swobodnie. Pamiętaj, że mój zięć jest też twoim!

Biskup przerażony zamachał rękami przed jej twarzą, by skłonić ją do milczenia.

— Chyba nie wygadałaś tajemnicy... ?

— Nie. Milczałam jak grób — odpowiedziała urażona.

— Dopiero przed kilkoma dniami, kiedy odwiedził nas mój brat, cesarz, Tiril i Móri zorientowali się z rozmowy, kto jest jej ojcem. A ja przecież nie mogłam zaprzeczyć.

Engelbert wyglądał na okropnie zdenerwowanego. Ani razu słowem nie zapytał o córkę.

— Tutaj nie możemy swobodnie rozmawiać — poinformował szeptem.

— To przyjeźdź do nas w odwiedziny — zaproponowała Theresa prostodusznie. — Byłby to dla nas wielki honor. A poza tym, jak pisałam w moim krótkim liście, znaleźliśmy się w poważnych kłopotach.

— Pecunia?

— Nie, tu nie chodzi o pieniądze — odparła zniecierpliwiona.

Móri przez dłuższą chwilę stał bez ruchu, ale teraz wtrącił się do rozmowy, żeby Theresa nie ściągnęła na nich jeszcze większego nieszczęścia.

— Wasza wysokość, może wrócimy tu jutro. Jego eminencja ma właśnie ważną wizytę.

Theresa odwróciła się.

Nieznana postać, która przez jakiś czas stała wyczekująco w drugim końcu bibliotecznej sali, sunęła teraz ku nim, ukrywszy dłonie w szerokich rękawach jaskrawego kardynalskiego stroju.

— O, całkiem zapomniałem ci powiedzieć — oznajmił Engelbert drżącym głosem. — Wuj jest u mnie z wizytą.

Theresa ukloniła się głęboko, Móri natomiast tylko skłonił sztywnym ruchem głowę.

— Czy mogę dokonać prezentacji? — jąkał się biskup. — Moja przyjaciółka z dzieciństwa, księżna Theresa von Holstein-Gottorp z Habsburgów. I jej... zięć, Móri z Islandii. Thereso... to mój sławny wuj, kardynał von Graben. Jego siedziba mieści się w Sankt Gallen, więc często mnie odwiedza.

Kardynał ledwo widocznie pochylił głowę.

— Mój drogi bratanek opowiadał mi o pani, księżno. O waszym wspólnym dzieciństwie i... młodości. Następnie zwrócił wzrok na Móriego. Czarnoksiężnik z Islandii nigdy jeszcze nie widział tyle lodowatego, skoncentrowanego zła.

Rozdział 12

Móri poczuł, że zimny pot spływa mu po plecach. Nie wydawaj Tiril, błagał w duchu Theresę. Nie mów im, gdzie mieszkamy!

To ten człowiek! Głos. Kardynał von Graben. . .

Theresa była pełna największego podziwu wobec tego hierarchy, Móri natomiast patrzył na niego śmiertelnie przerażony. Czy ona nie dostrzega nienawiści w tych na pół przymkniętych starczych oczach? Czy nie zauważa straszliwej koncentracji woli skierowanej przeciwko niej?

Kardynał mówił:

— Naturalnie, że mój ukochany bratanek odwiedzi księżnę. Ale gdzież to pani mieszka?

Theresa otworzyła usta, by odpowiedzieć, lecz Móri był szybszy:

— Akurat teraz to właściwie nie mamy stałego miejsca zamieszkania, rozglądamy się za jakąś odpowiednią siedzibą.

Księżna spojrzała na niego zdumiona i odrobinę poirytowana, ale zaraz wyczytała w jego oczach ostrzeżenie i zdezorientowana zaczęła przytakiwać.

Odznaczała się wielką bystrością umysłu, łatwo było z nią współpracować.

— To prawda, ale jak tylko gdzieś się urządzimy, musisz natychmiast przyjechać przywitać się z Tiril. I z twoim wnukiem.

Tchórzliwy biskup zrobił się zielony. Ten temat rozmowy najzupełniej mu nie odpowiadał.

Kardynał dobitnie, ze wzrokiem wbitym w Theresę, oświadczył:

— Mój bratanek, Engelbert, ma przed sobą wspaniałą karierę. Muszę panią prosić, księżno, by z większą ostrożnością wypowiadała się pani na temat jego młodzieńczego błędu. On już za to odpokutował. Pościł, biczował się i umarwiał, jak nakazują nasze reguły. Więc teraz jest oczyszczony. Bardzo panią proszę, księżno. . . Proszę nie niszczyć jego szansy na kardynalski kapeluszek!

— Milczałam ponad dwadzieścia lat — rzekła Theresa pełnym życzliwości głosem, choć wyraźnie urażona. — Tylko Tiril i my dwoje znamy twoją tajemnicę, Engelbercie. Aż do ubiegłego tygodnia znałam ją wyłącznie ja.

Móri był taki wściekły, że ledwie mógł mówić.

— Nigdy jeszcze nie spotkałem tak lojalnej kobiety jak księżna Theresa. Jeśli ktoś jest czysty w tej sprawie, to jej wysokość. A teraz obawiam się, że nie mamy już więcej czasu.

— Rozumiem. A gdzie państwo zamierzają zatrzymać się na noc? — zapytał kardynał.

Theresa zdążyła tylko zacząć:

— W jakiejś dobrej. . .

Móri jednak zagłuszył jej słowa:

— Musimy wracać jeszcze dzisiaj. Nasz malutki synek nie był zdrowy dziś rano i nie chcemy zostawiać Tiril zbyt długo samej.

Theresa znowu spojrzała na niego zdumiona i zirytowana, ale nie zaprotestowała. Kardynał pokiwał głową.

— Rozumiem. W takim razie trzeba się pożegnać. Było mi bardzo miło panią spotkać, księżno!

Ani słowa o Mórim.

Biskup Engelbert zdawał się co najmniej tak samo zbity z tropu jak Theresa, rozstali się jednak z obietnicą, że odwiedzi ich natychmiast, gdy tylko znajdą dla siebie jakiś prawdziwy dom.

Na dziedzińcu Theresa zaczęła znowu protestować.

— Móri, muszę powiedzieć, że twoje zachowanie było co najmniej naganne. . .

On jednak pociągnął ją jak najszybciej do powozu.

— Proszę się pospieszyć! Powinniśmy stąd natychmiast zniknąć! To niebezpieczne miejsce.

— Przecież Engelbert nie może być niebezpieczny!

— Nie, on nic nie znaczy — powiedział Móri i naprawdę tak myślał. — Natomiast kardynał! On tak! Jedź! — krzyknął do stangreta i sam wskoczył na swego wierzchowca.

— Do domu! Bez chwili zwłoki!

Theresa ledwo zdążyła wsiąść do powozu, gdy konie ruszyły z kopyta.

Oczy kardynała von Grabena zrobiły się wąziutkie niczym szparki, ale pod zmrużonymi powiekami płonęły piekielnym ogniem. Hierarcha syknął do swego bratanka:

— Ta fatalna historia z twojej młodości zaczyna nam znowu stwarzać problemy. Jakbyśmy nie mieli dość innych.

— Ale przecież ja od tamtej pory nie miałem żadnych kontaktów z Theresą. A wuj obiecał mi, że nie spotka jej nic złego.

— I obietnicy dotrzymałem — warknął kardynał. — Ale dlaczego nie wycisnąłeś z niej informacji na temat, gdzie mieszka? Musimy przecież dostać córkę.

Biskup Engelbert nie miał żadnego stosunku do tej córki, której nigdy nie znał, a której się wstydził.

— Próbowałem — powiedział. — Ale ten okropny człowiek nieustannie mi przeszkadzał.

— On nie jest okropny. On jest śmiertelnie niebezpieczny. Teraz wiemy, kto pomaga tym kobietom i pracuje przeciwko nam.

Następne słowa kardynał wyszeptał tak cicho, że bratanek ich nie dosłyszał:

— On musi umrzeć. Ja się tym zajmę.

Engelbert uniósł rękę.

— Tylko pamiętaj: Nic nie może się stać Theresie!

— Wiem, wiem — syknął kardynał. — Taka była umowa wówczas, kiedy zdobyłeś dla nas kielich z Hofburga. W podzięcie za ten uczynek obiecałem ci, że włos z głowy nie spadnie twojej drogocennej księżniczce.

Pospieszył do swych prywatnych komnat i wezwał kilku zaufanych ludzi.

Dzięki danej ci obietnicy, mój krótkowzroczny bratanek, nie mogłem pojmać tych dwojga, kiedy tutaj byli, myślał von Graben. Ale teraz ja będę decydował!

Dwaj ludzie dostali krótkie rozkazy, po czym w największym pośpiechu opuścili konno kanonię i ruszyli w tym samym kierunku, w którym odjechała księżna ze swoim zięciem.

Kiedy znaleźli się w głębi gęstego lasu, Theresa poleciła woźnicy, by zatrzymał konie. Zdenerwowana wysiadła z powozu i poszła w stronę Móriego, który zeskoczył ze swego wierzchowca.

— Muszą się skończyć te twoje głupstwa — powiedziała księżna ostro. — Obrażasz mojego przyjaciela tą nagłą ucieczką do domu, i nie tylko jego, ale jeszcze jednego z największych dostojników kościelnych, czcigodnego kardynała von Grabena.

Móri patrzył na nią ponuro, ale nie odpowiedział wprost na jej wymówkę.

— To bardzo dobrze, że się zatrzymaliśmy — rzekł. — Konie muszą trochę odpocząć. Rozbijemy tu mały obóz i zjemy nasze domowe zapasy.

Stangret zaczął przygotowywać się do popasu. Theresa była zagniewana. W milczeniu usiadła na kocu, który jej stangret rozpostarł, i zajęła się jedzeniem.

Móri także nie powiedział ani słowa.

Kiedy zjedli, Móri ze stangretem zebrali wszystko i przygotowali się do dalszej drogi. Nagle stangret zamarł.

— Ciii! Ktoś się zbliża! Myślę, że to dwaj jeźdźcy.

— Pogoń! — krzyknął Móri gwałtownie. — Wasza wysokość, proszę wziąć mojego konia, on jest teraz wypoczęty, i jechać przez las prosto do Theresenhof! Proszę się orientować według stron świata. To panią chcą pojmać! Nie wolno do tego dopuścić! Poprzez panią chcą dotrzeć do Tiril. Proszę pędzić co koń wysoko-

czy! My wprowadzimy w błąd prześladowców, będą podążać za powozem, a jeśli nas napadną, damy im radę. A z panią spotkamy się w najbliższym miasteczku.

— Ale ja nie mam damskiego siodła — protestowała Theresa i próbowała wyrwać się Móriemu, gdy chciał jej pomóc dosiąść konia.

— Tiril na Islandii jeździła na oklep! Proszę ruszać! Nie ma czasu do stracenia!

Dość bezceremonialnie podsadził ją na koński grzbiet tak, że chcąc nie chcąc usiadła w siodle po męsku. Silnym klapssem w zad Móri przynaglił wierzchowca, który pogalopował leśnym duktem. Theresa musiała całą uwagę skupić na tym, by nie spaść na ziemię. Móri usiadł obok stangreta i powóz ruszył powoli przed siebie.

Theresa próbowała powstrzymać konia, zawrócić go ku głównej drodze i przerwać nareszcie te głupstwa. Skończyło się jednak na tym, że koń stanął dęba, a ona spadła pomiędzy grube pnie sosen.

Potłukła się boleśnie, ale zaciskała zęby. Słyszała, że zbliżają się jacyś jeźdźcy, i już miała zamiar wzywać pomocy, gdy dotarły do niej zdyszane głosy:

— Pospiesz się, właśnie usłyszałem skrzypienie kół! Pamiętaj: księżnę musimy dostać żywą! Mężczyzn możesz bezlitośnie zastrzelić jak kaczki, przede wszystkim tego czarnego. I wszystko musi się stać jak najszybciej. Jego eminencja mówi, że ten człowiek jest oskarżony o czary.

Theresa skamieniała. Koń! Grzebał nerwowo kopytem na ścieżce, prowadzącej do drogi. Co robić? Co mogła wymyślić w tej sytuacji? Naraziła życie swoich przyjaciół na śmiertelne niebezpieczeństwo!

Ogarnęła ją panika.

I wtedy na ramieniu poczuła dotyk czyjejś ręki. Odwróciła się gwałtownie, lecz nikogo nie dostrzegła. Dotyk ręki natychmiast ustał, lecz koń w całkowitej ciszy został przez kogoś przeprowadzony za sosny.

Bogu dzięki, że w lesie głos niesie się tak daleko i usłyszeliśmy ich zawczasu, myślała, kiedy jeźdźcy w galopie przelatywali pobliską drogą.

O, dzięki temu, kto mi pomógł! Czy to był mój własny Anioł Stróż, czy też ten, którego Móri nazywa duchem opiekuńczym, choć ja się z nim nie zgadzam, czy też któryś z towarzyszy Móriego? Ale jak ja teraz dosiądę konia?

Znowu pojawiła się czyjaś niewidzialna dłoń. Pokazała, jak należy włożyć nogę w strzemię, i pomogła jej wspiąć się na grzbiet zwierzęcia niemal zupełnie bez wysiłku.

— Jeszcze raz dziękuję — mruknęła obciągając suknię, by przyzwoicie okryć kolana. — No, teraz siedzę wygodnie.

Koń ruszył od razu galopem i Theresie aż dech zatykało. Zdawało jej się, że słyszała odgłos wystrzału, ale nie była pewna.

Móri, myślała. Co się stało z Mórim i moim nieszczęsnym stangretem? Dla mnie narażali życie.

Orientować się według stron świata, tak powiedział Móri. Ale skąd mam wiedzieć, gdzie jest na przykład północ? Powinam jechać na południowy wschód. Słońce? Pora dnia...?

Chyba jadę we właściwym kierunku.

Ale jak się dostanę do najbliższego miasteczka, skoro muszę się przedzierać przez ten gęsty las?

I nagle ogarnął ją wielki spokój. Miała przecież jednego, a może wielu przewodników. Powinna im po prostu zaufać. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że ktoś przy niej jest.

Powoli jednak zaczęły ją ogarniać złe myśli. Móri miał rację. Ci, którzy ścigali Tiril od wielu lat, mają swoją siedzibę właśnie tutaj, gdzie Theresa dopiero co była. Engelbert jest z pewnością niewinny. Oczywiście, że jest niewinny, taki dobry człowiek!

Do wszystkich złych uczuć, które żywiła, dołączyło teraz jeszcze jedno: pamiętała słowa swego brata o tym, że Engelbert jest zbyt słaby, żeby zostać kardynałem. Ale wtedy ona upierała się, że to bardzo sympatyczny człowiek.

Dzisiaj zaś nie odczuwała tego radosnego oszołomienia, którego mogła się spodziewać, idąc na spotkanie z nim.

Engelbert był taki jak dawniej. Niewiele się zmienił. I to zdaje się była ta wada. On wygląda tak... niedojrzale. Jakby nie miał kręgosłupa. Wszystko wskazuje na to, że wuj trzyma go żelazną ręką.

Starła się odegnać tę myśl, ale nie przyniosło jej to ukojenia. Przeciwnie, w miejsce twarzy Engelberta pojawiło się oblicze kardynała i Theresa zadrżała, przeniknięta nieprzyjemnym dreszczem. Ta jego zimna, ascetycznie chuda twarz. Te stare, przenikliwe oczy.

Czy kardynał von Graben mógł być Głosem?

Theresa nie umiała odrzucić tej możliwości. Wprost przeciwnie.

Pozwoliła, by koń szedł według własnej woli. On zaś, wybierał drogę z niezachwianą pewnością, nie wahał się nigdy przy rozstajach i skrzyżowaniach leśnych ścieżek.

Ktoś kierował jego krokami.

Dość szybko w oddali ukazały się zabudowania miasteczka z czerwonymi dachami i bielonymi ścianami. Na małym ryneczku czekał ekwipaż księżnej ze stan-gretem i Mórim oraz dwa obce konie.

Theresa zeskoczyła z siodła zaraz przy miejskiej bramie. Niech Bóg broni, żeby wjechała do miasteczka siedząc po męsku na koniu!

Radość ze spotkania była wielka, lecz tłumiona. Księżna opowiedziała, jak otrzymała pomoc od kogoś niewidzialnego, na co Móri pokiwał głową. Oni również otrzymali pomoc, wyjaśnił. Dwaj ścigający ich jeźdźcy bardzo szybko dopę-

dzili powóz i ostrzelali go — Móri pokazał dziurę po kuli — lecz nikt nie został poszkodowany. Ponieważ on, Móri, był w powozie, to jego niewidzialni towarzysze zajęli się odpowiednio prześladowcami. To znaczy mężczyźni zostali zrzućeni z koni, konie poszły za powozem, a jeźdźcy bezradnie biegli za nimi przez las. Szybko zrezygnowali z pościgu i powlekli się z powrotem do domu.

Theresa patrzyła na Móriego.

Stangret stał obok, ale przyzwyczaił się już do nich na tyle, że nie wzywał imienia Bożego, słysząc te wszystkie opowieści o duchach.

— Skoro jednak twoi towarzysze byli przy tobie — zaczęła Theresa — to kto w takim razie pomagał mnie?

— Twój duch opiekuńczy, szary brat, o którym tyle słyszałaś. Prosiłem go, by cię bronił.

— Dziękuję ci, Móri. I tobie też dziękuję, mój niewidzialny przyjacielu. I tobie, mój wierny stangrecie!

Ten ostatni skłonił się głęboko.

— Teraz jedziemy do domu — oznajmiła Theresa zdecydowanie. — Mamy bardzo wiele do omówienia. Popatrzcie tylko, jakie piękne konie! Nimi my się zaopiekujemy.

Postanowili, że zostaną w Theresenhof jak długo się da. Jeśli prześladowcy wpadną na ich ślad, trzeba będzie ponownie rzecz przedyskutować.

Żadne nie wiedziało jednak, jak odnieść się do osoby kardynała. Nie mieli przeciwko niemu nawet jednego dowodu. Theresa nie mogła pójść do swego brata i zażądać, by usunął tego niebezpiecznego człowieka na takich podstawach, o jakich mogła mówić. Teraz, kiedy wiedzieli, skąd pochodzi zło, znaleźli nowe punkty wyjścia do wyjaśnienia licznych wydarzeń z przeszłości.

Podczas jednej z takich rozmów Móriemu wpadła do głowy niezbyt przyjemna myśl.

— Wasza wysokość... Wtedy, gdy zniknął kielich z Hofburga...

— Wiem, co chcesz powiedzieć — podjęła pośpiesznie. — Zastanawiałam się nad tym samym. Tak, Engelbert spędził u nas wtedy w zimie cały tydzień, i to po jego wyjeździe zauważono brak kielicha. Ale mieliśmy jednocześnie także innych gości, więc nikomu się nawet nie śniło, żeby Engelbert, miły i szczerzy, mógł popełnić taką straszną kradzież! Teraz nie jestem już tego pewna. Jeśli stał za tym jego wuj, to Engelbert musiał być posłuszny, tak jak zawsze.

— Czy spotykała pani wcześniej kardynała von Grabena?

— Nie. Nigdy.

Tiril mruzczała pod nosem:

— Von Graben. To brzmi jak von Groben, od grobu. Wyjątkowo dobrze pasujące nazwisko!

— Myślę, że jego nazwisko ma coś wspólnego z umocnieniami, twierdzą, może z grodem — poprawiła ją Theresa. — Jeden z przodków Engelberta wślawił się szturmowaniem twierdz i miejsc umocnionych, za to właśnie dostał tytuł szlachecki. A na dodatek wielki zamek w Szwajcarii.

— Proszę mi powiedzieć, czy to pragnienie kościelnej kariery i ambicje w tym kierunku przeszkodziły Engelbertowi ożenić się z waszą wysokością?

— Tak.

Tiril i Móri przyjęli to w milczeniu, ale w ich twarzach Theresa mogła wyczytać obrzydzenie.

— Wybacz mi, mamó — rzekła Tiril półgłosem. — Ale nigdy nie poznałam historii twojej miłości z moim... z biskupem Engelbertem.

Z jakiegoś powodu Tiril miała trudności w utożsamianiu osoby ojca z biskupem.

Theresa siedziała pogrążona w myślach. Wyprostowana.

— Masz rację. Powinniście wiedzieć, jak to było. Ale to żałośnie krótka historia.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała Nera po głowie i karku, jakby chciała przejąć od niego trochę siły. Pies uniósł głowę i patrzył na nią z oddaniem.

— Jak wiecie, byliśmy przyjaciółmi od dzieciństwa. Von Grabenowie należeli do tych nielicznych szlacheckich rodzin, których dzieciom wolno było się spotykać z dziećmi cesarskimi. Niegdyś rodzina mieszkała w Wiedniu, ale wkrótce się wyprowadziła. Cóż, dorastaliśmy ja zostałam zaręczona z księciem Holstein-Gottorp, ale przecież uczuciom nikt nie mógł zabronić, by się rozwijały... Uczucia nie znają barier.

Zawahała się na chwilę. W pokoju panowała cisza.

— Może ja byłam zakochana bardziej niż on — powiedziała cicho. — Ale nie ulegało wątpliwości, że Engelbert mnie kochał, on mnie ubóstwiał, wiem o tym. I starał się przebywać ze mną sam na sam. To były kradzione chwile, ale... Czulałam się niewiarygodnie szczęśliwa i żyłam tylko terażniejszością, nie myślałam o tym, co stanie się później. Nasz pierwszy pocałunek... Bawiliśmy się wtedy w pałacu w chowanego, to było chyba najpiękniejsze przeżycie w całym moim miłosnym doświadczeniu. Ale potem w naszym dziecinym jeszcze wzajemnym uwielbieniu zaczęły się pojawiać tony budzące lęk. Pilnowano nas, nigdy nie mogliśmy być sami, a my chwytałyśmy każdą możliwość, by choć na chwilę zniknąć innym z oczu. To było podniecające, ale chyba niezbyt zabawne, podążaliśmy w niewłaściwym kierunku, sami to odczuwaliśmy. Aż kiedyś... na wycieczce łodziami... wszyscy mieli wsiąść na jakiejś małej wysepce na jeziorze... a gdy wracano, na obu łodziach myśleli, że my jesteśmy właśnie na tej drugiej. Zostaliśmy sami, Engelbert i ja. Ja byłam już wtedy zaręczona z księciem Adolfem, a Engelbert zaczął naukę w seminarium duchownym. Ale to wszystko nie miało dla nas znaczenia, byliśmy jak opętani. Potrzeba było godziny, by łódź mogła po

nas wrócić, i wtedy to się stało. . .

Pochyliła głowę.

— Ślub z księciem Adolfem odbył się w zaledwie cztery miesiące później i wyjechałam do Gottorp, śmiertelnie przerażona, rzecz jasna, że odkryją mój stan. Ale wojna w Europie sprawiła, iż po pewnej podróży do Danii nie mogłam wrócić do domu, musiałam czekać, i zanim księżę przyjechał, żeby mnie zabrać, uciekłam z zaufaną pokojówką do Norwegii i tam urodziłam Tiril. Potem mogłam spokojnie spotkać się z moim małżonkiem w Danii i wrócić z nim do Gottorp.

Theresa najwyraźniej uznała, że powiedziała dość, ale Móri nie był zadowolony.

— Czy on został poinformowany o tym, że wasza wysokość urodziła dziecko? Engelbert von Graben, oczywiście.

— I tak, i nie. Zaczął się już wspinać po szczeblach kościelnej kariery i nie chciałam niszczyć mu życia. Ale w jakiś rok później odwiedził mnie w Wiedniu, gdy przyjechałam do domu na Boże Narodzenie. Kiedy nikt nie mógł nas słyszeć, prosił, bym mu wybaczyła.

— O, to rzeczywiście rychło w czas — wyrwało się Móriemu.

Theresa spojrzała na niego z wyrzutem.

— Nie, ta prośba nie odnosiła się do naszej miłosnej przygody, a raczej odnosiła się do niej tylko pośrednio. On wyrażał żal, że musi prosić o zwrot naszyjnika z szafirami. Dostałam go od niego następnego dnia po wycieczce na wyspę. Teraz jego matka chciała mieć ten naszyjnik, bo przecież jemu samemu, jako osobie duchownej, był on całkiem niepotrzebny. To klejnot, który w jego rodzinie przechodził z pokolenia na pokolenie. Nie bardzo pojmuję, co prawda, jak jego matka mogła się czegoś takiego domagać, bo w tamtym czasie miała już taką sklerozę, że nie pamiętała imion własnych dzieci. Okazało się, że on nigdy nikomu nie zdradził, iż to ja dostałam ten naszyjnik, i bał się, że to rozgłoszę. Musiałam mu, niestety, odpowiedzieć, że naszyjnika już nie mam.

Tiril i Móri czekali na dalszy ciąg.

— Popatrzył na mnie pytająco, ale ja nie mogłam mu wówczas opowiedzieć o naszym dziecku, wokoło było zbyt wiele ludzi. Odrzekłam więc tylko, że szafiry odziedziczył już ktoś inny i mam nadzieję, że reszty sam się domyśli. Nie domyślił się, niestety, natomiast bardzo się zdenerwował, mówił gniewnym głosem, co do niego niepodobne, i oświadczył, że absolutnie muszę klejnot odzyskać.

Tiril i Móri wymienili spojrzenia.

— Byłam zrozpaczona — mówiła dalej księżna. — Czego on właściwie ode mnie żądał? Przypomniałam mu, że dał mi te szafiry w prezencie, on jednak odparł, że takiej młodzieńczej igraszki nie należy brać zbyt poważnie i żebym powiedziała, gdzie jest naszyjnik.

Theresa raz po raz przełykała ślinę. Jej upokorzenie musiało być straszne, kiedy sobie uświadomiła, jak mało była kochana przez największą miłość swego

życia.

Móriemu sprawiało przykrość, że musi rozdrapywać wciąż bolące rany:

— Proszę mi wybaczyć, droga księżno, ale muszę zadać jeszcze jedno pytanie: Czy Engelbert von Graben znał te trzy fragmenty kamienia? Klucz do tajemnicy Tiersteingram?

— Tego... nie... Owszem, znał! Mój ojciec pokazywał część, która była w posiadaniu Habsburgów, kiedy opowiadał baśń o morzu, które nie istnieje. Engelbert przy tym był.

Móri wahał się przed zadaniem następnego pytania, jakby obawiał się odpowiedzi.

— Czy ojciec księżnej... również był cesarzem?

— Tak. Moim ojcem był Leopold Pierwszy, pan Czech i Węgier, a później również Austrii. Był trzykrotnie żonaty. Moja matka była trzecią żoną, Eleonora von Pfalz-Neuburg.

Obie panie spostrzegły, że Móri skulił się na myśl o tym, iż ożenił się z cesarską wnuczką. Szybko się jednak opanował.

— Czy Engelbert von Graben wiedział, że ojciec księżnej właśnie jej dał kamień, kiedy leżał już na łożu śmierci?

Na dźwięk tego pytania Theresa drgnęła i ze sztucznym ożywieniem zaczęła mówić o czymś całkowicie nieistotnym:

— Tak, teraz widzę, że popełniłam błąd mówiąc, iż ojciec znajdował się na łożu śmierci. Ojciec był przekonany, że niedługo umrze. W rzeczywistości żył jeszcze potem kilka lat. Ale to prawda, że ów kawałek kamienia otrzymałam właśnie wtedy, a potem nigdy ojciec mnie o niego nie pytał.

Móri rzekł spokojnie:

— Nie odpowiedziała pani na moje pytanie, wasza wysokość. Czy Engelbert wiedział, że to pani otrzymała kamień?

Theresa zastanawiała się długo. Widać było, że czuje się źle.

— Uderzasz mocno, Móri! Z wielkim wstydem muszę przyznać, że powiedziałam mu o tym właśnie w ten świąteczny wieczór, kiedy zażądał zwrotu szafirów.

— Czy o ten ułamek kamienia także wtedy pytał?

— Tak. Tak, opowiedziałam mu o „zabawce”, którą dostałam od ojca, opisałam, jak wygląda i w ogóle, on zaś stwierdził, że tak właśnie to sobie wyobrażał. Pamiętam, że się śmiałam, bo zapomniałam, do czego to może być przydatne. Engelbert natomiast zbladł i był bardzo zdenerwowany, przypominam to sobie teraz bardzo dobrze, i mówił, że chętnie by kamień obejrzał. Wtedy wyjaśniłam mu, że ojciec życzył sobie, by odziedziczyło go moje pierworodne dziecko, no i że już go nie mam.

Umilkła ze łzami wstydu w oczach, po chwili jednak podjęła wątek:

— Engelbert przyglądał mi się uważnie, jakby chciał się przekonać, co naprawdę myślę, lecz inni goście otaczali nas coraz tłumniej, więc jedyne, co mogłam zrobić, to napisać na kartce jedno proste nazwisko i dać mu to.

— Jakie nazwisko? — zapytał Móri.

Księżna pochyliła ze wstydem głowę. Wciąż głaskała i głaskała kark Nera, prawdopodobnie po to, by ukryć łzy.

— „Carl Dahl. Christiania”.

Zaległa kompletna cisza.

Przerwał ją w końcu Móri.

— A zatem Engelbert von Graben wiedział, gdzie znajdowała się Tiril?

— Nie. On o Tiril nie wiedział nic. W każdym razie nie więcej, niż mu wtedy powiedziałam. Przypuszczam, że nie zrozumiał, co chcę mu przekazać, bo wciąż patrzył na mnie pytająco, a potem podeszli inni ludzie i nie mogliśmy już rozmawiać.

Tiril zapamiętała słowa matki wypowiedziane tamtego dnia, kiedy Móri ją zapytał, czy ojciec Tiril wie o jej istnieniu. „Nie, nie”, odparła wtedy Theresa pospiesznie. A potem dodała zagadkowe zdanie: „Ale powinien był wiedzieć”.

To by się zgadzało z tym, co matka mówiła teraz.

Móri długo siedział pogrążony w myślach i wodził palcem po wargach. Potem przechylił głowę, głęboko wciągnął powietrze, a wzrok skierował w stronę sufitu, zanim ponownie zwrócił się do księżnej.

— Wydaje mi się, że nareszcie otrzymaliśmy rozwiązanie niepojętej dotychczas tajemnicy.

— Nie tylko jednej — wtrąciła Tiril cicho. — Otrzymaliśmy chyba odpowiedź na kilka pytań.

— Owszem. — Móri ze smutkiem kiwnął głową.

Rozdział 13

Siedzieli na pięknym wewnętrznym tarasie w Theresenhof. Pokojówka podała podwieczorek, a niańka przyniosła świeżo przewinięte dziecko. Właściwie chłopczyk powinien teraz spać, lecz Móri prosił, by mógł go wziąć na ręce. To była ich wspólna chwila, ojca i syna. Ręce Móriego obejmowały czule drobne ciało i malec spoglądał na ojca z poczuciem bezpieczeństwa.

Tiril uwielbiała tę popołudniową godzinę.

Theresa również. Nie była przyzwyczajona do tego, by ojcowie zajmowali się swoimi dziećmi. Dla nich to przeważnie stworzenia wrzeszczące w dzieciennym pokoju, dopóki nie dorosną na tyle, by można je było poddać musztrze.

Miłość Móriego do obdarzonego osobliwym wyglądem syna wzruszała ją do głębi. Ona sama również dużo przebywała z wnukiem, podobnie jak Tiril, która większość dnia spędzała w pokoju synka. Ale ta chwila należała do Móriego.

Podano jakieś lekkie przekąski i napoje, a kiedy pokojówka wycofała się z tarasu, Theresa powiedziała:

— Co wy mieliście na myśli? O co wam chodziło z tym rozwiązaniem wielu zagadek?

Móri odsunął ciemny lok z czoła synka.

— Zacznijmy od pierwszej zagadki — rzekł. — Nigdy nie potrafiliśmy się dowiedzieć, z kogo konsul Dahl wyciskał pieniądze. Ani jakim sposobem Heinrich Reuss mógł się dowiedzieć o istnieniu Tiril. To nie bankier księżnej Theresy go o tym poinformował, bo Reuss wiedział już wszystko, kiedy przyszedł do bankiera. To ojciec Engelbert, późniejszy biskup Engelbert, był tym ogniwem, którego przez cały czas szukamy.

— Nie, to niemożliwe — szepnęła Theresa udręczona.

— Księżna pani sama podała mu nazwisko konsula Dahla — rzekł Móri przyjaźnie, choć zabrzmiało to surowo. — Teraz myślę, że Engelbert von Graben nie był człowiekiem na tyle inteligentnym, by samodzielnie odszukać Dahla, ale przecież zdawał regularnie sprawę ze wszystkiego, co się działo, swemu drogiemu wujowi. Mogę sobie wyobrazić, że kardynał dał mu porządną burę za jego lekko-myślność. Georg Wetlev i Heinrich Reuss byli ludźmi kardynała. Ale to nie z nimi

kontaktował się konsul Dahl, kiedy jeździł do Christianii, by wymuszać pieniądze wtedy, gdy lichwiarz domagał się całej sumy. Ci dwaj ludzie znajdowali się wówczas w Bergen. To musiał być ktoś inny. Próbuję zgadnąć, czy konsul nie pisał przypadkiem listu do Engelberta von Grabena. . .

— Skąd konsul mógłby o nim wiedzieć? — zdumiała się Tiril.

— Von Grabem musiał odszukać konsula. Może wuj, który ostatecznie odnalazł Tiril, powiedział mu, gdzie Dahl się znajduje? Niewiele o tym wiemy, możemy się jedynie domyślać. Księżna Theresa wciąż, poprzez swojego bankiera, płaciła za wychowanie Tiril. Ale kiedy gdzieś daleko zamajaczył również ojciec Tiril, konsul Dahl postanowił wycisnąć jeszcze więcej. . .

— Lecz przecież Engelberta nie było w Christianii — przerwała mu Theresa.

— Nie. Musieli mieć jakiegoś pośrednika. Wydaje mi się, że to mógł być von Kaltenhelm.

— Dlaczego?

— Von Kaltenhelm jest rangą znacznie wyższy niż Wetlev i Reuss. A poza tym on prawdopodobnie na stałe mieszkał w Christianii, przynajmniej przez dłuższy czas. Miał też dość władzy, by nakazać Wetlevowi i Reussowi zamordowanie konsula i jego żony. Lichwiarza także, kiedy zaczął być kłopotliwy i wiedział zbyt wiele.

— Uff! — jęknęła Tiril. — Ale to wszystko to tylko twoje przypuszczenia?

— Tak, choć sądzę, że są bardzo bliskie prawdy.

— Ale ja nie mogę pojąć, dlaczego to wszystko. — żaliła się Theresa. — Czego oni chcieli od Tiril? A później również ode mnie?

— I właśnie na to pytanie dostaliśmy teraz odpowiedź, prawda, Móri? — zapytała Tiril z ożywieniem.

— Tak jest. Ty chyba tego nie słyszałaś, ale kiedyś, gdy byliśmy bardzo blisko Wetleva i Reussa, zdaje mi się, że to było podczas podróży do Bergen, jeden z nich powiedział o dwu, moim zdaniem, bardzo ważnych, rzeczach. Wtedy się nad tym nie zastanawiałem, ale dzisiaj, kiedy wszystko stało się bardziej jasne. . .

Położył swoją dużą dłoń na głowie chłopca i trzymał dziecko z czułością, ale pewnie przy swojej piersi.

— Oni szukają i zawsze szukali fragmentu kamienia. Nie wiedzą, że my już byliśmy w Tiersteingram, wciąż z desperacją starają się odnaleźć to miejsce. Część Wetleva znalazła się w ich posiadaniu, ale ją utracili. Zaczęli wobec tego szukać części habsburskiej, prawdopodobnie wiedzieli, że trzecia trafiła do samego Tiersteingram. Nie wiedzą tylko, gdzie się znajdują ruiny zamku. My mamy nad nimi naprawdę wielką przewagę, z czego oni nie zdają sobie sprawy.

Tiril zachichotała w poczuciu triumfu.

— A ruin już przecież nie ma!

Theresa spoglądała pytająco na Móriego.

— Rozumiem, że to jeden z tych ważnych dla nas wątków. A drugi?

Móri głęboko i z drzeniem wciągał powietrze.

— Wasza wysokość... Czy mogłaby pani przypomnieć sobie coś na temat naszyjnika z szafirów? Myślę mianowicie, że to jest ten drugi wątek. Dlaczego Engelbert von Graben tak bardzo chciał go odzyskać?

— Naszyjnik? — Theresa była zdumiona. — Nie, on... Widzieliście go przecież sami.

— Tak, ale to było jakiś czas temu. Naszyjnik jest ze srebra, prawda?

— Owszem, oprawa i łańcuszek są wykonane z pięknie cyzelowanego srebra. Móri się zamyślił.

— Ale ta oprawa nie jest taka ważna, patrzy się przede wszystkim na wspa-
niałe szafiry, czyż nie? Natomiast srebro... czy jest jakiś specjalny wzór?

— Nie wiem, nigdy się nad tym nie zastanawiałam — powiedziała Theresa.

— Ale ja kiedyś przyglądałam się naszyjnikowi bardzo uważnie — wtrąciła Tiril. — I rzeczywiście łańcuszek ma wzór... Jakby trochę nieregularne ogni-
wka... — Ściszyła głos i wstała. — Dlaczego nie mielibyśmy go obejrzeć?

— Znakomity pomysł — pochwalił Móri z uśmiechem. — Przyniesiesz szka-
tułkę?

— Oczywiście!

Tiril wróciła prawie natychmiast.

Gdy tylko stanęła w drzwiach, wiedzieli, że coś się stało. Jej twarz wyrażała
najwyższe zakłopotanie.

— Przecież odłożyłam naszyjnik do szkatułki, kiedy ostatnim razem go mia-
łam. Po balu na zamku, w Norwegii.

— Pamiętam to — potwierdził Móri pełen jak najgorszych przeczuć.

Tiril wyciągnęła przed siebie szkatułkę.

— Patrzcie, jest pusta!

Theresa zerwała się na równe nogi.

— Ależ to niemożliwe! Sama widziałam, jak odkładałaś naszyjnik. Klucz,
gdzie jest kluczyk od szkatułki?

— Klucz jest na swoim miejscu w mojej torebce. Nikt ze służby nie miał do
niego dostępu. A poza tym oni są uczciwi.

— Oczywiście — potwierdziła Theresa. — Myślicie, że ludzie kardynała zdo-
łali mimo wszystko dotrzeć do naszyjnika? Tutaj?

— Nie! Oni najwyraźniej wciąż go szukają — rzekł Móri zgnębiony i oddał
dziecko niańce, która właśnie weszła, by je zabrać. — Nie, kradzież mogła mieć
miejsce w każdej chwili po balu na zamku.

— Że też nie dbałam bardziej o szkatułkę — czyniła sobie wyrzuty Tiril. —
Ale miałam przecież kluczyk przez cały czas, a zamknięcie szkatułki nie zostało
naruszone, byłam najzupełniej pewna, że...

— Wina spada w równej mierze na mnie — powiedział Móri.

— I na mnie — przyłączyła się Theresa. — Wszyscy powinniśmy byli lepiej pilnować. Ale kto mógł zabrać szafirowy naszyjnik? Nie Seline, mogłabym przysiąc.

— Oczywiście, że nie — potwierdziła Tiril. — Nie, ja mam inne straszne przeczucia.

— I ja także — wycedził Móri przez zęby. — Dostałaś szkatułkę od swojej matki, prawda? Po to, by mieć gdzie schować naszyjnik.

— Tak było.

— I potem już szafirów stamtąd nie wyjmowałaś. Ale kto był przy tym, kiedy je chowałaś? Ten ktoś wiedział, gdzie się szafiry znajdują i gdzie ty przechowujesz kluczyk od szkatułki.

— Właśnie. Ktoś, kto zawsze ich pożył.

— Catherine? — zdziwiła się Theresa. — Ależ ona...

Móri zwrócił się do teściowej.

— Ona, która pochodzi z takiej dobrej rodziny? Nasza przyjaciółka Catherine nigdy nie miała najmniejszych skrupułów, jeśli chodzi o rzeczy, których pragnie.

Tiril usiadła przygnębiona.

— I co my teraz zrobimy? Naszyjnik znajduje się w Bergen, a my tutaj. Chciałabym go odzyskać ze względu na siebie, ale to akurat nie jest najważniejsze. Moim zdaniem naszyjnik zawiera jakiś tajemniczy kod i jest kluczem do czegoś straszego.

— Masz rację, ja też tak myślę — powiedział Móri. — Tiril, ty umiesz tak ładnie pisać, czy mogłabyś napisać list do Erlinga i Catherine, poprosić ich o zwrot... Nie, nie mogą wysłać naszyjnika, to zbyt niebezpieczne przy tych zbójceckich napadach na dyliżanse pocztowe. Napisz, że Catherine musiała wziąć naszyjnik „z przyzwyczajenia” i że chcemy go natychmiast mieć z powrotem... Nie, musimy bardzo starannie sformułować list. Tak, żeby Erling i Catherine zrozumieli, że musimy odzyskać naszyjnik. W przeciwnym razie najprostszą rzeczą dla Catherine będzie powiedzieć „Nie, nigdy nie wzięłam żadnego naszyjnika, jak możecie mnie tak paskudnie posądzać?”

— No a jeśli ona tego naprawdę nie zrobiła? — zapytała Tiril.

— Zrobiła! Jestem tego pewien. Pamiętam jej dziwnie zadowoloną minę, kiedy wyjeżdżała. Jak u kota, który złowił tłustego szczura. Wtedy myślałam, że to z powodu Erlinga, że ona się cieszy, bo go dostała. ale okazuje się, że przyczyna była bardziej materialna.

Napisałi list i wysłali go natychmiast. Żadne bowiem nie zniósłoby myśli o tym, że trzeba znowu wyjeżdżać do Bergen, i to teraz, kiedy nareszcie osiedli spokojnie jako tako bezpiecznym miejscu.

Potem nie pozostawało im nic innego, jak tylko czekać. I czekali, zdenerwowani, że całkiem niepotrzebnie z powodu Catherine muszą tracić cenny czas.

— Mamy przewagę nad naszymi przeciwnikami, to prawda — wzdychał Móri z goryczą. — Ale kardynał i jego ludzie mają też nad nami przewagę pod innym względem. Oni wiedzą, o co w tym wszystkim chodzi, a my błądzimy po omacku.

Theresa potakiwała.

— Mimo wszystko musimy rozwikłać tę zagadkę. Nie wiemy, ilu ich jest ani kim są. Ale nie ulega wątpliwości, że tropią nas i zamierzają nas zabić.

Westchnęła ciężko.

Tej nocy księżna długo leżała nie śpiąc i pozwalała umierać marzeniu swego życia. Wiele łez wsiąknęło w poduszkę i w brzeg prześcieradła, którym ocierała oczy. Przewracała się w łóżku z boku na bok, głęboko upokorzona i zraniona.

Spotkanie z biskupem Engelbertem było rozczarowaniem od pierwszego momentu. Więc to wobec tego człowieka zachowywała taką niezłomną lojalność przez całe życie. Utrzymywała w najgłębszej tajemnicy jego nazwisko, broniła go przed całym światem, by mógł podążać swoją wymarzoną drogą kościelnej kariery, nigdy nie próbowała go odnaleźć, choć serce płonęło tęsknotą, a on tymczasem krzywił się i niepokoił na jej widok.

Pod pięknymi oczyma Engelberta pojawiły się worki, urósł mu drugi podbródek, a kąciki ust miał opuszczone, włosy mu się przerzedziły, talia zaś przestała istnieć. Ale wielka miłość jest w stanie znieść takie rzeczy, to wszystko drobiazgi, można je nawet pokochać dlatego, że należą do drogiej osoby.

Lecz Karol, brat Theresy, miał całkowitą rację. Engelbert był tchórzliwy i słabego charakteru, jego brak woli i zdecydowania budził niechęć.

A jego wuj był straszny!

Kiedy brzask rozjaśnił niebo na wschodzie, Theresa wstała zdumiona, że jest jej tak lekko i dobrze. Wszystko wydało jej się jasne, ona sama czuła się czysta na duszy. Teraz dopiero dostrzegła, czym była jej miłość do Engelberta. Nie światłem w ciemnościach, lecz ciężkim brzemieniem, wyrzutem sumienia. To, że nigdy nie kochała Adolfa von Holstein-Gottorp, to jedna sprawa, nigdy by tego nie potrafiła, nawet gdyby jej serce było całkiem wolne. Lecz nieustanne marzenie o Engelbercie w najmniejszym stopniu nie poprawiało i tak złych stosunków w tym małżeństwie.

— Teraz naprawdę zaczyna się moje nowe życie — powiedziała głośno i usiadła na postaniu. Po chwili wsunęła stopy w pantofle, by zejść na dół do swojej ukochanej córki, fantastycznego zięcia i małego wnuczka, nad którego dolą krwa-
wiło jej serce, a którego kochała aż do bólu.

— Naprawdę mam szczęście — szepnęła nareszcie wolna od brzemienia. — Engelbert i jego potworny wuj! Możecie sobie mieć plany, jakie chcecie, teraz ja podejmę walkę przeciwko wam, by chronić moją małą rodzinę!

Patrzyła na płonący jesienny krajobraz za oknami dworu Theresenhof. My-

ślała o przyszłości, robiła projekty, co uczyni dla swoich najbliższych, co zrobi dla dworu i pracujących w nim ludzi. Nikt z jej otoczenia nie mógł cierpieć bólu i niedostatku, bowiem ona sama otrzymała więcej, niż zasłużyła.

— Mimo wszystko należą ci się podziękowania, Engelbercie! Dałeś mi Tiril. Co prawda dla ciebie nie było to zbyt wielkie osiągnięcie i wstydziłeś się później tego, a teraz nawet nie spojrzalesz na swojego zięcia, ani razu nie zapytałeś o Tiril czy o wnuczka. W takim razie oni są tylko moi, a tobie nie jestem winna nic!

Te ostatnie słowa powiedziała głośno, tak że zaniepokojona pokojówka podeszła, by zapytać, co się stało.

Zamiast odpowiedzi otrzymała od swojej szczęśliwej, roześmianej pani mocny uścisk.

W listopadzie było jeszcze dość ciepło, więc jesienne wiatry, które teraz nastały, były zdumiewająco łagodne i niemal przyjemne.

Pewnego popołudnia już o zmroku Móri otrzymał wiadomość.

Z wielką księgą w ręce stanął przed nim Nauczyciel.

— Czas się dopełnił, Móri z islandzkiego rodu czarnoksiężników. Zabierz ze sobą obie kobiety oraz twojego synka i idź z nimi na wysokie wzniesienie nad górnym biegiem rzeki. Twój syn otrzyma imię.

— Dlaczego czekaliście z tym tak długo?

— Musieliśmy zgromadzić wiedzę na temat imion, spośród których wybieraliśmy. Teraz nareszcie mamy właściwe.

Móri nie usiłował niczego więcej wyjaśniać, poinformował natychmiast Theresę i Tiril, żeby się zbierały do drogi. One spoglądały na niego zmartwione, lecz nie zadawały pytań. Tiril pięknie ubrała malca, Móri wziął go ze sobą na konia i troje dorosłych pojechało na szczyt wzniesienia. Bardzo dobrze wiedzieli, o które miejsce chodzi, nie musieli o nic pytać.

Wichura szarpała ich ubrania i włosy. Móri trzymał synka przy sobie, osłaniając go od wiatru. Chłopiec miał już teraz pięć miesięcy i rozpoznawał swoje otoczenie. Na pół siedział w ramionach ojca i zerkał spod kurtki swoimi lśniącymi czarnymi oczyma. Już dawno zauważyli, że chociaż wygląd dziecka był, łagodnie mówiąc, dziwny, to pod względem rozwoju intelektualnego wszystko okazało się w porządku. I chociaż na ogół był bardzo poważnym małym człowieczkiem, to uśmiechał się słodko za każdym razem, kiedy widział kogoś znajomego — mamę, ojca, babcię, niańkę i pokojówki, ale najserdeczniej uśmiechał się na widok Nera. Wyciągał wtedy rączki i szarpał długie, czarne kudły, Nero zaś układał się obok niego i cierpliwie pozwalał się tarmosić. Zresztą nie traktował tego jako bolesnego tarmoszenia, raczej jako pieszczotę małych, delikatnych rączek.

Było jeszcze dość jasno, gdy dotarli do wzniesienia. Znajdowali się w nie zamieszkaney okolicy wysoko ponad doliną, tylko ruiny świadczyły, że kiedyś

na wzniesieniu musiał się znajdować gród albo twierdza. Teraz pozostały tylko resztki wałów i porośnięty trawą dziedziniec. Móri rozejrzał się wokół i wybrał otwartą polankę właśnie obok dawnego dziedzińca.

Tam usiedli, by czekać. Konie skubały trawę poniżej szczytu, wiatr rozwiewał szeroką pelerynę Theresy, a Móri szczerzej otulał dziecko połą swojej kurtki.

— Przyjaciele moi z tamtego świata! — zawołał Móri. — Jesteśmy gotowi.

Tym razem nie było żadnych zawirowań powietrza, śrub ani diabelskich młynów, żadnych tapnięć pod ziemią ani wyczuwalnych wstrząsów. Tym razem w powietrzu rozległ się szum i ludzie spostrzegli, że nie są już sami.

Tiril rzekła spokojnie:

— Ubrałam dziecko w jego najpiękniejszy strój, bowiem dla nas jest to bardzo uroczysta chwila.

Duchy wyłoniły się z cienia. Przybył Nauczyciel i Duch Zgasłych Nadziei. Nad wzniesieniem jak zamierające wołanie unosiła się Pustka. Zjawiły się też dwie piękne kobiety: Powietrze i Woda. Hraundrangi-Móri przyszedł zobaczyć, w jaki sposób zostanie nadane imię jego wnuczki, byli także Nidhogg i Zwierzę. Nie zjawiły się duchy opiekuńcze żadnego z dorosłych, ukazał się natomiast potężny, czarny cień, pomocnik dziecka, zjawa, którą Tiril tak często widywała w pobliżu synka.

Zawsze przepęłniała serce Tiril niepokojem.

Teraz jednak próbowała myśleć o tamtym dniu, kiedy cień położył na kołderce dziecka białą różę. Miała co prawda bardzo długie kolce, ale któż ma życie całkiem wolne od bólu? Tiril koncentrowała myśli na róży, która musiała być świadectwem dobrej woli przybysza z zaświatów.

Tylko nie mogła jakoś połączyć tego budzącego w niej grozę cienia z dobrym duchem.

Jak zawsze Nauczyciel czytał w jej myślach. Uśmiechnął się teraz.

— Droga, którą pójdzie twój syn, będzie trudna. Dlatego jego opiekunem i pomocnikiem nie może być jakaś porcelanowa figurka, będzie potrzebował kogoś możliwie najsilniejszego.

— Tak — odparła Tiril. — Nad tym się właśnie zastanawiałam. Tylko proszę mi nie mówić, że opiekun malca jest kobietą, bo nigdy w to nie uwierzę!

— Nie, nie, masz rację, to mężczyzna! Ale odwróć się, moja droga.

Tiril oraz jej matka i mąż odwrócili się natychmiast. Za Mórim, który trzymał chłopca, stała młoda kobieta, wysoka blondynka o bardzo miłym uśmiechu.

— Jedna z najpotężniejszych — wyjaśnił Nauczyciel.

— One wszystkie są wysokie i mają blond włosy, zarówno duchy kobiece, jak i męskie. Twój syn otrzymał kogoś z ich grona i powinnaś się z tego bardzo cieszyć!

— Cieszę się i dziękuję — odparła Tiril, kłaniając się młodej kobiecie.

— No to co? — zapytał Nauczyciel. — Możemy zaczynać ceremonię?

— My jesteśmy gotowi — oznajmił Móri.

Na polecenie duchów położył swego synka na prostokątnym kamieniu w trawie, stanowiącym prawdopodobnie jakiś fragment dawnych umocnień grodu. Tiril poprawiła małemu falbanki pod szyją i odgarnęła mu lok z czoła. Był rzeczywiście ubrany bardzo pięknie, miał na sobie należącą do Habsburgów koszulkę do chrztu i śliczną koronkową czapeczkę na czarnych włoskach. Chłopczyk już zaczynał siadać, próbował też raczkować i wszyscy troje, matka, ojciec i babka, bali się, czy zechce grzecznie leżeć.

On jednak wszystko przyjmował z wielkim spokojem. Spoglądał to na jednego, to na drugiego ducha i zdawał się wszystko obserwować. Nero, który oczywiście przyszedł tu z nimi, czuwał przy kamieniu, a chłopczyk, jak zawsze, targał jego futro.

Tym razem duchy nie kazały Nerowi trzymać się z daleka.

— Znaleźliśmy dla niego imię — powiedział Nauczyciel. — Jak z pewnością rozumiecie, dziecko musi mieć imię, które będzie je ochraniać. To konieczne. Ja wiem, że pani, księżno, pragnęłaby dla niego także chrześcijańskiego imienia. Może on takie imię otrzymać, to nie ma dla nas znaczenia, dopóki nie zechce pani nazywać go imieniem świętego patrona w codziennym życiu.

— Nie będę tego robić — obiecała Theresa i odetchnęła głęboko. — Jestem bardzo wdzięczna za to, że moje prośby zostały wysłuchane, to mi wystarczy. Mój wybór padł na dwa imiona, ponieważ chłopiec jako potomek Habsburgów ze strony matki może nosić ich więcej. Jedno imię to Lanjelin, po pierwszym znanym Habsburgu. Jego rodzicami byli Guntram Bogaty i Elsass, Lanjelin żył około roku tysięcznego. Jego syn, Ratbot, zbudował wielki dom cesarski Habichtsburg, Gród Jastrzębi, w kantonie Aargau, na wysokiej skale Wülpelsberg nad rzeką Aare. Drugie imię to Matthias, imię cesarzy z rodu Habsburgów oraz bardzo dobre imię z Biblii, będzie więc ochraniać dziecko również z chrześcijańskiego punktu widzenia.

Nauczyciel skinął głową.

— Dokonała pani dobrego wyboru, księżno. Od czasu do czasu może pani nazywać dziecko Lanjelin, jeśli sobie pani tego życzy. To drugie imię nie powinno być jednak wymawiane. To by drażniło siły, które chłopiec będzie spotykał.

— Rozumiem — rzekła Theresa z ciężkim sercem. — Ale proszę nam powiedzieć, jakie imię wy dla niego wybraliście!

— Zaraz powiemy. Nidhogg, podaj mi miseczkę z wodą z roztopionego lodu ze szczytu Hekli. Dziękuję ci! Ja sam przyniosłem krew Maurów z bitwy pod Granadą, która miała miejsce w roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym drugim, kiedy mój lud utracił swój bastion w Hiszpanii. Pustka ma ze sobą lzy rozpaczy. Duch Utraconych Nadziei niesie wodę ze źródeł, które były na ziemi, zanim jeszcze pojawili się ludzie. To świeża i czysta woda, dzisiaj już takiej nie ma. Dwa duchy przestworzy, Powietrze i Woda, owioną policzki

dziecka wiatrem przynoszącym ochłodę i spokój, Hraundrangi-Móri przyniósł nieoceniony skarb z szkatułce, której żadne z was nie powinno otwierać. Chłopiec może ją otworzyć jedynie, kiedy uzna, że nadeszła na to pora.

Powoli i w wielkim skupieniu duchy wypełniały swoje rytuały, troszcząc się, by dziecko otrzymało wszystko, co przyniosły.

— A teraz — rzekł Nauczyciel. — Teraz nadeszła pora, by nadać temu dziecku imię.

Wiatr zalił się w ruinach. Lodowate zimno przenikało ludzi do szpiku kości.

Chłopczyk leżał spokojnie.

Nauczyciel powiedział:

— Dziecko, twoje imię brzmi Dolg.

W ciszy wyczuwało się rozczarowanie, ogarniające rodziców.

— Dolg? — zapytał Móri. — A cóż to za imię?

— Zawiera ono w sobie bardzo wiele. Liczne języki składają się na spokój i bezpieczeństwo przekazane dziecku w tym imieniu. Islandzkie słowo „dul” znaczy tajemniczość, coś ukrytego. Staronordyckie „dolgar” to miecz. Rosyjskie „dolg” oznacza długo, długi czas i zapewni mu długie życie. Angielskie „dole” łączy się ze smutkiem, żalem i tęsknotą, a włoskie „dolce” znaczy słodkie, przyjemne. Ale przede wszystkim w jednym z najstarszych języków „dolg” oznacza zjawiska okultystyczne, ezoteryczne. W innym języku oznacza zdolność do ukrywania się. I tak mógłbym wyliczać jeszcze bardzo długo, a wy musielibyście się zgodzić, że żadne inne imię nie zapewni mu takiej siły i ochrony.

— Ale Dolg? — upierał się Móri. — Jak można małe dziecko nazywać Dolg?

— Będziecie musieli się nauczyć. Ludzie szybko się przyzwyczajają. Zapewniam was, że istnieją głębsze i trudniejsze do wymówienia imiona.

— Oczywiście — przyznała Theresa pospiesznie.

Tiril zdołała tylko skinąć głową. Było jej smutno, czuła pustkę w duszy i nie była w stanie myśleć.

Nauczyciel podniósł dziecko z kamienia i zakończył ceremonię:

— Nadaję ci imię Dolg Lanjelin Matthias i powierzam cię tym ludziom, by wychowali cię jak najlepiej. Powierzam go też tobie, duchu kobiecy, byś dbała o niego, dopóki będzie dzieckiem, oraz tobie, duchu ze świata, o którym nie chcemy opowiadać, byś kroczył z nim zwłaszcza tą drogą, na którą on będzie się bał wejść.

Malec został złożony w ramionach Tiril, a ona przyjęła go nie widząc Nauczyciela, bo oczy miała pełne łez. Nauczyciel dał duchom znak, by się ulotniły, lecz Móri go powstrzymał.

— Mam do was jeszcze jedną prośbę, moi niezwykli przyjaciele! Czujemy się zagrożeni, boimy się kardynała i jego ludzi, nie bardzo rozumiemy, o co im chodzi, lecz lękamy się o bezpieczeństwo chłopca. Prosimy was o wzniesienie wokół Theresenhof muru ochronnego, byśmy mogli tam bezpiecznie mieszkać.

Gotowe do odejścia duchy zatrzymały się. Stały, jakby się wahając.

— Wasza prośba jest uzasadniona — rzekł w końcu Nauczyciel. — Zobaczymy, co będziemy mogli dla was zrobić. To, o co prosicie, to nie drobiazg, ale nic nie jest nam obce. Dobrze, możemy otoczyć Theresenhof mgłą obojętności tak, by obcy ludzie, którzy zobaczą dwór, natychmiast o nim zapominali. To najlepsze, co możemy wam dać. Ale pamiętajcie: Każde z was, o ile znajdzie się poza dworem, jest bezbronne, mgła go nie osłoni.

— Będziemy o tym pamiętać — obiecał Móri. — Dziękujemy wam za pomoc, szlachetne duchy!

Duch Zgasłych Nadziei roześmiał się cicho.

— Po raz pierwszy ktoś powiedział o nas „szlachetne duchy”! Dzięki ci, ale to wyrażenie chyba nie bardzo do nas pasuje. A teraz żegnajcie!

Nagle ludzie i pies zostali sami na wzniesieniu. Mrok zapadał coraz gęstszy, a wiatr przybrał na sile.

— Idzie jesień — powiedziała Theresa. — Chodźmy do domu, do ciepła przed kominkiem i filiżanki czegoś gorącego do picia.

Tiril patrzyła, jak Móri nieskończenie ostrożnie bierze chłopca z jej objęć, po czym wszyscy ruszyli w drogę.

Nie mogła pozbyć się uczucia, że przyszłość malca jest ściśle powiązana z życiem towarzyszy Móriego.

Bardzo się oni kłopotczą o jego dobro. Żeby dorósł i wypełnił zadanie.

Akurat to ostatnie zdawało się być niesłychanie ważne dla niewidzialnych przewodników.

Biedna Tiril skuliła ramiona. To mój syn, zaliła się w duchu. Mój syn i mojego ukochanego Móri.

Żądacie od nas zbyt wiele!

Rozdział 14

Duchy dotrzymały słowa — małej rodzinie pozwolono cieszyć się spokojem przez długi czas. Jeśli kardynał von Graben i jego ludzie ich poszukiwali, to oni w każdym razie niczego nie zauważyli. Było tak, jakby żadne złe moce nie miały dostępu do Theresenhof.

Tiril i jej bliscy wkrótce całkiem zapomnieli, iż wysłali list do Bergen. I dopiero w rok później przypomnieli sobie, że nie otrzymali na niego odpowiedzi. Zastanawiali się nad sprawą przez jakiś czas, po czym wysłali kolejny list, tym razem skierowany wyłącznie do Erlinga, do którego mieli większe zaufanie.

Poza tym nie przejmowali się specjalnie zagadką związaną z Tiersteingram i znakiem słońca. Po prostu cieszyli się życiem.

W dwa lata po pierwszym dziecku Tiril urodziła dwoje następnych. Bliźnięta były do siebie tak niepodobne jak dzień do nocy, mimo to od początku stanowiły nierozłączną parę. Bardzo szybko wyrastały na silne osobowości, i chłopiec, i dziewczynka.

Otrzymały po trzy imiona. Dziewczynka nazywała się Taran Helga Maria. Taran ze względu na norweskie koligacje, poza tym imię zaczynało się na T, tak jak Tiril i Theresa. Helga, to dziedzictwo po matce Móriego, Maria zaś to imię habsburskie, a w dodatku bardzo ważne dla Kościoła katolickiego.

Taran była małym przebiegłym łobuziakiem, który wszystkich dorosłych owijał sobie wokół palca. Jej jasnoniebieskie oczy w ciemnej oprawie spoglądały spod opadających na czoło ciemnych loków słodko na każdego, od kogo dziewczynka czegoś chciała. A była taka niewinna, taka niewinna, że wprost trudno to wypowiedzieć. Wyjątkowy ekspert, jeśli chodzi o unikanie nieprzyjemności, umiała sprawić, by wszyscy widzieli w niej małego anioła, którego świat nie rozumie. Ludzie pracowali dla niej, nawet tego nie zauważając.

Minęło wiele czasu, zanim dorosli ją przejrżeli.

Chłopiec miał na imię Jon Wilhelm Filip, ale wołano na niego Wilhelm. Z czasem zaczęto go nazywać Villemann, dziki, szalony człowiek, bo był niczym burza, trwałe, niewyczerpane źródło energii. Dorosłym często opadały ręce, po prostu nie byli w stanie go upilnować. Taran po mistrzowsku umiała wykorzystywać je-

go chęć do pracy, pozwalała bratu robić wszystko, czego sama chciała uniknąć, a on nawet nie zauważał jej lenistwa, po prostu się cieszył.

Niekiedy bywał rozbawiony, innym razem cichy, ale zawsze radosny i ta jego radość udzielała się otoczeniu. Miewał najbardziej szalone pomysły, jak na przykład ten, żeby zdjąć ze strychu kołyskę i spuszczać ją niczym sanki po zboczku z kotem kucharki w roli pasażera. Albo któregoś letniego dnia wdrapał się na kościelną wieżę i najdłuższą linę, jaką znalazł we dworze, przywiązał do belki dzwonnicy, po czym zsunął się w dół, żeby zobaczyć, jak daleko lina sięga. Niestety, koniec sznura dyndał wysoko nad ziemią, więc kościelny musiał ryzykować życie i całość swoich kości, by wspiać się po drabinie i uratować chłopca, który huśtał się radośnie z rozwianymi włosami, pokrzykując do stojących pod dzwonnica rodziców i służby.

Długo jeszcze potem był strasznie podniecony. „Czy nie widzieliście, że umiem latać?” — pytał co chwila przerażonych świadków całego zajścia i wybuchał perlistym śmiechem.

Kościelny wprawdzie uważał, że to nie było takie wesołe, lecz Taran nie posiadała się z zachwytu dla wyczynu starszego brata. Villemann zawsze podkreślał, że jest starszy, i żądał, by to uznawała, urodził się bowiem całe dwie godziny wcześniej i z tego powodu musiała okazywać mu szacunek.

Aż trudno uwierzyć, jak bliźniaki się we wszystkim zgadzały. Czasami dochodziło oczywiście do kłótni, a nawet bójek, ale bardzo szybko znowu dochodzili do porozumienia.

Dolg trzymał się na uboczu. Był dla tych dwojga prawdziwym starszym bratem i malcy odnosili się do niego z respektem. Żadnemu do głowy by nie przyszło przekomarzać się z Dolgiem. Dolga należało słuchać, zwłaszcza że odzywał się rzadko. Nikt poza tym nie wiedział, co też gra w jego skrytej duszy, ani o czym myśli.

Pewnego dnia Dolg śmiertelnie przeraził Tiril. Leżał w łóżku przeziębiony, miał gorączkę i okropnie kaszłał. Tiril krzątała się po jego pokoju, gdy nagle chłopiec zapytał:

— Mamo, czy my już niedługo pojedziemy do domu? Odwróciła się do chorego dziecka. Jego czarne, lśniące niczym u zwierzęcia oczy patrzyły na nią ze spokojem.

— Do domu? — powtórzyła zdezorientowana. — Przecież tutaj jest nasz dom! Odwrócił wzrok. Czarne jak sadza włosy lepiły się do czoła.

— Nie — zaprzeczył cicho.

— Kochanie, co ty mówisz? — wyszeptwała, siadając na skraju łóżka. — Masz na myśli Norwegię? A może Islandię?

Wciąż nie patrząc na nią, powiedział cichutko:

— Ja nie wiem. Wiem tylko, że niedługo muszę jechać do domu.

Serce Tiril biło jak młotem.

— Skąd ty to wiesz?
— Słyszę, jak mnie wołają. I widzę, że czekają na mnie.
— Kto to są „oni”?
— Słyszę wołanie karłów — odparł. — I widzę niebieskie światełka, które migoczą chwiejnie. One na mnie czekają.

Minęła dłuższa chwila, nim Tiril była w stanie zapytać:

— Na bagnach?
— Tak. Tak myślę. To taka wymarła okolica. One czekały już bardzo długo.
— Czy jesteś tam sam? — odważyła się zapytać.
— Nie. Nero jest ze mną. No i on, oczywiście.
— Kto?

Dolg odwrócił głowę ku drzwiom.

— Ten, co tam stoi.

Minęło wiele czasu, od kiedy Tiril po raz ostatni widziała cień. To chyba było na uroczystości nadania Dolgowi imienia. Teraz zresztą też go nie widziała.

Ale sześćoletni chłopczyk powiedział:

— Prosiłem go wiele razy, żeby usiadł albo położył się na kanapie, ale nigdy tego nie zrobił.

— Może on nie potrzebuje odpoczynku — uśmiechnęła się Tiril blado, poruszona tematem rozmowy.

— Chyba rzeczywiście nie — zgodził się Dolg. — A wołania karłów to sły-
szałem zawsze.

Mój synku, mój ukochany synku, taki obcy na tym świecie, jaki los jest ci pisany? Żebyś tak mogła być przy tobie, kiedy godzina przeznaczenia wybije!

Ogniki. Ogniki, a teraz jeszcze wołania karłów. . .

Tiril wiedziała, że określenie „wołanie karłów” znaczy tyle samo co echo.

— Mamo, jesteś taka smutna. Dlaczego?

Tiril opanowała się i otuliła chłopca kołdrą.

— Chyba zatęskniłam trochę do północnych okolic — uśmiechnęła się. — To ty wzbudziłeś we mnie tę tęsknotę.

— Czy właśnie na północ mam pojechać, mamo? Bo mnie się wydaje, że tak.

— Nie wiem — rzekła bezradna. — Ale na południe żadnym razie nie. Nigdy nie pojedziesz na południe, tak powiedziały duchy.

Cała trójka dzieci słyszała o duchach, ale żadne ich nie widziało, nawet Dolg. Towarzysze Móriego przez kilka lat zachowywali podejrzany spokój.

Tiril uświadomiła sobie teraz, że tęskni za nimi.

Theresa napisała do swego brata, cesarza Karola, i zapytała o nazwę Ordogno.

Wiem, że kiedyś taką nazwę słyszałam, (wyjaśniła w liście). Ale zastanawiam się i zastanawiam, a mimo to nie mogę sobie przypomnieć gdzie. A skoro już zaczęłam o zapomnianych nazwach, to czy mówi ci coś Deobrigula?

I przy okazji, mój drogi Bracie, który zechciałeś być taki dobry dla mojej rodziny..., zastanawiam się również nad baśnią o morzu, które nie istnieje. Mam wrażenie, że jakiś fragment, jakaś ważna część uleciała mi z pamięci, ale nie wiem, co to było. (Uff, jaka jestem nierozgarnięta, gdybym wiedziała, co zapomniałam, to bym nie zapomniała!) Przytoczę Ci, co z tej baśni pamiętam. . .

W dalszym ciągu listu opowiedziała baśń tak, jak kiedyś Tiril i jej przyjaciółom.

Cesarz odpisał natychmiast, przysłał długi i bardzo wyczerpujący list, opatrzone cesarską pieczęcią, który Villemann z dumą przyniósł do domu. Pocztylion z niepokojem oddawał ważną przesyłkę tak małemu chłopcu, Dolg jednak solennie obiecał, że dopilnuje, by list dotarł do księżnej. Rozmowa z tym dziwnym stworzeniem, jakim był Dolg, napełniała pocztyliona lękiem, pospiesznie się więc oddalił.

Theresa, bardzo ożywiona, otworzyła list i czytała głośno fragmenty odnoszące się do całej rodziny:

Twoje pytanie mnie zdumiało, ale dobrze wiem, jak to jest, kiedy człowiek nie może zlokalizować czegoś, co mu chodzi po głowie. „Ordogno” powinnaś pamiętać, Ordogno Zły z Leon, pochodził z gotyckiego rodu królewskiego w Hiszpanii, Wizygotów czy Ostrogotów. Panował w Leon od roku 956 do 960, a jego małżonką była Urraca z Kastyliei. Ordogno był strasznym człowiekiem i właściwie powinien był zostać usunięty ze wszystkich baśni i opowieści rodowych. Nie myśl tylko, że ja to wszystko tak wypisuję z pamięci, musiałem sobie to i owo przypomnieć, kiedy dostałem Twój list. Gdybyś jednak dokładnie przyjrzała się drzewu genealogicznemu domu książęcego, przypomniałabyś go sobie z pewnością sama. W Leon było wielu królów imieniem Ordogno, on jednak był tym, którego historia zapamiętała najlepiej. Albo najgorzej, jeśli wolisz.

Co się zaś tyczy imienia Deobrigula, to nie potrafię go umiejscowić. Ale brzmi to jakoś jakby z łacińska. Z rzymska, jak Caligula, którego pamiętasz.

No, a jeśli chodzi o Twoje drugie pytanie, dotyczące baśni o morzu, które nie istnieje, to bardzo dobrze wiem, jaki fragment zapomniałaś. Otóż ten skarb, który król z baśni i jego lud otrzymali od

gwiazd (zresztą teraz nie jestem już taki pewien, czy to od gwiazd go dostali), składa się z trzech części. Oni otrzymali niebieską i czerwoną „kulę”, rzeczy bardzo cenne, lecz najwspanialszym z darów była kula ze złota. Symbolizowała ona słońce.

— Tak, to rzeczywiście tak było — potwierdziła Theresa. — Wiedziałam, że o czymś zapomniałam. Ale niebieskie i czerwone kule...? Czy to nie były kamienie? Niech tam, to nie ma znaczenia, zapomniałam o nich, bo nie wiąże się z nimi żadna historia. W każdym razie jeśli kiedyś była, to dawno została zapomniana i zniknęła z baśni.

Rozeźmiała się wzruszona:

— No, a teraz mój brat pisze tak: *I pozdrów ode mnie moją czarującą kuzyneczkę Taran!* Ona naprawdę owinęła sobie cesarza dookoła małego palca, kiedy tu był ostatnim razem!

Wszyscy się uśmiechali. Tiril promieniała z dumy, że cesarz pamięta o jej córeczce i wspomina ją w liście. Ale chłopców też mogłoby pozdrowić, pomyślała. Wiedziała przecież, że oni również mają dużo wdzięku.

Tak więc znaleźli Ordogno. To mogłoby się zgadzać ze „Stein Ordogno”, on żył przecież w czasach run. Właściwie jednak nikt się specjalnie nie przejmował takimi zagadkami, już dawno pokrył je kurz zapomnienia.

Lata mijały bez żadnych poważniejszych problemów. Wszyscy dobrze się czuli w Theresenhof, a o prześladowcach dawno zapomniano.

Pewnego wiosennego dnia Tiril stała w otwartym oknie pierwszego piętra domu i sadziła w skrzynkach pelargonie. Widziała w dole dziedzińiec, na którym bawiły się dzieci. Patrząc na nie, uśmiechała się sama do siebie. Dziesięciolatki, Taran i Villemann, sadziły kwiatki zwane końskimi podkówkami, żeby im z tego wyrosły konie. Nie ulegało wątpliwości, że bawią się przy tym znakomicie, jeden żart wywoływał następne.

— Popatrz no na ten korzonek, Villemann — mówiła Taran. — Zobacz, jaki długi i powykęcany. Gdyby tak go zasadzić, to wyrósłby nam pewnie olbrzymi wąż.

— Długachny wąż — cieszył się Villemann. — Który opasze cały dwór, tak że żaden podstępny drań się do nas nie dostanie!

Taran wstała. Jej sukienka powalana była ziemią, ale to bardzo w jej stylu. Babcia Theresa wiele razy w ciągu dnia musiała wzdychać nad nieostrożnością tej dziewczynki, ale były to zawsze westchnienia pełne miłości.

— A co będzie, jeżeli my też zostaniemy zamknięci bez możliwości wydostania się na zewnątrz? — zapytała Taran. — Nie, nie możemy zasadzić węża. Ile koni już zasadziłeś?

Tiril przeniosła spojrzenie w stronę podjazdu, gdzie siedział Dolg, głaszcząc Nera. Ci dwaj byli nierozłączni. Ze wszystkich mieszkańców dworu Nero najbardziej kochał Dolga. Najstarszy chłopiec miał teraz dwanaście lat, niebywale urodziwy z tą swoją bladością, ciemnymi oczyma i czarnymi włosami. Ludzie w okolicy zaakceptowali go już dawno, choć na początku szeptano, że to „podmieniec”. Obcy zaś nie pokazywali się tu zbyt często. Tak więc Dolg mógł żyć w spokoju.

Nagle w bramie ukazał się jakiś powóz i z turkotem wtoczył się na dziedziniec. Kto to może być? — zastanawiała się Tiril. Nikt się z wizytą nie zapowiadał.

Bliźniaki natychmiast podbiegły do ekwipażu, Nero również. Tylko Dolg trzymał się na uboczu.

Ale co to się stało Nerowi? Nieprzytomny z radości, witał jak szalony wysiadającego z powozu mężczyznę.

Erling! Erling Müller!

— To niemożliwe! — zawołała Tiril, zbiegając po schodach.

Móri już znalazł się na dziedzińcu i witał serdecznie starego przyjaciela. Erling uściskał go, a potem zwrócił się do Tiril.

— Ależ drogie dziecko, ty wyglądasz dokładnie tak samo niewinnie i dziecinnie jak przed. . . no nie, czy to już naprawdę trzynaście lat minęło? Czternaście? O mój Boże! Jak wspaniale znowu was widzieć! A to, jak rozumiem, jest wasza córeczka. Ma takie samo ufne spojrzenie jak ty, Tiril!

— Nie daj się zwieść ufnyim oczom Taran, Erlingu — śmiał się Móri. — To najbardziej podstępna istota, jaką znam! Potrafi tak pokierować, że zrobisz dokładnie to, co zechce. Więc uważaj na przykład na słodczyce i inne ulubione przysmaki małych panienek, bo w przeciwnym razie wyciągnie od ciebie wszystkie.

— Ja mam doświadczenie w tej dziedzinie, możesz mi wierzyć — odparł Erling cierpko.

— No właśnie, Erlingu, przyjechałeś sam — wtrąciła Tiril, zanim uświadomiła sobie, że pytanie jest dość nietaktowne.

— Tak — potwierdził. — Teraz jestem sam, ale porozmawiamy o tym później. A ten mały kawaler o radosnych oczach i włosach jak szczotka. . . ?

— To jest Villemann — oznajmiła Tiril z dumą. — Ma na imię Wilhelm, ale, jak sam widzisz, Villemann pasuje do niego lepiej.

— Jasne! Nie ma wątpliwości!

— A to jest nasz najstarszy syn, Dolg — przedstawił Móri pierworodnego, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Dolg, to jest Erling Müller, o którym tyle słyszałeś. Ale chodźmy do domu, księżna się z pewnością bardzo ucieszy na twój widok!

— I ja bardzo chętnie się księżnej pani pokłonię — uśmiechnął się Erling. Rozejrzał się wokół. — Ależ wy wspaniale mieszkacie! Wiecie, myślę, że żaden

człowiek nie zasłużył sobie bardziej na spokojne, wygodne życie niż właśnie wy dwoje, Tiril i Móri.

— Przeżyliśmy tu wiele pięknych lat — przyznał Móri. Obaj mężczyźni szli do domu za Tiril i dziećmi. Kiedy tamci nie mogą ich słyszeć, Erling szepnął ze zgrozą:

— Móri, ten chłopiec nie należy do ziemskiego świata!

— Wiemy o tym. On ma do spełnienia zadanie, choć nie wiemy jeszcze jakie.

— Czy twoi przyjaciele mają z tym coś wspólnego?

— No właśnie, to oni! Ale od dłuższego czasu się nie pokazują.

— Ale chłopiec jest, oczywiście, twój? — zapytał Erling odrobinę niepewnie. Móri roześmiał się.

— Naturalnie. O żadnym poczęciu bez udziału ojca nie ma tu mowy!

Weszli do środka i Erling przywitał się z księżną Theresą.

— Stałeś się jeszcze bardziej męski, Erlingu — rzekła wciąż bardzo młodo wyglądająca i bardzo nobliwa dama.

— Myślę, że Móri bardzo spoważniał — odparł Erling. — Ale ani o Tiril, ani o księżnej pani nie można tego powiedzieć, panie zupełnie się nie zmieniły!

— Mam nadzieję, że mówisz szczerze — roześmiała się Theresa.

Domownicy zajęli się troskliwie Erlingiem, jego stangretem i koniem, a po posiłku starzy przyjaciele zasiedli na werandzie, żeby porozmawiać.

— Co cię do nas sprowadza, Erlingu? — zaczął Móri. — I powiedz nam nareszcie, gdzie jest Catherine?

Potomek hanzeatyckiego rodu spoważniał.

— Moja małżonka stała się w pewnym momencie kompletnie nieodpowiedzialna, całe Bergen wiedziało o jej wyczynach. Długo starałem się tuszować wywoływane przez nią skandale, ale kiedy próbowała otruć żonę swego kolejnego kochanka, nie mogłem już dłużej ani jej wybaczać, ani też osłaniać. Trafiła do więzienia, ale uwiodła strażnika i ten pomógł jej w ucieczce. Na nic się to jednak nie zdało, bo żona strażnika ją zastrzeliła.

Zaległa cisza.

— Więc ona nie żyje — rzekła po chwili Tiril.

— Tak.

— Biedna Catherine — szepnęła Tiril. — Los dał jej tyle możliwości, ale żadnej nie potrafiła wykorzystać.

— Tak, masz rację. Cóż, teraz powiem, dlaczego tu przyjechałem.

Weszła pokojówka z napojami orzeźwiającyymi. Dzieci, które właściwie już dawno powinny być w łózkach, przynajmniej młodsze, dosłownie wisały na oparciach foteli za plecami dorosłych. To znaczy bliźniaki, bo Dolg siedział na podłodze przy drzwiach, jak zawsze na uboczu i jak zawsze z nieodłącznym Nerem. Dorośli o nich zapomnieli, z taką uwagą słuchali opowiadania Erlinga.

— Po śmierci Catherine musiałem przejrzeć jej rzeczy — podjął Erling swoją historię. — Nie było to wcale przyjemne zajęcie, bo na światło dzienne wyszło mnóstwo jej niezbyt pięknych postępków, o których przedtem nie wiedziałem. Nie byłem w stanie czytać jej korespondencji, wiedziałem przecież, że w czasie trwania naszego małżeństwa ona miała bardzo wielu kochanków. To potworne i upokarzające czytać liryczne wynurzenia innych mężczyzn na temat fizycznych wdzięków własnej żony. Szybko więc przerwałem lekturę. Ale wtedy trafiłem na list adresowany do nas obojga. To był list od was, a gdy pospiesznie rozwiązałem pakiet, znalazłem jeszcze jeden, tym razem już tylko do mnie. Również od was. Pisany w rok po pierwszym, ale bardzo, bardzo dawno temu.

W głosie Erlinga brzmiała gorycz.

— Catherine świetnie wiedziała, czego listy dotyczą, i nie miała zamiaru mi ich pokazywać. Akurat tym razem błogosławiłem jej bałaganiarstwo i lekkomyślność, które sprawiły, że wrzuciła listy do szuflady, zamiast je spalić.

Potrząsnął odmownie głową, kiedy pokojówka podsunęła mu ciastka. Powinna była rozumieć, że nie ma teraz głowy do łakoci.

— Kiedy przeczytałem oba listy, ogarnął mnie taki wstyd, że zrobiło mi się niedobrze. Oczywiście, natychmiast zacząłem przetrząsać jej szkatułkę na biżuterię i różne tajemne schowki. Po bardzo długich poszukiwaniach znalazłem naszyjnik z szafirami. W kieszeni płaszcza, który najczęściej wkładała, kiedy wychodziła na swoje nocne przechadzki, jak nazywała te awanturnicze eskapady. Płaszcz dostała ode mnie, kiedy przyjechaliśmy do Christanii, więc nie „wzięła szafirów przez pomyłkę”. Tiril... księżno Thereso i Móri. Jest mi tak okropnie wstyd za moją żonę. Naturalnie natychmiast spakowałem się i przyjechałem do was, żeby zwrócić naszyjnik. To jedyne, co mogłem uczynić. Oto on.

Wyjął z kieszeni podłużne etui, otworzył je i umieścił na stole.

— Pokornie proszę o wybaczenie — rzekł cicho.

Wszyscy troje zaczęli go zapewniać, że nie powinien sobie czynić wyrzutów, wprost przeciwnie.

— Widzisz, Erlingu — wyjaśnił Móri. — Jest szczególny powód, dla którego chcieliśmy odzyskać naszyjnik. Nie mieliśmy jednak odwagi wyjawiać tego w liście.

Erling Müller przyglądał mu się pytająco.

Móri westchnął.

— Ech, to dawne dzieje, z czasów, kiedy jeszcze byliśmy w stanie myśleć o tych okropnych wydarzeniach. O prześladowcach i wszystkich innych tego rodzaju sprawach, pamiętasz? Moim niewidzialnym towarzyszom udało się odsunąć złych ludzi od naszego domu tak, by nie mogli nas znaleźć. To się stało wtedy, kiedy duchy nadały imię Dolgowi. Minęło od tego czasu dwanaście lat.

— Te spokojne lata naprawdę się wam należały — powiedział jeszcze raz Erling. — Ale ów specjalny powód, o którym wspominałeś... Co to takiego?

— Sądzimy, że naszyjnik również zawiera w sobie część rozwiązania, którego poszukiwali nasi prześladowcy. Jakieś tajemnicze przesłanie.

— Naprawdę? — wykrzyknął Erling zaskoczony. — Naszyjnik? Jakie przesłanie może kryć w sobie naszyjnik?

— Widziałeś, że na srebrnym łańcuszku został wygrawerowany jakiś wzór, prawda?

— To możliwe. Nie studiowałem go tak dokładnie. Przyjrzyjmy mu się!

Położyli naszyjnik na stole i rozciągnęli go na całą długość. Od głównego łańcuszka zwieszały się pionowo w dół mniejsze, a każdy zakończony był pięknie opracowanym szafirem. Kamienie dodatkowo połączono między sobą cieniutkimi łańcuszkami, zwieszającymi się łukowato. Środkowy szafir był większy i wisiał na dłuższym łańcuszku niż pozostałych sześć, po trzy z każdej strony tego największego.

Siedem kamieni najwyższej jakości. Ale nie to skupiało uwagę zebranych przy stole ludzi.

Jak na umówiony znak odwrócili naszyjnik i zaczęli przyglądać się jego odwrotnej stronie. Tamta powierzchnia była jednak całkiem gładka, więc ponownie odwrócili klejnot.

— Macie rację, tu jest jakiś wzór — powiedział Erling. — Ale wygląda jak bardzo regularny ornament wygrawerowany na srebrnych ogniwkach.

— Tak — potwierdziła Tiril z zapalem. — Pamiętam jednak, że kiedy raz przyglądałam się naszyjnikowi, to właśnie zadziwiły mnie wzorki na tych delikatnych ogniwkach.

— Bardzo malutkie — stwierdził Erling sceptycznie. — Widzę to, o czym mówisz, ale kto mógłby powiedzieć, co znaczą te kreski tak bezładne, jakby kura pazurem je wydrapała? Są nie większe niż ślad mrówki na piasku.

— Mam szkło powiększające — oznajmiła Theresa przejęta. — Dostałam je kiedyś od mojego brata. To znaczy wyżebrałam, ale mam. Muszę tylko poszukać.

W towarzystwie pokojówki pospieszyła do swojej sypialni, by odszukać szkło.

— Ależ dzieci! — wykrzyknęła Tiril ze zgrozą. — Wy jeszcze tutaj? Przecież już dawno powinniście wszyscy być w łóżkach!

— Ale to takie ciekawe — zaprotestowała Taran, lekko sepleniąc. Ta niewielka wada wymowy dodawała jej ogromnie dużo wdzięku. — Chcemy dowiedzieć się więcej! Kim była Catherine? Czarownicą?

— Uff, nie! — jęknęła Tiril. — Tak nie wolno mówić! No, do łóżek, zmykajcie!

— Pozwól im zostać — z uśmiechem poprosił Erling. — Tak mi przyjemnie z waszymi dziećmi. Pewnie dlatego, że nie mam swoich. Pozwolisz?

Po tych słowach bliźnięta już całkiem swobodnie rozgościły się przy stole. Nawet Dolg podniósł się z podłogi i bez słowa usiadł na krześle.

Erling zdobył sobie ich serca na zawsze.

Villemann powiedział zazdrośnie:

— Taran, nie wieszaj się wujkowi Erlingowi na szyi!

— Cicho, dzieci! — uspokajała ich Tiril. — Babcia wraca.

Theresa w towarzystwie pokojówki, która posunęła się już w latach, ale nadal była pracowita i oddana jak za młodu, przyniosły jakiś wielki, nieforemny przedmiot, który bardzo trudno było ustawić w odpowiedniej odległości między oknem a blatem stołu. Wcale też sprawie nie pomagał fakt, że wszyscy chcieli próbować jednocześnie.

W końcu jednak Móri mógł z triumfem zawołać:

— To prawda, tu coś jest!

— Co jest? — dopytywała się Tiril, której pochylone głowy dzieci całkowicie zasłaniały widok.

— Jakież litery — stwierdził Erling. — Ale kompletnie niezrozumiałe.

— A właściwie, to czy ten naszyjnik jest bardzo stary? — zapytał Móri. — Z jakich czasów pochodzi?

— Nie wiem — odparła Theresa. — Dostałam go przecież od Engelberta, a on mówił, że w jego rodzinie znajdował się od dawien dawna. To wszystko, co mi wiadomo.

— Myślę, że jest bardzo stary — wtrącił Erling. — Bo litery są gotyckie. Ale przemieszane tak, że nic nie znaczą.

— Przepiszcie je na arkuszu papieru — zaproponowała Theresa.

Pospiesznie znaleźli przybory i Tiril zapisywała, co tamci zdołali odczytać. Zaczęli od pierwszego z lewej łańcuszka z szafirem, potem odczytali napis na następnym tak dalej, do końca.

Następnie próbowali ocenić rezultat.

— E, tam! — powiedziała Tiril zniechęcona. — Widzę tu wyraźnie niemieckie litery, jak ü, o, z, ale żadnych znaków przestankowych.

Erling, który był kupcem, potrafił oceniać różne przedmioty.

— Jeśli mogę sobie pozwolić na zgadywanie, to naszyjnik pochodzi z szesnastego wieku, najwcześniej z piętnastego.

— To mogłoby się zgadzać — przytaknęła Theresa.

— No, co nam wyszło?

— XPIBCJDIUFGMJFHFOZC... — zaczął odczytywać Villemann, ale dał za wygraną. — E tam, to nic nie znaczy!

— Może to szyfr — zastanawiał się Móri.

— Oczywiście, że tak! — zgodził się Erling. — Jak wiecie, ta sekta czy stowarzyszenie starych kawalerów posługiwało się wyłącznie zagadkami i tajemniczymi kodami.

— To chyba nie jest ani sekta, ani stowarzyszenie — zaprotestowała Tiril. — Już dawno doszliśmy do wniosku, że to zakon. Taki jak templariusze i inne podobne.

— No więc tak jak powiedziałem: stowarzyszenie starych kawalerów — rzekł Erling ze złośliwym uśmiechem. Jak wszyscy mali chłopcy, również Villemann i Dolg bardzo się zainteresowali przypuszczalnym szyfrem. Wypisywali litery w różnej kolejności, sylabizowali mozolnie.

— W piętnastym czy szesnastym wieku nie znano chyba bardzo skomplikowanych szyfrów — wtrąciła Theresa niepewnie.

— Nie, mam nadzieję, że ten jest bardzo prosty — zgodził się Móri. — Najprostszy szyfr polega na tym, że przesuwa się w całym zapisie jedną literę do przodu.

Tiril spróbowała:

— YQJCDKE...

— Nie, nie — przerwał jej Dolg. — Mama po prostu przesuwa jedną literę do przodu, a powinniśmy starać się myśleć tak jak ci, którzy układali ten szyfr. Oni też wykonali coś najprostszego, to znaczy przesunęli zapis o jedną literę do przodu.

Tiril spojrzała na swego dziwnego synka.

— Chcesz powiedzieć, że w takim razie my powinniśmy się cofnąć o jedną literę?

— Właśnie tak.

— Spróbujmy!

— Ale to za proste — upierał się Villemann.

— Mimo to spróbujmy — nalegał Erling.

Tiril ponownie podjęła próbę.

— WOHABICHTEFLIEG... no, mamy — szepnęła. — Zapisuj, Dolg! Szybko!

Wszyscy byli tak podnieceni, że wykrzykiwali coś jedno przez drugie. W końcu rozszyfrowali cały tekst, podzielili go na słowa:

„Wo Habichte fliegen über Aare, schlafen die Hochmeister”.

Villemann zmarszczył brwi. „Gdzie jastrzębie latają ponad orły, sypia wielki mistrz”?

— Nie, nie! — zawołała Theresa. — Wielcy mistrzowie! Tam jest liczba mnoga, mój chłopcze!

— Jastrzębie ponad orłami? — powtarzał Erling. — Kto zrozumie, o co tu chodzi?

Móri siedział zamyślony.

— Ja myślę, że to nie oznacza orłów — rzekł po chwili. — Aar to bardzo stare określenie orła. Może tu chodzi raczej o rzekę Aar lub Aare? Chociaż nie ma tu rodzajnika, ale sądzę, że to z braku miejsca.

— Habichtsburg — powtarzała Tiril. — Mamo, jak to mama mówiła? Gród Habichtsburg w kantonie Aargau. Wysoko na skale Wülpelsberg nad rzeką Aar. Albo Aare, jak kto woli.

Erling i Móri patrzyli na siebie długo. W końcu Móri powiedział:
— No i jak, Erling? Znajdziesz czas?
Oczy Norwega rozbłysły.
— Na to, by przeżyć przygodę, mam zawsze mnóstwo czasu!
— Ale nie beze mnie, chłopcy! — zawołała Tiril. — Nie beze mnie!

„Głuchy jak morze gdy je wicher wzburzy,
Słyszałem szum mroczniejących głosów
Niskich jak dźwięk harfianej struny.
Słyszałem, jak płyną z zachodu na wschód,
Jak pytają i wyjaśniają, wznoszą się i opadają,
Jak biegną niczym fale ku mojemu łóżu”.¹

¹Fragment pierwszej części poematu Gustafa Frödinga „Sny w Hadesie”.

Rozdział 15

Kardynał von Graben był obrzydliwie stary i wychudzony, od dawna leżał w łóżku w swojej siedzibie w Sankt Gallen. Oddech miał charczący, oczy matowe, chyba że płonął w nich gniew na podwładnych.

Na początku tego roku podróżował do Watykanu, dokąd dotarł z pomocą licznego sztabu służących, którzy wykonali nadludzką pracę, żeby przewieźć go tam i z powrotem.

Teraz siły starca były na wyczerpaniu.

W wytwornej sypialni siedział bratanek kardynała, biskup Engelbert, oraz brat Lorenzo. Pilnowali się nawzajem niczym jastrzębie, czekali na ostatnie słowo Wielkiego Mistrza, czekali, by oznajmił, który z nich będzie jego następcą i zostanie głową Zakonu Świętego Słońca.

Mistrz już od dawna nic nie mówił. Tylko w długich odstępach czasu ze świstem wciągał powoli powietrze do pracujących z największym wysiłkiem płuc.

— No i co, biskup jakoś nie został jeszcze kardynałem? — zapytał Lorenzo złośliwie.

Engelbert drgnął. Zaczynał drzemać w wygodnym fotelu.

— Są sprawy, o których sam decyduję — rzekł surowo. — Uważam, że czas jeszcze nie nadszedł.

Wcale tak nie uważasz, myślał Lorenzo z niechęcią. Nie wiem co prawda zbyt wiele o hierarchii kościelnej, ale słyszałem, że ostatnio kolegium kardynalskie w Watykanie też cię nie rekomendowało, choć formalnie mogłoby to już dawno uczynić.

Cichy jęk na łożu sprawił, że obaj stali się czujni. Brat Lorenzo podszedł do chorego.

— Mistrzu — szepnął. — Nie śpicie?

Kardynał von Graben poruszał spierzchniętymi wargami. Lorenzo stwierdził, że kielich jest pusty, i posłał Engelberta, by przyniósł wina.

Gdy tylko biskup opuścił pokój, Lorenzo zaczął szarpać starca za ramię i szeptać pośpiesznie:

— Ujawnij przede mną swoją tajemnicę, Mistrzu! Powiedz, gdzie ukryłeś

wszystkie dokumenty Zakonu? Gdzie znajdują się księgi? Ta czerwona i ta, którą jedynie ty, panie, znasz?

Kardynał w odpowiedzi skrzywił się tylko boleśnie. Lorenzo wiedział, że Engelbert również próbował wycisnąć z umierającego starca wszystko, co ten wie o Słońcu; Lorenzo widział biskupa, jak pochylał się nad łóżem i potrząsał ramieniem swego wuja. Zatem obaj mieli tu do załatwienia tę samą sprawę.

Kiedy Engelbert wrócił z winem, rozczarowany Lorenzo siedział na swoim miejscu. Obaj wiedzieli, że czas ucieka, a stary zachłannie strzeże swojej wiedzy. Kiedy umrze, cała wiedza o Słońcu zejdzie ze świata wraz z nim.

Rozległo się dyskretne, acz niecierpliwe stukanie do drzwi. Engelbert uchylił je ostrożnie.

— Jego eminencji nie wolno przeszkadzać... — zaczął szeptem, lecz zaraz otworzył drzwi szeroko i w progu ukazali się dwaj ludzie. To byli ci sami, którzy kiedyś ścigali Theresę i Móriego przez las i którzy jak niepyszni musieli potem piechotą wrócić do domu. Ponad dwanaście lat temu.

— Jaką macie sprawę? — zapytał Engelbert niecierpliwie. — Proście Boga, żeby była dość ważna, bo w przeciwnym razie...

— Wasza eminencjo... Widzieliśmy dzisiaj troje z nich. Przejechali konno tuż pod naszymi oknami, tak wcześnie rano, że ja nawet nie zdążyłem się ubrać, i zawołałem tego oto, ale on jeszcze wcale nie wstał z łóżka, więc powiedzieliśmy sobie, że trzeba jak najszybciej założyć coś na siebie i jechać tutaj.

— Chwileczkę — wtrącił brat Lorenzo. — O kim wy mówicie?

— Jeden to był ten czarownik, ten, co jest niebezpieczny. Druga to kobieta, jego żona, ta Tiril, którą chcieliśmy pojmać. A trzeci to jakiś nieznajomy. Jechali na zachód. Przez miasto. A pakunków mieli tyle, że wybierają się pewno daleko.

Na łóżku pod ścianą otworzyły się okropne oczy starca. Kardynał von Graben oddychając ze świstem usiadł chwiejnie na pościeli. W jego wzroku płonął fanatyczny ogień.

— Ależ wuju! — wykrzyknął biskup Engelbert. — Przez ostatnie tygodnie leżał wuj przecież jak martwy!

Trudno powiedzieć, skąd stary orzeł brał siły. Zdawało się, jakby je czerpał z wiadomości o trojgu podróżnych, którzy przejechali przez miasto, czy raczej ze świadomości, że ci ludzie w ogóle jeszcze istnieją.

— Tyle lat — szeptał chrypliwie. — Zniknęli na tak wiele lat! I teraz znowu są. Brać ich! Zamknąć w więzieniu, a kobietę przyprowadzić tu do mnie!

Dokonała się w nim niewiarygodna przemiana. Stał na niepewnych nogach, lecz mimo to o własnych siłach, przekrzywionej szlafmicy zawiązanej pod brodą, z potarganymi siwymi włosami wysuwającymi się spod czapki i sterczącymi na boki, w długiej nocnej koszuli, która jednak nie ukrywała chudych, starczych nóg. Palce, długie i pokrzywione, rozcapierzył w stronę Lorenza, chwiał się, ale stał, trzymając się mocno oparcia łóżka.

Spojrzenie złych oczu było tak straszne, że wprost trudno je było znieść.

— Lorenzo — wyszczał. — Szukałem przez tak wiele lat. Rozczarowanie wysysało ze mnie wszystkie siły. Wiedziałem, że oni znajdują się gdzieś w Austrii, ale nie mogłem ich dopaść. I nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego. Lorenzo, czynię cię odpowiedzialnym za pojmanie tej kobiety, tej Tiril Dahl. Jeśli ci się to nie uda, nigdy już nie wracaj do Zakonu Świętego Słońca! A znajdziesz ją i przyprowadzisz do mnie, wtedy zostaniesz moim następcą, wielkim mistrzem!

Engelbert, urażony, postąpił krok naprzód.

— A ja, wuju? Przecież to mnie obiecałeś ten tytuł!

Kardynał niecierpliwym ruchem ręki kazał mu się odsunąć.

— Wygra ten, który przyprowadzi mi tę kobietę żywą. A poza tym to już i tak bardzo straciło na aktualności.

Lorenzo uznał, że chwila nie jest odpowiednia na okazywanie gniewu o to, że Mistrz obiecał dziedzictwo swemu bratankowi. Zapytał natomiast ponuro:

— Co Mistrz ma na myśli mówiąc, że to nie jest aktualne?

Wielki Mistrz odwrócił się do niego i syknął:

— Jeśli znajdziemy kobietę, znajdziemy również brakujący element dla rozwiązania zagadki Słońca. Tak! Idźcie tedy i szukajcie! Wezwijcie mego kamerdynera! Chcę się ubrać.

Engelbert i Lorenzo wycofali się z sypialni razem z dwoma ludźmi, którzy przynieśli takie ekscytujące wiadomości. Żaden z nich nie byłby teraz w stanie znieść straszliwego spojrzenia Wielkiego Mistrza.

Nigdy jeszcze nie widzieli tak odpychającej istoty! Już prawie umarli, ocknął się znowu do życia i odzyskał ludzki wygląd. Stał teraz przed nimi i wbijał w nich nienawistne spojrzenie. Pospiesznie wyszli z pokoju.

W noc przed opuszczeniem — wraz z Mórim i Erlingiem — Theresenhof Tiril nawiedził sen.

Od wielu lat prowadziła normalne życie, a duchy trzymały się z daleka od ich domu. Tej nocy jednak znowu miały miejsce straszne wydarzenia.

Duchów co prawda nie widziała, ale był to ten sam koszmar, co dawniej. Znajdowała się głęboko w ziemi, w ciemnej norze, i słyszała ów przygnębiający chóralny śpiew. Głębokie, ponure głosy umarłych czarnoksiężników zbliżały się i oddalały, napływały rytmicznie, powolnymi falami, jakby splekiwały smutek całego świata, wyrzucały go na brzeg i znowu się cofały. Przybliżały się do niej i odpływały. Tiril płakała boleśnie i naprawdę z oczu płynęły jej łzy.

Nie jedź, nie podejmuj tej podróży, szeptał jakiś głos w głębi duszy. Jest ci tu dobrze, zapomnij o tamtym, to cię nie dotyczy. Zostań tutaj, gdzie jesteś bezpieczna!

Ocknęła się spocona ze strachu. Móri spał. Tiril otarła oczy i leżała rozdygotana, rozmyślając o śnie.

Kiedy jednak nastał ranek, znowu pojawiło się słońce i wróciła radość życia. Mieli wyruszyć w podniecającą podróż, której by się nie wyrzekła za nic na świecie. Erling i Móri, i ona, dokładnie tak jak za młodych lat.

Theresa próbowała protestować, nie chciała, żeby jechali wszyscy troje. Ale przecież dzieci były już teraz duże, mieli liczną służbę i Theresa zostawała w domu. Ona sama zresztą też by z ochotą posmakowała przygody i bardzo chętnie wybrałaby się z nimi, ale po ostatniej mroźnej zimie dokuczały jej poważne bóle reumatyczne. W tej sytuacji nie odważyłaby się opuszczać domu. Móri potrafił skutecznie łagodzić jej bóle i pocieszał, że wszystko wkrótce minie, byle tylko przez jakiś czas trzymała się w ciepłe i spokoju.

Nikomu nie przyszło do głowy, że troje podróżników może znowu natknąć się na prześladowców. Teraz, po prawie trzynastu latach?

Minęli Innsbruck, nawet się nie oglądając w stronę przedmieścia, gdzie znajdowała się kanonia. Jechali zresztą z dala od tych miejsc. W miasteczku Sankt Gallen byli już znacznie ostrożniejsi, posuwali się obrzeżami, bowiem w centrum kiedyś mieszkał kardynał von Graben. On sam nie był już chyba groźny, jeśli w ogóle jeszcze żył. Chyba już nie i pewnie właśnie dlatego prześladowcy również zrezygnowali z poszukiwań. Ale wspomnienie złych oczu kardynała budziło nadal w Mórim dreszcz grozy, więc instynktownie starał się unikać wszelkiej konfrontacji, nawet ze służbą tamtego.

W najkoszmarniejszym śnie jednak nie przyszłoby żadnemu z podróżnych do głowy, że przejechali oto pod oknami zaufanych pomocników kardynała. To był po prostu czysty przypadek i prawdziwy pech.

Podczas podróży oglądali wiele bardzo pięknych krajobrazów z zawrotnie wysokimi szczytami Alp. Na Grossglockner nie raz patrzyli z daleka, ze swojego domu, ale widok potężnego masywu z bliska wprost zapierał dech w piersiach! Kiedy znaleźli się już wysoko na wyżynie szwajcarskiej, zauważyli, że lasy szpilkowe zaczynają tutaj przypominać te, jakie rosną na Północy, w Skandynawii. Tiril poczuła w sercu nagłą tęsknotę za krajem dzieciństwa. I to ona, która nigdy nie lubiła iglastych lasów!

Za Zurychem krajobraz nie był już taki dziki, zbliżali się do gór Jura, które pod względem wysokości nie mogły się nawet mierzyć z Alpami, ale mimo to sprawiały imponujące wrażenie.

Jechali już od wielu dni, lecz zapał ich nie opuszczał. Naszyjnik z szafirów wskazał im drogę, którą powinni podążać. Jeśli nie dla czego innego, to choćby z czystej ciekawości.

Żeby dostać się do rzeki Aare, musieli się przeprawić przez inną rzekę. Zapytali przewoźnika o jej nazwę.

— Reuss — odpowiedział.

Popatrzyli po sobie. Atmosfera zaczynała być odrobinę nieprzyjemna.

Heinrich Reuss von Gera, niegdyś w Norwegii zwany Henrikiem Russem. Ale przecież Gera znajduje się w Niemczech? Tak, ród mógł stamtąd właśnie pochodzić, choć oni o tym nie wiedzieli.

Po drodze widzieli wiele rycerskich zameczków jak przyklejonych do górskich szczytów. Wiele znajdowało się w ruinie, ale niektóre były dość zadbane.

Zastanawiali się, jak też może wyglądać Habichtsburg. Kolebka rodu Habsburgów.

Przekonali się o tym pewnego popołudnia, kiedy jechali przez wzniesienia ponad rzeką Aare.

— Tam! — zawołał Erling. — To musi być tam!

Z tego, co usłyszeli od jakiegoś człowieka w gospodzie, gdzie ostatnio nocowali, mogli wnosić, że to, co widzą przed sobą, nie jest niczym innym. To Habsburg, dawne Habichtsburg. Wysoka samotna wieża rysowała się na tle rozplomionego zachodem nieba.

— Spodziewałam się jakiegoś imponującego zamku z wieżami i iglicami — powiedziała Tiril z odrobiną rozczarowania.

— Powinnas pamiętać, że gród został zbudowany w roku tysiąc dwudziestym — przypomniał Erling. — Wtedy nie znano jeszcze wielkich zamków z dziedzińcami, na których mogły się odbywać pojedynki, wtedy lokowano zamki wysoko na szczytach i budowano je z głazów i kamiennych bloków. A zresztą słyszeliśmy nie dalej jak dzisiaj, że ta twierdza była znacznie okazalsza, ale że większa jej część legła w gruzach. Pozostała jedynie ta samotna wieża i masywne zabudowania, które widzimy.

Podnieśli głowy, bo na niebie pokazały się dwa drapieżne ptaki, które wykonały krąg nad zamkiem, a potem skierowały się na drugą stronę rzeki.

— A oto i nasze jastrzębie — uśmiechnęła się Tiril. — A może to orły?

Ani jedno, ani drugie — odparł Móri. — Długie wycięte ogony i sposób latania wskazują, że to muszą być kanie rude. Ale to też gatunek jastrzębi, zresztą tak samo imponujący jak inne.

Znowu przyglądali się zamkowi położonemu wysoko na skale Wülpelsberg. Mieli jeszcze kawałek drogi, żeby się tam dostać.

— Rozłożymy się tutaj obozem na noc, czy też pojedziemy do miasteczka u podnóża zamku? — zapytał Móri.

— A dlaczego nie pojechać od razu do zamku? — zastanawiał się Erling. — Przecież możemy tam rozbić obóz. Dotrzemy na miejsce, zanim się ściemni.

Kiedy znaleźli się już niemal pod skałą, wstrzymali konie.

— W oknach świeci się światło — powiedziała Tiril zaskoczona.

— Tak, rzeczywiście. Muszą tam mieszkać jacyś ludzie, tego się nie spodziewałam. — Erling był zdumiony. — Co w takim razie robimy? Nie możemy

przecież po prostu przyjść i powiedzieć: „Wybaczenie, ale chcielibyśmy sprawdzić w waszej sypialni, czy nie śpią tam gdzie wielcy mistrzowie”?

Móri uśmiechnął się.

— Wielcy mistrzowie, jeśli już, to pewnie spoczywają w piwnicy. W jakiejś krypcie czy czymś takim.

— Uff, przestań z tą makabrą! Czy już nie dość mamy różnego rodzaju krypt i grobowców?

— Ostatnie widzieliśmy co najmniej czternaście lat temu, Tiril. Trzeba by trochę odświeżyć pamięć.

— Czy to było naprawdę tak dawno temu? Tak, nasze dzieci są już przecież duże, tylko że ja wciąż czuję się tak, jakbym nie miała jeszcze trzydziestu lat. Ani nawet dwudziestu.

— Bo też i nie masz, a jeśli, to tylko, że tak powiem, na zewnątrz. W głębi duszy wciąż jesteś tamtą młodą dziewczyną.

— Dziękuję ci, to bardzo ładnie powiedziane. Och, jakie to wszystko podniecające! Czuję się naprawdę jak za naszych młodych lat.

— Owszem — potwierdził Móri łagodnie. — Ale nie wszystko jest takie jak dawniej. Myślę, że teraz będzie trudniej.

Tiril spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— Nie istnieje najmniejszy nawet powód, by ta przygoda miała nam się bardziej dać we znaki. Wprost przeciwnie. A może ty opierasz swoje twierdzenie na czym innym, nie na realnych przesłankach.

Móri bardzo głęboko wciągnął powietrze.

— Tak rzeczywiście jest.

— Ty i te twoje przecucia! — obruszył się Erling. — A może uważasz, że powinniśmy zawrócić?

— Tak by było najlepiej.

— Och, przestań! — rozgniewała się Tiril. — Nie widzę nic niebezpiecznego w tej wyprawie. Drani, którzy nas prześladowali, już nie ma, twoi towarzysze nie dają o sobie znać od wielu lat, a my chcemy tylko obejrzeć stary gród. Czego tu się bać?

— I właśnie to mnie przeraża. Nie dostrzegam żadnego niebezpieczeństwa, a mimo to...

Zamilkł.

— A mimo to, co? — dopytywał się Erling.

Móri zacisnął szczęki.

— A mimo to boję się, że to będzie prawdziwa próba ognia.

— Próba ognia! — prychnęła Tiril. — Tak jakbyśmy już przedtem nie przeszli przez ogniowy chrzest! Ruszamy, i niech wrócą nasze dawne szczęśliwe dni!

— Teraz będzie inaczej — ostrzegł Móri, a skrzydełka nosa zaczęły mu drgać.

— Nie podoba mi się to. To tak jakby. . . jakbyśmy mieli innych wciągnąć w awanturę. Powiem wam, że ja się po prostu boję!

Erling i Tiril spoglądali na siebie zbici z tropu. Nad głowami stojących ludzi przeleciała chmara ptaków, przerażająco czarnych na tle czerwonego nieba.

— Może jednak powinniśmy zawrócić — zastanawiała się Tiril.

— Teraz, kiedy już jesteśmy u celu? — zaprotestował Erling. — Możemy chyba przynajmniej spróbować!

Tiril dobrze znała Móriego. Wiedziała, czym go sprowokować.

— Nie, to na nic! — oświadczyła stanowczo. — Zawracamy!

Zareagował dokładnie tak jak oczekiwała.

— Nie, dlaczego? Wcale nie mam ochoty się poddawać — rzekł wolno.

Zauważyli, że Móri raz po raz ogląda się za siebie, w stronę doliny.

— Zrobimy, jak proponujesz, Erlingu. — zdecydował. — Podejmiemy ostrożnie do zamku. Jeśli natrafimy na jakies przeszkody, to zawrócimy. Możecie mi to obiecać?

— Mamy na tyle rozumu, by liczyć się z twoimi ostrzeżeniami, Móri — powiedział Erling. — Oczywiście, że obiecujemy!

Tiril skinęła głową, lecz przez cały czas badawczo przyglądała się mężowi.

— Czy potrafiłbyś zdefiniować swój niepokój?

Na jego twarzy wciąż utrzymywał się ten wyraz jakby czujnego zakłopotania.

— To nic konkretnego. Mam tylko takie wrażenie, że coś się na nas czai. Czeka, obserwuje nas.

— Czy nie mógłbyś zamiast „coś” mówić „ktoś”, Móri. — poprosiła Tiril. — Wtedy zimne mrowienie na plecach nie jest aż takie wyraźne, mój kochany.

— Dlaczego się tak często oglądasz na dolinę, Móri? — zapytał Erling.

— Nie wiem. — usłyszał w odpowiedzi.

Świat trwał pogrążony w ciszy, gdy tak stali na zboczu, wciąż jeszcze spory kawałek od starej twierdzy. Daleko w dole słyszeli szum rzeki Aare, czasami jakiś nocny ptak krzyknął w lesie. Poza tym można było sądzić, że znajdują się na tym pustkowiu całkiem sami.

Tiril zebrała się na odwagę.

— No cóż — powiedziała. — Zatem przyjmujemy wyzwanie, stajemy do tej próby ognia, ale oczy i uszy będziemy mieć otwarte.

— Niech tak będzie — uśmiechnął się Móri.

Rozdział 16

Tym razem Tiril postanowiła wykorzystać swoje pochodzenie z domu Habsburgów. Oświadczyła spokojnie, lecz zdecydowanie, że wejdą do zamku. Nie było jeszcze tak strasznie późno.

— Zostawcie wszystko mnie — dodała.

Obaj mężczyźni otworzyli usta, by spytać, co zamierza, i ewentualnie ostrzec ją przed pochopnym działaniem, ale zamiast tego Móri powiedział:

— Kiedy moja ukochana i szanowna małżonka mówi tym tonem, to pozostaje tylko pokornie przytakiwać.

— I tak będzie najlepiej — potwierdziła Tiril.

Podjechali do wieży, obok której wznosiła się masywna budowla; w czasach świetności musiała prezentować się niczym pałac. Mimo szacownego wieku wszystko tu wyglądało porządnie i było dobrze utrzymane. Świeżo wygracowane żwirowe alejki, żadnych kamieni ani odpadającego gruzu.

— Popatrzcie na te mury — rzekł Móri z uznaniem.

— Grube co najmniej na cztery łokcie — ocenił Erling.

I rzeczywiście. Mury miały dwa i pół metra grubości.

Erling mówił dalej:

— Tiril, jesteś pewna tego, co robisz?

— Najzupełniej!

Zastukali do ciężkiej bramy.

Potem czekali.

W końcu ukazał się jakiś człowiek, najwyraźniej zaskoczony ich wizytą, sądząc po roboczym ubraniu, jakie na sobie miał. Zdaje się, że był to tak zwany człowiek do wszystkiego. Najbardziej przypominał chłopca, który nie zdążył się przebrać po pracy w obejściu.

— Słucham.

Tiril uśmiechnęła się do niego.

— *Grüss Gott* — pozdrowiła go uprzejmie. — Prosimy wybaczyć, że przeszkadzamy, ale moja matka pochodzi z Habsburgów, jest siostrą cesarza, i gdyby było można, to bardzo byśmy chcieli zobaczyć Zachodni Habichtsburg.

Człowiek w bramie pochylił się tak, że czołem prawie dotykał progu.

— Ale, wasza wysokość. . . nie spodziewaliśmy się, przyjęlibyśmy panią z całą wspaniałością, przygotowalibyśmy odpowiedni posiłek, gdyby wasza miłość zechciała nas uprzedzić, to my byśmy. . .

Tiril starała się go uspokoić, władczym gestem uniosła rękę.

— Nie trzeba, nie! Zboczyliśmy z drogi pod wpływem impulsu. Przejeżdżaliśmy tędy i przyszła nam ochota, żeby obejrzeć okolice, z których pochodzą Habsburgowie. A poza tym my jesteśmy zwyczajnymi ludźmi, ponieważ mój ojciec wywodzi się ze szlachty niższego stanu, mąż zaś w ogóle nie jest szlachcicem. Dlatego rzadko posługuję się moim książęcym nazwiskiem, a jeśli już, to robię to bardzo dyskretnie. Chciałam po prostu obejrzeć to, co zostało ze starego zamku, a myślałam, że nie będzie to możliwe, jeśli nie powiem, kim jestem.

— Oczywiście, wasza wysokość. Proszę wejść, z radością oprowadzę państwa po zamku, a tymczasem moja żona zajmie się wieczerzą. Jesteśmy tutaj zarządcami i przez cały rok mieszkamy w zamku.

Troje podróżnych z zadowoleniem przyjęło wiadomość, że w zamku nie ma nikogo z rodu Habsburgów. Nikt z książęcego domu nic przecież o Tiril nie wiedział.

— Skąd miałaś pewność, że nie ma tu nikogo z rodziny? — zapytał Móri po norwesku, gdy znaleźli się już za furcą.

— A czyż nie wywiesza się flagi na wieży, kiedy pan zamku znajduje się w domu? — odpowiedziała szeptem.

— Racja!

— Niezła robota, Tiril — pochwalił Erling.

A Tiril była jeszcze na tyle młoda, że zarumieniła się pod wpływem tej pochwały.

Zaproponowano im nocleg, co przyjęli z radością. To rozwiązywało problemy bytowe, a ponadto będą mieli czas rozejrzeć się po zamku. Syn gospodarzy zaopiekował się końmi, był to bardzo sympatyczny chłopiec, którego polubili od pierwszego wejrzenia.

Przyjemnie było znaleźć się pod dachem po całym dniu w siodle. Nie robili popasów dokładnie tak samo jak w latach młodości. Musieli jednak stwierdzić, że chyba nie są już tacy młodzi. Wygodne życie smakowało bardziej niż dawnymi czasami.

Kiedy siedzieli w hallu o potężnym sklepieniu, czekając na zarządcę, Erling powiedział:

— Mój Boże, jak wspaniale być znowu z wami! Tamte lata. . . Nie chciałbym mówić o Catherine. Móri, jesteś pewien, że znajdujemy się na właściwym tropie?

— Absolutnie! Powietrze wokół nas jest tak nabrzmiąte grozą, że aż cuchnie.

— Wokół nas, powiadasz?

— Tak. Chociaż teraz jest jakby spokojniej.

— Czy to dobrze?
— Dla nas dobrze akurat w tej chwili. Ale dla naszej sprawy nie.
Przyszedł zarządca ze swoją bardzo tęgą żoną.
— O, wiele lat minęło od czasu, kiedy mieliśmy ostatnią wizytę kogoś z Habsburgów — powiedziała przejęta i z zakłopotaniem ukłoniła się głęboko. — Łaska wa pani... Witajcie! Witajcie wszyscy! To dla nas wielki zaszczyt. Robimy w tym zamku, co tylko możemy.
— I nikt was nie odwiedza? To musi być smutne. Zamek znajduje się w znakomitym stanie. Muszę powiedzieć o tym mojej matce, a ona przekaże wiadomość cesarzowi.
— Dziękujemy waszej miłości za życzliwość.
Erling i Móri wymienili spojrzenia. Zdumiewało ich, z jaką łatwością Tiril wczuwa się w książęcą rolę, z jakim przekonaniem wypowiada słowa. Jakby się do tego urodziła.
No i przecież mimo wszystko tak było.
Cieszyli się, że w jej osobowości nie ma najmniejszych śladów ojcowskiego dziedzictwa — po biskupie Engelbercie.
Zarządca zabrał gości na oglądanie zamku, a jego syn towarzyszył im z wielką ochotą. Wspinali się po kamiennych schodach, wyglądali przez niezliczone okna i otwory przeznaczone dla łuczników, przeciskali się ciasnymi korytarzami, oglądali dobrze utrzymany dom mieszkalny i zrujnowane pomieszczenia na wieży.
Mury były rzeczywiście potwornie grube. Zmieściłby się w nich średniej wielkości pokój jakiegoś norweskiego czy islandzkiego domu.
W wieży było wilgotno i zimno.
— Jak kobiety musiały w tamtych czasach cierpieć westchnęła Tiril. — Ten wieczny chłód od wilgotnych murów i od kamiennej podłogi.
— A mężczyźni to nie cierpieli? — uśmiechnął się Erling.
— Mężczyźni nie dostają zapalenia pęcherza od siedzenia na kamiennych ławach — prychnęła Tiril. — Móri, zauważyłeś tutaj coś szczególnego? Oczywiście nie chodzi mi o zapalenie niewymownych części ciała.
Móri uśmiechnął się ze smutkiem.
— Nie, ale wydarzyło się tu wiele tragedii i nieszczęść. Wielu rycerzy padło przy otworach strzelniczych, inni znowu umierali powoli na własnych posłaniach. Wyczuwam tutaj pamięć niewiernych książąt i ich równie niewiernych sług. Ale żadnych śpiących wielkich mistrzów.
— No to zejdźmy do piwnicy — zaproponował Erling.
Zapytał zarządcę, gdzie znajdują się groby lub krypty.
Zarządca odpowiedział mu z uśmiechem:
— O nie, mój panie, książęta, a wcześniej hrabiowie z domu habsburskiego mieszkali w zamku tak dawno temu, że żadne groby z tamtego czasu się nie zachowały. Chociaż akurat o tym ja sam niewiele mogę powiedzieć, więc może

dobrze będzie zejść do piwnic i zobaczyć. O ile się orientuję, znajduje się tam tylko wino, ale nigdy nic nie wiadomo.

— Znakomicie — zgodził się Erling. Móri ich jednak powstrzymał.

— Nie — powiedział pospiesznie. Posługiwał się norweskim, by zarządca nie zrozumiał. — Tam nie ma nic, co mogłoby mieć dla nas znaczenie. Nie musimy tam szukać. Gród Habsburg jest wolny. Ale pamiętacie dokładnie inskrypcję na naszym jniku?

— „Tam gdzie jastrzębie latają ponad Aare, śpią wielcy mistrzowie” — wyrecytowała Tiril. No właśnie.

Znajdowali się w dalszym ciągu w pomieszczeniach wieży.

— Wejdźmy jeszcze raz na samą górę — rzekł Móri.

Zarządcy wyjaśnił, że chciałby jeszcze raz coś sprawdzić.

Ponownie wspięli się po wysokich, stromych schodach.

Kiedy byli już na górze z rozległym widokiem na okolicę, Móri powiedział, przekrzykując szum wiatru:

— Za pierwszym razem widziałem tu coś bardzo interesującego, ale zapomniałem zapytać. Czy widzieliście ten zamek obronny tam dalej w dolinie?

Tiril zastanawiała się. Przypomniała sobie, że kiedy dotarli do Zachodniego Habsburga, Móri stał się bardzo niespokojny. Nieustannie oglądał się za siebie i mówił o złych mocach. Później, kiedy już weszli do zamku, ostrzegwał, że powietrze jest ciężkie od strasznej grozy.

Owszem, Habsburg mógł być czysty. Ale tam w dolinie... „gdzie jastrzębie latają ponad Aare”...

Zarządca wyjaśnił, że ów zamek obronny, o który pytał Móri, to wspaniała budowla i nadal mieszkają tam znakomici państwo. Na kolejne pytania Móriego odpowiadał przeważnie syn gospodarza, dodał też, że nie istnieje żadna opowieść związana z historią tamtego zamku.

Móri zastanawiał się długo. Jego badawcze spojrzenie przesunęło się wolno, uważnie oglądał dolinę.

— A czy w okolicy istnieją jakieś inne zamki? Na przykład... w tamtym kierunku?

Wskazał przed siebie, a Tiril wiedziała, że to z tamtej strony dociera do niego przecucie grozy.

Zarządca zastanawiał się.

— Teraz to chyba nie, ale zdaje się w przeszłości jakiś zamek tam stał. Nic już z niego nie zostało, ale to chyba rzeczywiście było w tamtym kierunku.

— A jak się nazywa to miejsce? — zapytał Móri, a w jego głosie wyczuwało się wielkie napięcie.

— Jak się nazywa? Zdaje mi się, że Graben.

Graben? Von Graben, zdawały się mówić spojrzenia Móriego, Erlinga i Tiril.

— To tam — szepnął Móri cicho. Opuścił ramiona, jakby ta wiadomość przyniosła mu ulgę po bardzo długim oczekiwaniu.

— Dlaczego to się nazywa Graben? — spytała Tiril żalonym głosem. Sprawa dotyczyła jej osobiście, bo przecież jej ojcem był von Graben, a więc ona również tak się nazywała.

Móri położył jej rękę na ramieniu, żeby ją zapewnić, że to wszystko naprawdę nie ma z nią najmniejszego związku.

Zarządca powiedział trochę niepewnie:

— Bardzo niewiele wiem o tym wszystkim. Dlaczego stary zamek nazywał się Graben? Po prostu nie mam pojęcia. Słyszałem tylko jeszcze w dzieciństwie, jak ludzie gadali o tych ruinach. O tym, że dawno temu miał tam jakoby mieszkać pewien bogaty i bardzo zły pan. Był on okropnie religijny. Czy był zakonnikiem, czy nie, nie potrafiłbym powiedzieć, słyszałem co prawda o jakimś zakonie, ale nie umiałbym tego powiązać z zamkiem. No tak... Ten pan był podobno bardzo ważną figurą za czasów inkwizycji, ale nic pewnego nie wiem.

— W takim razie musiałby być dominikaninem — powiedział Erling. — Albo może jezuitą. Pierwsi znani byli ze swojej bezkompromisowej postawy wobec wszelkich sekt, drudzy natomiast z dosyć pobłażliwego stosunku do grzechów. Sprzedawali na przykład grzesznikom listy absolucyjne. Sami także grzeszyli sporo, ale łatwo udzielali sobie odpuszczenia grzechów. Również oni byli fanatykami jeśli chodzi o zwalczanie ludzi myślących inaczej.

Zarządca wtrącił:

Tak, słyszałem, że ludzie niezbyt chętnie chodzili poblizze ruin, gadali, że miejsce jest naprawdę straszne.

Tiril zadrzała. Z trzech powodów. Sprawił to chłodny wieczorny wiatr, otoczone złą sławą ruiny daleko w dolinie, a przede wszystkim to, co o polowaniu na innowierców i inaczej myślących powiedział Erling.

Jej wyraźne drżenie stało się sygnałem, że trzeba wracać na dół, gdzie czeka już smakowita kolacja.

Po posiłku zasiedli wszyscy do rozmowy, gospodarze z synem i troje gości. Tiril zwróciła uwagę, że Erling pije więcej niż poprzednio i że to martwi również Móriego. Ale atmosfera przy stole była wspaniała i zarządca wyraził pragnienie, by takie wizyty zdarzały im się częściej.

Troje podróżnych opowiadało o Norwegii i Islandii, a także o swoich poprzednich przygodach. Ale prawdziwy powód, dla którego trójka przyjaciół tu przyjechała, nie został wyjawiony.

Ta noc była przyjemną odmianą po niespokojnym śnie w gospodzie pod Zurychem, gdzie jacyś goście weselni robili co mogli, by wszystkich pobudzić.

Następnego ranka bardzo wcześnie podróżni pożegnali się z sympatycznymi

gospodarzami i wyjechali.

Zamierzali posuwać się wzdłuż rzeki Aare, dopóki nie znajdą się na wzniesieniu, gdzie, jak sądzili, powinny znajdować się ruiny Graben.

Zawsze zresztą można pytać o drogę.

Móri jednak był bardzo niespokojny i wydawał się przygnębiony. Tiril bardzo się to nie podobało.

Erling również zauważył dziwny nastrój przyjaciela.

— Móri, co z tobą?

— Gdybym miał wybierać, to bym natychmiast zawrócił.

Tiril miała ochotę zastosować swoją metodę i powiedzieć prowokująco: „No to wracajmy”, ale powstrzymała się. Nie można przesadzać.

Na szczęście Móri sam rozwiązał problem.

— Nie, oczywiście, że nie wracamy, jesteśmy przecież prawie u celu. Przyznać jednak muszę, że się boję. Powinniśmy być bardzo ostrożni i czujni. Obiecujcie mi to!

— Obiecujemy.

Tiril rozejrzała się wokół. Znajdowali się na dnie doliny, otoczonej wysokimi i stromymi górami.

Poczuła się bardzo mała. I to z wielu powodów. W jaką to straszną sprawę wszyscy troje się wdali? O co tu może chodzić, skoro nawet nadludzko silny Móri jest tym tak poruszony?

A w dodatku nie było przy nich towarzyszy Móriego.

Rozdział 17

Kiedy zbliżali się do rzeki, Erling i Tiril jechali obok siebie. Tu w dole droga była wystarczająco szeroka na dwoje jeźdźców. Móri znajdował się dość daleko przed nimi.

— Nasz drogi czarnoksiężnik zmienił się, a pod pewnymi względami nie zmienił w ciągu tych czternastu lat — stwierdził Erling. — Najwyraźniejszą odmianą jest to, że nosi teraz normalne, zwyczajne ubrania. Jak widzę, zrezygnował z tej swojej brunatnej peleryny.

— O, ale wciąż ją ma — rzekła Tiril zarazem złośliwie i czule. — Jest już taka zniszczona, że przez dziury widać niebo, ale wiesz, jak to jest z ubraniami, które człowiek kocha. Trudno się z nim rozstać.

— Wiem — uśmiechnął się Erling. — Ale też wydaje mi się, że Móri jakby wydorósł, dojrzał. I stał się spokojniejszy. Te lata z tobą dobrze mu zrobiły, Tiril.

— Dziękuję ci!

Erling mówił dalej:

— Najpierw zauważyłem, że nie wygląda już tak strasznie jak dawniej. Już nie budzi skojarzeń z brunatną grozą z innego świata. Ale wczoraj i dzisiaj to znowu dawny Móri.

— Tak, zauważyłam, że zarządca i jego żona z początku rzucali na niego pełne lęku spojrzenia. Pojęcia nie mam, co go teraz przeraża. Ale nie ulega wątpliwości, że to coś działa na ponurą stronę jego osobowości.

— Trudno ci się z nim żyje?

— Nie, skąd! — zaprotestowała. — On kocha dzieci i mnie. Wspaniale rozumieją się z moją matką. Ale, oczywiście, miewa trudne chwile. Jakieś koszmary, napady lęku. Podróż przez królestwo umarłych odcisnęła piętno na jego świadomości i to jest już nieodwracalne, Erlingu. Te koszmary to dla niego okropna rzecz, a ja jestem bezradna!

— Rozumiem. Ale co się stało z jego towarzyszami? Zauważało się ich dawniej tak... chciałoby się rzec, wyraźnie w jego pobliżu, choć przecież to niewidzialne istoty.

— Masz rację. Często bardzo mi ich brakuje, bo wiesz, człowiek przyzwy-

czają się nawet do okropieństwa, a one miały też wiele pozytywnych cech. Były zabawne, obdarzone poczuciem humoru, a ich obecność dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Tak, naprawdę mi ich brak. Dawno temu otoczyły Theresenhof ochronnym kręgiem i zniknęły. Było to dokładnie wtedy, gdy nadały Dolgowi to dziwne imię. Chociaż teraz nie wydaje mi się ono wcale takie niezwykle. Wiesz, imię może charakteryzować człowieka, a z drugiej strony człowiek przydaje charakteru imieniu. Zrastają się w jakiś sposób w jedno. Gdyby teraz ktoś chciał przechrzcić Dolga, to bym go pewnie nie rozpoznała — uśmiechnęła się zakłopotana.

— Wasze pozostałe dzieci są, zdaje się, całkiem normalne, prawda? Może tylko trochę zbyt aktywne. Ale bardzo zabawnie jest słuchać ich rozmów. Ileż one mają fantazji! Za to twój najstarszy syn mnie fascynuje. Wydaje się taki nieskończenie obcy. Jakby przybył z jakiejś odległej gwiazdy.

— Bardzo ci dziękuję za te piękne słowa o moim synu — powiedziała Tiril lekko ochrypłym głosem. — Niektórzy ludzie w naszej okolicy skłonni są raczej twierdzić, że ktoś taki jak on musiał wypełznąć spod ziemi. Gwiazdy, to brzmi o wiele lepiej.

— Jaki on jest? Mówi przecież niezbyt wiele.

— Nie wiem, Erlingu. To grzeczny chłopiec, nigdy nie mieliśmy z nim żadnych kłopotów ani zmartwień. Ale od czasu do czasu po prostu nas przeraża. Wie tak dużo. Uczy się wszystkiego w lot, ale nie tylko to, on zdaje się rozumieć również sprawy okultystyczne. Wie z góry, co się stanie. Poza tym Nero i on rozmawiają ze sobą. No nie, nie za pomocą słów, ale rozumieją się nawzajem dokładnie tak, jakby używali słów, należą jakby do jednego gatunku. Oni obaj opiekują się na przykład naszymi szalonymi bliźniakami i... Tiril umilkła na chwilę, a potem mówiła dalej zdławionym głosem: — Dolg popatrzył, na mnie tego dnia, kiedy wszyscy troje opuszczaliśmy Theresenhof. To spojrzenie, Erlingu! Nie powiedział nic, ale jego oczy wyrażały najgłębszy smutek. Najpierw myślałam, że jest mu przykro, bo chciałby pojechać z nami, ale to nie dlatego. Sprawilo mi to dojmujący ból, Erlingu, i mało brakowało, a byłabym zrezygnowała z wyjazdu. Ale chęć przeżycia przygody zwyciężyła.

Roześmiała się, jakby chciała zatrzeć przykre wspomnienie.

— Czy pamiętasz, jak się kiedyś skarżyłam, że tyle podróżujemy? A teraz od dawna tęsknię, by gdzieś pojechać.

— O, to przecież naturalne. Teraz masz taki miły dom i wiesz, że zawsze możesz do niego wrócić. Ale z tego, co mówisz, wnioskuję, iż przez te lata prowadziliście bardzo spokojne życie?

— Tak. Z początku nie mieliśmy nawet odwagi wyjść poza ten ochronny krąg, o którym ci mówiłam. Później czasami gdzieś wyjeżdżaliśmy, ale niedaleko i na krótko.

— Byliście przyjęci u dworu?

— My nie, ale cesarz i jego małżonka, a także siostry mamy niekiedy u nas bywają. Tylko najbliżsi krewni mamy, więc jest naturalne, że my się w Hofburgu nie pokazujemy. Wiesz przecież, jacy są dworzanie. Mają większe poczucie godności niż sam cesarz.

— Owszem. A czy twoja matka nie cierpi z powodu izolacji?

— Nie. Myślę, że nie. Czuje się z nami bardzo dobrze.

Erling rzekł w zamyśleniu:

— Jej życie było całkowicie pozbawione miłości, dopóki nie pojawiłaś się ty, Móri i dzieci.

— Wiem, co masz na myśli. Takiej miłości jak pomiędzy mną a Mórim mama nigdy nie przeżyła. Tylko ten jeden jedyny raz... Ale on okazał się niewart jej uczucia!

— Rzeczywiście. Nie widziałem nigdy tego biskupa, ale to, co o nim słyszę, nie brzmi szczególnie zabawnie.

Tiril westchnęła.

— Często sobie myślę, że moja wspianała, dobra matka powinna jeszcze spotkać jakiegoś interesującego mężczyznę z dobrej rodziny. Ona jednak nigdy nie wyjeżdża z domu. Mówi, że nie ma ochoty. Erlingu, spójrz, Móri na nas czeka, chyba ma nam coś do powiedzenia.

Niepokój w oczach czarnoksiężnika był uderzający.

— Co się stało? — zapytał Erling.

Móri najwyraźniej czuł się nieswojo. Jakby nie chciał ich straszyć, ale musiał.

— Myślę, że powinniśmy się spieszyć. Po zapadnięciu zmroku może się za nami zrobić gorąco.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Móri spojrzał gdzieś poza nich, przyglądał się szerokiej leśnej drodze.

— Dotychczas odnosiłem wrażenie, że niebezpieczeństwo jest przed nami. A teraz wyczuwam je tuż za nami.

— Więc zostaliśmy wzięci w dwa ognie? — zapytał Erling na pół żartobliwie.

— Nie brzmi to specjalnie zachęcająco. Ale masz rację, powinniśmy się spieszyć. Co, nie zamajaczyła ci gdzieś na horyzoncie jakaś wioska?

— No, jeśli nie zabrnęliśmy na błędne szlaki, to powinna się znajdować przed nami.

— Na błędne szlaki? — uśmiechnęła się Tiril. — Chyba już dawno znajdujemy się na błędnych szlakach.

Ścieżka stawiała się coraz węższa, więc nie mogli już jechać jedno obok drugiego, musieli się też wspinać po coraz bardziej stromym zboczu. Dawno opuścili dno doliny, choć Tiril tego nie zauważyła, bo przez cały czas rozmawiała z Erlingiem.

Teraz zobaczyła nareszcie, jak pięknie jest wokół nich. Jechali pośród wysokich, prześwietlonych słońcem sosen, wśród młodych drzewek i alpejskich kwia-

tów, których nazw Tiril nie znała, a leśne poszycie zdawało się pełne tajemnic. Ziemia pod sosnami była brunatnoczarna, wilgotna i wydzieliała wspaniałe zapachy.

Do wsi było dalej, niż sądzili, ale przynajmniej podążali właściwą drogą. W końcu znaleźli się na bardzo pochyłym zboczu. W dole widać było wieś. Składała się z kilku zaledwie chłopskich gospodarstw, niemieckie budynki typowe dla Aargau ze słomianymi dachami tak wielkimi, że nie widać było spod nich ścian. Wcześniej widywali bardziej pospolite chłopskie domostwa z rozległymi gankami od strony doliny. Na pobliskim polu trójka przyjaciół spotkała dwóch pracujących mężczyzn. Trzeba było zsiąść z koni i podejść kawałek piechotą, by się do nich zbliżyć.

— Graben? — powtórzył pytanie jeden z nich, zsuwając filcowy kapelusz na tył głowy. — Owszem, jadą państwo we właściwym kierunku, ale nie powinniście się tam wybierać, chyba żeby Najświętsza Paniienka była z wami, to tak, ale sami, nigdy.

— A to dlaczego?

— Nikomu nie wolno się tam zbliżyć. Tam rządzą inne niż człowiecza moce. Chłop uczynił pospieszny znak krzyża.

— Czy tam straszy? — zapytał Móri wprost.

— To miejsce jest zakłète — rzekł chłop. — Odwiedziłem je kiedyś jako młody chłopiec i moja noga nigdy więcej tam nie postanie.

Tiril chciała się dowiedzieć, co wówczas przeżył, lecz Móri odezwał się pierwszy:

— A historia zamku. . . Czy opowiada się w niej o jakimś mnichu?

Drugi chłop wyprostował z wolna swój pochylony od pracy grzbiet.

— Historia zamku? Jest tak stara, że nikt nie pamięta więcej niż tylko jakieś oderwane fragmenty. Ale to prawda, mój dziadek wspominał o mnichu.

Móri wpił w niego swoje najintensywniejsze, najbardziej sugestywne spojrzenie. Mówił przymilnym głosem:

Bardzo byśmy chcieli dokładnie usłyszeć, co mówił wasz dziadek o zamku Graben.

Chłop drapał się po głowie.

Eee, jako się rzekło, nie za dużo już pamiętam. . .

Jakby przypadkiem Móri położył mu rękę na ramieniu.

Człowiek nagle się rozjaśnił.

— To dziwne — powiedział zdumiony — ale nieoczekiwanie wydało mi się, że pamiętam więcej, niż myślałem. Aż trudno uwierzyć.

— Czy możemy posłuchać? — nalegał Erling. — Bo widzicie, my spisujemy takie różne historie i zapłacimy wam sownie za dobre informacje.

— Ja przecież też coś wiem — wtrącił pospiesznie drugi chłop.

— Znakomicie — ucieszył się Móri, ale najwyraźniej czekał przede wszystkim na opowiadanie tego pierwszego.

— O Graben zawsze krążyły niesamowite historie — zaczął tamten. — I tylko bardzo ciekawi albo naprawdę odważni młodzi chłopcy tam chodzili. Ale zawsze tylko raz, i potem już nigdy więcej. Wszyscy ludzie ze wsi trzymali w tajemnicy to, co się dzieje na wzgórzach ponad nami. Nigdy nie słyszałem o żywym człowieku, który odważyłby się iść tam dwa razy. Ksiądz, który chodził z krzyżem i z zamiarem przegonienia duchów, został wyrzucony z ruin i stoczył się daleko w dół tak, jakby ktoś go zepchnął ze wzgórza.

— A co przeżyłeś ty sam podczas swojej wyprawy? — To Tiril pytała, bardzo chciała wiedzieć.

Chłop zamyślił się. Najwyraźniej miał kłopoty ze znalezieniem odpowiednich słów.

— Ja... ja nie widziałem nic — powiedział z wolna. — Ale kiedy razem z kolegami podeszliśmy do polanki, na której znajdują się ruiny, było tak, jakby uderzył w nas jakiś silny strumień, nie wiem, co to było, ale, zdawało mi się, że to samo zło. Nie, może nie zło, może gniew? Albo wrogość. W każdym razie sprzeciw. Jakby ten, ktokolwiek to był, nie chciał nas tam widzieć, chciał nas odpędzić... samą tylko... samą...

— Siłą myśli? — podsunął mu Erling.

— Tak, właśnie! — zawołał chłop ucieszony, że nareszcie potrafił się wyśłowić. — To była tak wielka siła, że chłopaki uciekli w popłochu z krzykiem. A przecież nawet nie zdążyliśmy wejść na polankę.

— Co się stało z tymi, którzy podeszli bliżej? — zapytał Móri.

Chłopi popatrzyli po sobie. W końcu jeden rzekł:

— Słyszałem o jednym takim, imieniem Dieterl, on żył, zanim ja się urodziłem. Ów Dieterl mimo wszystko starał się dotrzeć dalej. Później jego rodzice chodzili go szukać i znaleźli go, leżał jak nieżywy, i najbardziej odważni mężczyźni z całej parafii długimi drągami próbowali go ściągnąć z polany. Chorował aż do Bożego Narodzenia.

— Opowiadał sam coś o swoich przeżyciach?

— Nie mieli odwagi go o to pytać, bo jak ktoś się odważył, to on dostawał takich dzikich oczu i zaczynał toczyć pianę, więc się bali, że mu się rozum pomiesza.

— I nikt się niczego nie dowiedział?

— Nie. Sam Dieterl odebrał sobie życie jeszcze tej zimy.

— Szkoda — mruknął Erling. — No cóż, to może teraz usłyszemy historię zamku?

— Tak — zgodził się ten, któremu Móri wciąż trzymał rękę na ramieniu. — Jest tak, jak mówił mój dziadek. Nikt już nie pamięta, kiedy zbudowano zamek

Graben, ale musi on być bardzo, ale to bardzo stary, to widać po grubych kamiennych blokach, wystających z ziemi. Dlaczego nazwano go Graben, też nikt nie wie. Jedyne, co wiadomo, to parę historyjek o ostatnim właścicielu.

— Chętnie o nim usłyszemy — rzekł Erling.

— No. Jak to tam szło? Aha. On miał jakoby żyć w piętnastym wieku...

— Czyli trzysta lat temu.

— Zgadza się. To on był mnichem, tak mówił mój dziadek. Właściwie to on pochodził z potężnej rodziny i w dzieciństwie mieszkał w wielkim zamku warownym po tamtej stronie Zurychu, zdaje się, że to było Sankt Gallen. No i właśnie wtedy jak został mnichem, po wielu latach życia za granicą osiadł tutaj, żeby żyć bardziej skromnie, w nie tak wytwornym miejscu jak jego rodzinny dom. Ale nie wydaje mi się, żeby on w głębi duszy był prawdziwym zakonnikiem, bo nie było chyba stworzenia bardziej złego niż on. Z rozkoszą torturował heretyków i sekciarzy, zadawał im powolną śmierć, a młode dziewczyny z okolicy sprowadzał na złą drogę i potem mordował. Jedna z nich urodziła dziecko i on potem tego dziecka szukał, ale o ile mi wiadomo, nigdy go nie znalazł. W końcu chłopci mieli dosyć i z pomocą licznych rycerzy z Aargau zdobyli szturmem twierdzę Graben, zabili mnicha, a jego siedzibę zrównali z ziemią. Od tamtej pory w miejscu, gdzie kiedyś znajdowało się Graben, nie ma spokoju.

Troje podróżnych patrzyło w kierunku wskazywanym przez chłopca, ale nie było w stanie niczego dostrzec, bo iglasty gęsty las rósł wysoko ponad wsią i przesłaniał widok.

— O jednej rzeczy zapomniawsz — powiedział drugi chłop. — O przekleństwie.

Tiril rzekła po norwesku:

— No tak, przekleństwo musi być, wszystko inne jest zbyt banalne.

— Jak ono brzmiało? — zapytał Móri.

— Ludzie gadali, że mnich wołał tak... chociaż może nie pamiętam dokładnie: „Mój synu, mój synu, słuchaj swego ojca! Tylko ty możesz podejść w pobliże zamku. Nikt inny nigdy tego nie dokona”. Tak albo coś podobnego.

— Oj, oj — jęknął Móri. — Więc to dlatego nikt nie może się zbliżyć do zamku?.

— Prawdopodobnie.

— Ale było coś jeszcze — wtrącił drugi chłop.

— Co takiego? Ja nic nie pamiętam.

— Nie wydaje mi się, chyba pamiętasz dobrze! Coś w rodzaju: „Odzyskaj szafiry, mój synu! Pozwoliłem obejrzeć klejnot twojej matce, a ona go ukradła. Nie wiedziałem o tym, kiedy kazałem jej umrzeć. I odszukaj klucz do ukrytego zamku Tierstein! Jedna część jest tutaj, te przeklęte jastrzębie mają drugą, trzecia zaś znajduje się u mego brata, tego diabła, którego nie potrafię odnaleźć!” To były

ostatnie słowa, jakie mnich wypowiedział, zanim rycerz Bertram rozplątał go na dwoje.

Troje przyjaciół spoglądało po sobie. Ukryty zamek Tierstein to oczywiście Tiersteingram w Tiveden. Jastrzębie to Habsburgowie.

— W takim razie musi istnieć powiązanie między rodami Wetlev i von Graben — rzekła Tiril. — Trzecia część klucza znajdowała się przecież u Wetleva.

— Tak, ale to zakłada również powiązania pomiędzy rodem von Graben i trzecim z braci Tierstein — stwierdził Erling.

— Masz rację — potwierdziła Tiril. — Musimy to wyjaśnić. Tierstein żył w jedenastym wieku, mnich von Graben czterysta lat później.

Obaj chłopcy patrzyli na podróżnych z nadzieją. Nie rozumieli oczywiście po norwesku, ale...

Erling pierwszy zorientował się, o co chodzi, i wyjął sakiewkę.

— Wasza pomoc jest nieoceniona — powiedział wręczając każdemu z nich solidną monetę, a obdarowani rozjaśnili się w radosnych uśmiechach.

— Chwileczkę — wtrącił Móri i on również wyjął sakiewkę. — Możecie mi wyjaśnić jeszcze jedną sprawę?

— Oczywiście! — wołali jeden przez drugiego.

— Wiecie może, czy ktoś inny tędy nie przejeżdżał i nie wypytywał o zamek von Graben?

Chłopcy zastanawiali się.

— Zdarza się od czasu do czasu jakiś podróżny. Ale naprawdę rzadko. Przeważnie osoby takie jak państwo. Tacy, co chcą poznawać różne opowiadane w okolicy historie.

— A nie zapamiętaliście nikogo wyjątkowego? To się mogło zdarzyć dosyć niedawno, w każdym razie za waszych czasów, wysoki, ciemny mężczyzna o wychudzonej twarzy i strasznym spojrzeniu? Prawdziwie wielki pan, godny.

Chłopcy patrzyli niepewnie. Chętnie zarobiliby jeszcze trochę.

— Neeee — odparł jeden przeciągle i z wyraźnym żalem.

— Neeee, nikogo takiego nigdy tu nie było.

— Ale zaczekajcie! — zawołał jego kamrat. — Chociaż zdaje mi się, że to nie ma nic wspólnego... — Opowiadaj — zachęcał go Móri.

— No, bo córka mojej kuzynki to służyła jakiś czas w Sankt Gallen. I ona opowiadała o właśnie takim człowieku. Ale to chyba niemożliwe, bo tamten to był kardynał.

— Otóż to jest ten człowiek, o którym my mówimy — rzekł Móri cierpko. — Czy on tutaj był?

— Nie, nie, on nigdy, mogę przysiąc. Ale był okropnie kłopotliwy dla wszystkich na zamku Der Graben, o którym wspominaliśmy już przedtem. To stamtąd pochodził mnich.

— Tak, tak, mów dalej! To bardzo interesujące.

— Córka mojej kuzynki służyła we dworze niedaleko Der Graben. I słyszała od dziewczyny kuchennej z zamku, że kardynał bywał tam bardzo często, bo twierdził, że jest potomkiem panów na Der Graben. Teraz mieszka tam całkiem nowy ród, ale on węszył po kątach. Schodził nawet do piwnic, a może nawet najwięcej to w piwnicach właśnie szperał.

Trójka przyjaciół słuchała zaskoczona.

— Zaczekaj no, zaczekaj — przerwała mu Tiril. — To by świadczyło, że kardynał czegoś szukał?

— Tak.

— No i znalazł?

— Nie wydaje mi się. Moja krewniaczka mówiła, że zawsze opuszczał zamek bardzo zagniewany.

— Ale to świadczy też o tym, że nie wiedział o ruinach zamku Graben — powiedział Erling.

— Mój panie, o tych ruinach to wie bardzo niewiele ludzi. Tylko my tutaj we wsi, ale my nikomu o nich nie opowiadamy. Trochę się wstydzimy tego miejsca, bo to takie okropne.

— Rozumiemy was bardzo dobrze.

To były ważne wiadomości.

— Zawsze jesteśmy jakby o krok przed kardynałem i jego pomocnikami — ucieszyła się Tiril.

Chłopi patrzyli na nich bez słowa, nie rozumieli języka, którym podróżni się posługiwali.

Ale pieniądze od Móriego zostały przyjęte z wdzięcznością. Ten język rozumieli bez trudu.

— Naprawdę nie wiemy, jak wam dziękować — powiedział Erling. — A teraz, nie bacząc na wasze ostrzeżenia, wyruszmy do Graben.

Obaj chłopi mieli przerażone miny.

— Obejrzymy sobie tylko zamek z daleka — zapewniał Móri, chociaż niezupełnie odpowiadało to prawdzie.

Chłopi, choć wystraszeni, nie protestowali, wskazali nawet ścieżkę, którą należy pojechać.

— Ale najlepiej byłoby konie zostawić tutaj — poradził jeden. — Dla zwierząt droga jest za stroma i za wąska.

Trójka przyjaciół uznała to za dobry pomysł i oddała swoje wierzchowce chłopom pod opiekę, po czym ruszyła w górę.

Kiedy wieś zostawili już za sobą, Móri rzekł:

— Masz rację, Tiril. Przez cały czas jesteśmy jakby o krok do przodu. Kardynał może nie wiedzieć o istnieniu tego miejsca, bo wspomniano o nim jedynie w inskrypcji na naszymytniku, który został ukradziony jego przodkowi, mnichowi.

Ukradła go kochanka mnicha, która urodziła dziecko. Czy możemy przypuszczać, że ów syn otrzymał od niej szafiry?

— Prawdopodobnie — odparła Tiril. — Ale nie musiał znać inskrypcji. Kardynał jednak chyba wiedział o jej istnieniu.

— Tak, ale w naszym rozumowaniu brakuje pewnego elementu — stwierdził Erling. — Kardynał musiał się dowiedzieć o inskrypcji stosunkowo niedawno. Po tym jak jego bratanek Engelbert podarował naszyjnik Theresie. Przypuszczam, że stało się to na krótko przed tym balem na zamku, podczas którego Engelbert zażądał od Theresy zwrotu klejnotu, ale wtedy ona go już nie miała, bo oddała akuszerce. Przy okazji Theresa ujawniła adres konsula w Christianii i to był początek prześladowań Tiril. To wtedy oni zaczęli jej szukać, ale minęło sporo czasu, nim ją znaleźli.

— Wiecie, co ja myślę? — zapytała Tiril. — O tym, jak kardynał się dowiedział, że naszyjnik ukrywa pewną tajemnicę? Myślę mianowicie, że to sam Engelbert, który odziedziczył naszyjnik, siedział kiedyś i przyglądał mu się uważnie — może jeszcze w dzieciństwie — i zauważył, że znajdują się tam jakieś pokrętne linie, przypominające litery, chociaż zbyt małe, by można je było odczytać gołym okiem.

Móri zaprotestował:

— Czy jednak mogli wygrawerować takie małe literki w czasie, kiedy naszyjnik został wykonany?

— Szła powiększające są znane od dawna — wyjaśnił Erling. — Już w piętnastym wieku bardzo modnym rodzajem malarstwa była miniatura.

— Co my byśmy bez ciebie zrobili, Erlingu? — uśmiechnął się Móri ciepło, a Tiril przyłączyła się do niego z pochwałami. Erling rozpromienił się jak ktoś spragniony komplementów, choć przecież tak nie było. Ale uznanie tych dwojga cenił sobie szczególnie wysoko.

Móri mówił dalej:

— Wiemy już, w jaki sposób rozeszły się drogi szafirów, części klucza, która znajdowała się w posiadaniu rodu von Graben. Fragment klucza posiadał brat mnicha, a szafiry prawdopodobnie syn mnicha. Nie sądzę, by ci dwaj znali się nawzajem.

— Nie, na pewno nie — potwierdził Erling. — Ale jeśli teraz przyjmujemy, że jest tak, jak mówi Tiril, że to Engelbert odkrył wzór na łańcuszku... To musiał opowiedzieć o tym swojemu straszemu wujowi, kardynałowi, prawda?

— Chyba tak — zgodził się Móri. — I możesz sobie chyba wyobrazić, jaki kardynał był wtedy wściekły! Mieli oto przez te wszystkie lata najważniejszą dla swoich poszukiwań wskazówkę, a ten beznadziejny Engelbert oddał naszyjnik! I to komu? Kobiecie! Swojej kochance! Komuś z domu Habsburgów, którzy już i tak byli od dawna cierniem w oku kardynała ze względu na to, że posiadali fragment klucza. Niestety, nie wiemy, czy tak było naprawdę. Zgadujemy tylko.

— Myślę że zgadujemy trafnie — powiedział Erling. — Ale ja zastanawiam się jeszcze nad czymś innym. Nad treścią samej inskrypcji. Mówi się tam wyraźnie, że wielcy mistrzowie śpią. . . jacy wielcy mistrzowie? Wiemy tylko tyle, że tam, dokąd zmierzamy, mnich spotkał swoje przeznaczenie.

— Poczekaj, aż dotrzemy na miejsce — rzekł Móri.

Tiril zdrząła. Znajdowali się teraz ponad doliną, słońce stało jeszcze wysoko na niebie, ale nie ulegało wątpliwości, że lada moment zacznie się skłaniać ku zachodowi. Las trwał w ciszy i chociaż ścieżka była wyraźnie widoczna, im wyżej wchodziłi, tym większy niepokój ogarniał Tiril. Nigdzie w pobliżu nie widzieli śladu żadnych zwierząt, co najwyżej jakiegoś ślimaka pod drzewem. Wydawało się, że przekleństwo ciężące nad zamkiem rozprzestrzenia się na całą okolicę.

Co my właściwie tu robimy, myślała Tiril raz po raz i ciarki przechodziły jej po plecach. Dlaczego nie siedzimy teraz na pełnej słońca werandzie w Theresenhof?

O, jakże tęskniła do dzieci! I do ukochanej matki, która stworzyła im wszystkim takie spokojne, pełne miłości życie. I do Nera, który tym razem musiał zostać w domu, bo Dolg nie chciał go puścić.

Dolg i Nero. Nierozłączni.

Tiril cieszyła się, że jej niezwykle syn ma takiego dobrego przyjaciela.

Kochany stary Nero!

Rozdział 18

— Wygląda na to, że zbliżamy się do szczytu — mruknął Erling zdyszany po pokonaniu ostatniego stromego odcinka.

Tiril z pewnym zdumieniem stwierdziła, że nie wie ile ich stary przyjaciel ma lat. Zawsze traktowała go jak rówieśnika Móriego, teraz jednak Erling wyglądał znacznie poważniej.

Zapytała go wprost o datę urodzenia, a odpowiedź bardzo ją zaskoczyła. Okazało się bowiem, że jest od niej starszy o szesnaście lat. No tak, był przecież wybranym Carli! Mimo to jednak...

Tiril rozejrzała się. Myśli wciąż krążyły wokół innych spraw, jakby omijały to miejsce i czas, i musiała je wciąż przywoływać z powrotem.

Płaska skała, na której znalazło się troje wędrowców, była wyraźnie niższa niż okalające ją góry, stanowiła właściwie boczne przedłużenie górskiej ściany i zwieszała się ciężko ponad doliną i maleńkimi wioskami, których istnienia podróżnicy się tylko domyślali. Pod tym względem przypominała rycerskie zameczki uczone górze. W dolinie spotykały się dwie duże rzeki, widzieli je jakiś czas temu choć nie mieli pojęcia, która jest Aare, a która Reuss, czy też może w ogóle coś całkiem innego.

Szczerze mówiąc kompletnie stracili orientację.

Móri pierwszy zobaczył polankę. Zatrzymał się gwałtownie.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmił bezbarwnym głosem.

Niewiele było do oglądania. Ogromne, z grubsza ciosane bloki leżały zwalone na kupy albo rozrzucone bezładnie, prawie już zakryte przez bujną trawę. I tylko te kamienie, nic więcej. Dokładniej nie można chyba zamczyska zrównać z ziemią.

Ale nie tylko żałosne resztki siedziby mnicha zwracały uwagę wędrowców. Przede wszystkim zastanawiało ich uczucie strachu, jakiego teraz doznawali. Nieprzeparta chęć, by zawrócić i uciekać stąd najszybciej jak można. Obaj mężczyźni zauważyli, że Tiril chwyciła się cienkiej sosenki, by nie pójść za impulsem, i świetnie ją rozumieli. Chętnie postąpiliby tak samo.

— Cóż za potworna siła — jęknął Erling. — Chodźcie, uciekamy!

— Nie — wykrztusił Móri. — Musimy próbować podejść bliżej.

— Narazamy życie — ostrzegął Erling.

— Przez całą drogę powtarzałem, że narazamy życie — syknął Móri przez zęby. — Ale teraz jesteśmy na miejscu i ja nie zamierzam poddawać się tak łatwo. Zrobił parę kroków w kierunku polany i został odrzucony jakby przez jakąś potężną rękę.

Erling również spróbował, z tym samym rezultatem. Nagle spostrzegli, że napięte rysy Tiril złagodniały, a jej ręce puściły sosnę.

— To wcale nie jest takie niebezpieczne — powiedziała zdumiona.

— Tiril, nie! — krzyknął Móri, kiedy wolnym krokiem ruszyła w stronę ruin.

— Możesz sobie zrobić krzywdę, potłuczysz się!

Stanął za nią i wyciągnął ręce, żeby ją pochwycić w razie czego i złagodzić upadek. Ale ku zaskoczeniu wszystkich Tiril bez przeszkód kroczyła dalej po trawie.

— Mogę dojść aż do samych ruin — stwierdziła tak samo zdziwiona jak oni.

— Nic mnie już nie zatrzymuje, wprost przeciwnie. Ja... czuję się oczekiwana!

— Co to się dzieje, u licha? — zastanawiał się Erling.

Tiril odwróciła się do nich.

— Ale ja nie chcę tam iść całkiem sama — dodała pospiesznie. — Sama nie pójdę.

— Ja nie rozumiem... — zaczął Erling.

— Ale ja tak — odparł Móri z wolna. — Ja rozumiem. Mnich wzywał swego syna! Tamten, rzecz jasna, umarł przed wiekami, ale nie zapominajmy, że Tiril również jest z domu von Graben. Jest prawdopodobnie w prostej linii potomkinią tego mnicha i jego syna. I chyba pierwszą z tego rodu, która tu przysłała.

— Nie — jęknęła Tiril. — Ja nie chcę tego słuchać!

— Musimy spojrzeć prawdzie w oczy, Tiril. Mogłabyś na przykład pochodzić od brata naszego mnicha, tego, który zabrał fragment kamiennego klucza. Ale nie pochodzisz, inaczej nie mogłabyś się nawet zbliżyć do ruin, bo mnich nienawidził swego brata. Jesteś potomkinią jego samego, mnicha, tak samo jak biskup Engelbert i kardynał von Graben.

— Ale ja jestem porządnym i dobrym człowiekiem — szlochła Tiril. Wróciła do swych towarzyszy i Móri mocno ją do siebie przytulił.

— Jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego znam — mówił pocieszająco. — Nie ma w tobie ani cienia zła, a przecież ja mogę coś na ten temat powiedzieć. Jesteś podobna wyłącznie do swojej matki, Tiril. Może zresztą być i tak, że biskup Engelbert także ma jakieś dobre strony, ale przede wszystkim jest on słaby, niepewny siebie i tchórzliwy. Takich przywar w tobie nie ma ani śladu. Nie odziedziczyłaś też w najmniejszym stopniu złych charakterów mnicha i kardynała.

— Amen! — zakończył Erling. — Bardziej precyzyjnie nie można tego ująć. Jesteś najlepszym i najszlachetniejszym człowiekiem, jakiego znam, i uważam, że Móri jest najszczęśliwszym mężczyzną świata, że zdobył sobie twoją miłość.

— Dziękuję ci — wykrztusiła z uśmiechem przez łyzy.
— Potrzebowałam teraz takich słów. Ale mimo wszystko muszę tam pójść sama.
— Nie wolno ci tego robić — zaprotestowali mężczyźni chórem.
— Chciałabym jednak wiedzieć, czego wy tam chcecie szukać? — zapytała.
— Przecież to tylko kamienie i nic poza tym!
— Jest coś jeszcze, zapewniam cię. Może teraz znajduje się gdzieś dalej, ale tylko syn mnicha może mieć do tego dostęp. Albo jego potomstwo.
— Śpiący wielcy mistrzowie — wymamrotał Móri pod nosem. — Nie rozumiem tego zupełnie.
Erling spojrział w stronę zrujnowanego zamczyska.
— Jak my się tam dostaniemy, Móri, ty i ja? Nie powinniśmy puścić Tiril samej. Nikt nie wie, co jej się może przytrafić.
— Nie, nie wolno nam jej zostawić — potwierdził Móri i zagryzł wargi. Tiril jeszcze nigdy nie widziała, by był taki zmartwiony.
Nagle rozpromieniła się.
— Móri! A dlaczego nie mielibyśmy spytać o radę twoich przyjaciół?
Popatrzył na nią sceptycznie.
Moich towarzyszy? Przecież oni już nie istnieją.
— Co my o tym wiemy?
— W końcu nie zaszkodzi spróbować — zachęcał Erling.
— Nie, oczywiście, że nie zaszkodzi. Chodźmy jak najdalej od tego przekłętą tego miejsca. Tutaj ciarki przechodzą mi po skórze.
— Mnie także — przyznał Erling.
Tiril nie powiedziała ani słowa. Opanowała ją nieprzeparta chęć, by zbliżyć się do ruin, i to sprawiało, że cierpiała. Wiedziała bardzo dobrze, że dzieci najgorszych nawet przestępców mogą wyrosnąć na porządnych ludzi i odwrotnie — wspaniali rodzice mogą wychować straszliwych morderców, ale nie to tak bardzo ją przygnębiało. Każdym nerwem, każdą komórką ciała odczuwała, że pochodzi z rodu von Graben, i nienawidziła tego.
Kiedy odeszli kawałek od polanki i znaleźli się w ciemnym lesie, Móri zaczął wzywać duchy.
— Erling, ty jeszcze nie uczestniczyłeś w takiej ceremonii, więc i tym razem nie musisz, jeśli nie chcesz albo się boisz — oświadczył, zanim po raz pierwszy wypowiedział wezwanie. — One zawsze życzyły nam wyłącznie dobra, ale obawiam się, że teraz już ich po prostu nie ma.
Móri bardzo się jednak mylił. Pierwszą fazę rytuału Erling przeżył jako coś przerażającego. Ziemia ugiwała mu się pod nogami, szalona wichura szarpała drzewami, co sprawiało wrażenie, że las kręci się w kółko, a po wszystkim zaległa głęboka, głucha cisza.

Poprzez wyjący wiatr słyszał radosny głos Tiril: „One tu są, o Boże, jak ja do nich tęskniłam!”

A potem, już w ciszy, jej zdławione: „Witajcie! Witajcie, najdrożsi przyjaciele!”

— Chcę ich zobaczyć — mruknął Erling z nieoczekiwaną stanowczością.

— Catherine nie znosiła ich widoku — przypomniał Móri półgłosem, bo musiał się koncentrować na spotkaniu z przyjaciółmi.

— Ja nie jestem Catherine — syknął w odpowiedzi Erling.

Móri bez słowa podał mu tak zwaną runę duchów.

— A ja nie potrzebuję żadnej magicznej pomocy! — oświadczyła Tiril z dumą. — Widzę je bez niczego! Och, przyjaciele drodzy, ileż to czasu minęło od ostatniego razu! Tak się cieszę — powtarzała radośnie.

Powoli okropne postaci, które jednak Erling bez trudu byłby w stanie sobie wyobrazić, wyłaniały się z nicości. Czuł, że mdłości dławią go w gardle, ale oparował się. Chciał pokazać, że naprawdę nie jest żadną Catherine.

Witał uprzejmie straszne istoty, które mu Móri po kolei przedstawiał. Zresztą nie wszystkie były takie okropne. Prawdziwym ukojeniem dla oczu było powitanie z dwiema bardzo urodziwymi kobietami, poza tym w towarzystwie znajdował się też nie budzący grozy mężczyzna, ojciec Móriego. Duch opiekuńczy Tiril również nie wyglądał źle, a ku swemu wielkiemu zdumieniu Erling poznał również swoją opiekunkę, niepospolicie piękną kobietę o szlachetnych staroegipskich rysach. Uśmiechała się do niego uspokajająco.

Tak bardzo potrzebowałem tego uśmiechu, pomyślał lekko zdesperowany. Jakich to ja właściwie mam przyjaciół? Czarnoksiężnik Móri i jego nieodrodna żona, Tiril! Ale to najlepsi z przyjaciół, ciągnął w myślach. Powinienem więc przyjmować spokojnie, co mi los w ich towarzystwie zsyła.

— Dzięki, żeście się w końcu zdecydowali nas wezwać — powiedział ten, którego nazywano Duchem Zgasłych Nadziei. — Latami siedzieliśmy beczynnie i ssaliśmy palce!

— Potwornie to było nudne — przyznał Nauczyciel.

— Nigdy nie powinniśmy byli roztaczać tego ochronnego kręgu wokół waszej siedziby! Nidhogg dosłownie chodził po ścianach, zjadał jeden dom po drugim. My zaś graliśmy w karty i nudziliśmy się okropnie.

Po czym zaczęły się rozmowy.

— Nie możemy was ochronić przed tą siłą — oświadczył Nauczyciel. — Nie tutaj, na jej własnym terytorium. To dla nas coś zupełnie nie znanego. Nie możemy pokonać siły, której istota pozostaje dla nas tajemnicą.

— Ale my musimy się tam dostać!

— Ty nie i twój przystojny przyjaciel też nie — rzekł Hraundrangi-Móri. — Tylko Tiril może to zrobić. Sama.

— Przecież nie możemy jej po prostu tak zostawić!

— Nic jej się nie stanie. Ale jeśli sobie tego życzyście, to my z nią pójdziemy. Jak daleko się da.

— Dziękuję wam! Co ty na to, Tiril?

— Jeżeli one pójda z mną, to tak. Ale bez nich nie. Nigdy z życiu!

Móri ciężko westchnął.

— No to próbuj, w imię Boga! Ale przy najmniejszej komplikacji masz pędem wracać do nas.

— Nie musisz mi o tym dwa razy przypominać. Wrócę tu, zanim dotrę do połowy drogi.

Móri zwrócił się do swych niezwykłych towarzyszy.

— Przyjaciele, składam życie mojej ukochanej w wasze ręce!

— I w wasze łapy — uśmiechnęła się Tiril z wisielczym humorem.

— I w łapy — powtórzył Móri.

— Ale... — uprzedził Nauczyciel. — Gdy tylko Tiril zbada najlepiej jak można ruiny, niech natychmiast stamtąd ucieka! Zresztą musicie uciekać wszyscy troje. Zagraża wam jakieś niebezpieczeństwo, nie wiemy, co to ani skąd płynie, ale jest rzeczywiste!

Pozostałe duchy potwierdzały jego ostrzeżenia.

— Nidhogg — szepnęła Tiril. — Ty zawsze byłeś mi bardzo bliski. I ty, Zwierzę. Czy mogę trzymać was za ręce?

— Boże w niebiesiech — jęknął Erling, ale Nidhogg zdążył już wyciągnąć swoją niebywale długą, przezroczystą, białą rękę płynnym, tak charakterystycznym dla niego ruchem i Tiril ujęła ją ufnie niczym dziecko.

— Zimna — uśmiechnęła się przekornie. — Ale dziękuję ci. Dobrze jest trzymać kogoś za rękę, kiedy kolana się pod człowiekiem uginają.

Rozejrzała się jeszcze za swoim duchem opiekuńczym. Chciała go mieć przy sobie i uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

— Nic dziwnego, że one ją ubóstwiają — mruknął Móri do Erlinga, kiedy znaleźli się sami na skraju lasu, a cała grupa odeszła. — Cenią ją wyżej niż mnie, bo ja często odnoszę się do nich z dystansem.

Erling mógł tylko skinąć głową. Był do głębi wstrząśnięty tym, co się wokół niego wydarzyło.

Widzieli, jak Tiril odwraca się z odrobinę bezradnym uśmiechem, żeby im pomachać. Pomachali jej również. Znowu powróciła z całą siłą pełna napięcia atmosfera, jakiej doświadczyli na polance. Móri zrobił kilka kroków naprzód, jakby jeszcze w ostatniej chwili chciał dodać Tiril odwagi, ale natychmiast został odepchnięty przez niewidzialną siłę.

Tak jest. Tiril musi być pierwszą z rodu Graben, która się tu pojawiła — stwierdził, kiedy Erling pomagał mu wstać z ziemi. — Nic więc dziwnego, że jest tak chętnie witana. Erlingu... czy to z mojej strony tchórzostwo, że się o nią tak śmiertelnie boję?

— Oczywiście, że nie. Znacznie większym tchórzostwem byłoby nie przejmować się jej losem w tej sytuacji. Ja sam jestem przerażony. Móri, w co myśmy się wdali?

— Duchy powiedziały, że Tiril jest bezpieczna. A ja im ufam. Niekiedy stosują wprawdzie dosyć drastyczne metody, ale całym sercem są po naszej stronie. Spójrz, Tiril doszła do celu! Stoi i przygląda się kamieniom. Nauczyciel pokazuje jakąś kępkę trawy... Och, dlaczego nie możemy z nimi być? Erlingu, ssie mnie w żołądku!

— Mnie również — szepnął przyjaciel. — Jestem jak sparaliżowany i czuję ból w całym ciele z obawy o los naszej małej, drogiej Tiril.

Nigdy jeszcze nie czuli się tacy bezradni i tacy... niepotrzebni.

To bardzo bolesne doświadczenie.

Rozdział 19

Dwaj ludzie kardynała von Grabena dobrali sobie do towarzystwa jeszcze dwóch pozbawionych sumienia typów i pospiesznie opuścili Sankt Gallen, by udać się w pościg za Tiril, Mórim i Erlingiem.

Trójka podróżnych rzucała się w oczy, więc ścigający mieli stosunkowo łatwe zadanie, przynajmniej z początku. Kobieta wysokiego rodu, podróżująca konno z dwoma mężczyznami, to niezbyt częsty widok. Zresztą jeden z mężczyzn też do pospolitych nie należał, taki ciemny, z przenikliwym spojrzeniem czarnych oczu. O drugim z mężczyzn pytani ludzie mówili, że bardzo przystojny, o pięknych rysach i władczy w obejściu.

Nie, czterech brodatych opryszków nie miało najmniejszych problemów z podążaniem ich śladem.

W Zurychu jednak zaczęły się kłopoty. Tyle tam było gospód i zajazdów, tyle dróg wychodziło z miasta w różnych kierunkach. Poza tym kardynał bąknął coś, że troje podróżnych miało się jakoby udać do wielkiego zamku Der Graben na północny wschód od Zurychu, w kantonie Sankt Gallen. Tak więc ścigający zmitrężyli cały dzień w poszukiwaniu właściwej drogi.

W końcu trzeba było wracać do Zurychu i jeszcze raz próbować odnaleźć właściwy trop. Tamci bowiem skierowali się na północny zachód.

— Co tam jest takiego, do licha? — pytał swoich kamratów przywódca pościgu, który wcale nie był od swoich ludzi inteligentniejszy.

— Pojęcia nie mam — odpowiedział jeden z koleżków i wzruszył ramionami. — Nigdy tam nie byłem.

— Ani ja — dodał inny.

— Nie wiem — zastanawiał się trzeci. — Ale czy to nie jest droga na Bazyleję?

— Co, do cholery, oni mieliby do roboty w Bazylei? — warknął szef. — Kardynał musi nam dobrze zapłacić za to błąkanie się po górach wśród głupekowatych chłopów. Mimo wszystko zmierzali dalej w kierunku Bazylei. Kłócili się często i rozjeżdżali wściekli każdy w swoją stronę, wkrótce jednak znowu się zbierali, czujnie obserwując nawzajem każdy swój ruch. Byli pospolitymi przestępca-

mi, których kardynał zdołał wyciągnąć z więzienia, bo oddawali mu nie zawsze szlachetne przysługi, na przykład pomagali nieprzyjaciołom kardynała „zniknąć” dyskretnie, ale skutecznie.

Nie przepadali za sobą nawzajem.

Tym razem otrzymali paskudne zadanie, które wymagało wielkiej lojalności wobec kardynała. Stary lis był bardzo przebiegły, dobrze wiedział, że muszą mu być posłuszni, płacił im, ale dodatkowo nie szczędził pogróżek, że może ich z powrotem wpakować za kratki. Oni zaś nie wątpili, że kardynał ma dość władzy, by to zrobić, gdyby próbowali go okpić.

Ale ten pościg wymagał od nich więcej, niż byli w stanie znieść.

Tymczasem jednak udało im się znaleźć niedużą wioskę, w której Tiril ze swoimi towarzyszami dopiero co była.

Prześladowcy dowiedzieli się, że troje podróżnych wyruszyło do Zachodniego Habsburga.

Spoglądali po sobie. Habsburg? Piekło, szatani, to przecież gdzieś koło Wiednia!

Nie, nie, tam to jest Hofburg. Rodzinne strony Habsburgów znajdują się tutaj.

Ach, tak! W takim razie sprawa jest jasna. Kobieta, którą ścigają, ma jakoby pochodzić z Habsburgów, z rodziny cesarskiej, nie wiedzieli, jakie dokładnie jest to pokrewieństwo, lecz wszystko zdawało się świadczyć, iż zaczynają jej nareszcie deptać po piętach.

W zamku Habichtsburg powiedziano im — choć najpierw musieli zapewnić, iż są wysłannikami kardynała — że troje znamienitych gości opuściło okolicę tego samego ranka. Jeśli więc posłańcy kardynała się pospieszą, mogą ich dogonić jeszcze przed wieczorem. Tak, ale dokąd się udali? Och, zamierzali przejść na drugą stronę doliny i wspiąć się na wzgórze, gdzie znajdują się ruiny twierdzy o nazwie Graben.

Więcej informacji prześladowcy nie potrzebowali. Okazuje się więc, że istnieje zamek Der Graben oraz ruiny zamku Graben.

To bardzo cenne wiadomości, które będzie można przekazać kardynałowi. Wszyscy czterej gotowi byli się założyć, że stary kozioł pojęcia nie ma o istnieniu ruin twierdzy Graben!

Nie czekali dłużej, ledwie zdążyli powiedzieć do widzenia zarządcy i jego żonie i pomknęli galopem w dół.

Tiril przyglądała się Nauczycielowi, który pokazywał jej jakąś plamę na trawie pomiędzy kamiennymi blokami.

— Tak, ale nawet jeśli istnieje stąd zejście pod ziemię do jakiejś piwnicy czy czegoś takiego, to przecież w żaden sposób nie zdołam się tam dostać. Nie mam nawet szpadla ani...

— Postępuj się swoją małą główką, kochanie — powiedział Nauczyciel. — Nie do kopania, oczywiście, lecz do myślenia. I pamiętaj, że masz bardzo niewiele czasu! My wszyscy wyczuwamy jedno zagrożenie tutaj oraz drugie, które się zbliża. Potwornie niezdrowe miejsce, zapewniam cię. Wynoście się stąd możliwie jak najszybciej!

Tiril rozglądała się gorączkowo wokół. Stwierdziła, że ona sama stoi na niedużym kamieniu, mniejszym niż wszystkie pozostałe.

— Tak, tak, właśnie ten — skinął Nauczyciel.

Wahała się przez chwilę, po czym ujęła kamień. Poruszał się swobodnie.

— Oj — jęknęła Tiril.

— Tiril, co się stało? — zawołał Móri.

— Zagłębienie w ziemi! Można powiedzieć dziura! Myślę, że to... zejście w dół.

— Zastanów się dobrze, zanim coś zrobisz!

— Nie słuchaj ich! — krzyknął Nauczyciel. — Spiesz się, czas ucieka!

Stała bezradna między jedną a drugą grupą, po chwili podniosła jeszcze jeden kamień, który zasłaniał zejście.

Słońce schowało się już za góry na horyzoncie, a pośród głazów i ruin cicho gwizdał wiatr. Wciąż narastał ten nieprzyjemny, makabryczny świst, jakby wszystkie złe duchy zebrały się tutaj, by na nią czekać.

Ukazał się bardzo wąski i nieduży otwór w ziemi. Nic nie wskazywało, że poniżej może się znajdować piwniczne sklepienie! Ale jakaś piwnica z pewnością musiała tam kiedyś być.

— Wszędzie leży tyle osypanej ziemi — narzekała. — Jak ja tu coś znajdę?

— Staraj się wślizgnąć i nie rób trudności — przynaglał Nauczyciel. — Jesteśmy tu po to, by ci pomagać i chronić cię.

Powoli i z wahaniem puściła rękę Nidhogga i wsunęła jedną nogę w otwór. Pod nią rozległo się coś jakby sapnięcie, ale nie umiałaby powiedzieć, czy to osiadająca ziemia, czy też jakaś straszna podziemna istota, która się na nią czaiła. Rzuciła ostatecznie spojrzenie w stronę Erlinga i Móriego, którzy napięci niczym struny stali pod lasem. Tak strasznie daleko od niej!

Potem popatrzyła na Nauczyciela, który kiwał głową, i wślizgnęła się do otworu. Na dole musiała przykucnąć, żeby się zmieścić.

— Ciemno okropnie, nic nie widzę!

— Sama sobie zasłaniasz, głuptasie — strofował ją Nauczyciel. Jego stłumiony głos dochodził z bardzo daleka, za nim znajdował się cały żywy świat. — Odsuń się trochę!

Próbowała w pozycji kucznej posuwać się naprzód, ale spódniczka plątała jej nogi. Upadła i kaszłała z ustami pełnymi piachu. Chce stąd wyjść, myślała w panice, oni nie mogą tego ode mnie wymagać!

Czego mam szukać? — myślała oszołomiona. Mózg nie chciał być jej posłuszny, nie pamiętała, po co tu przyszła. Ach, tak, prawda, to ci śpiący wielcy mistrzowie.

Do diabła z nimi. Ich tu przecież i tak nie ma, chcę wyjść na górę!

Próbowała się odwrócić, bo ta droga prowadziła donikąd, a ona w każdej chwili mogła zostać przywalona ziemią, nieustannie się osypującą, a poza tym o co chodzi z tymi śpiącymi wielkimi mistrzami? Określenie brzmi groteskowo i z pewnością nie ma nic wspólnego z tą dziurą w ziemi.

I właśnie wtedy zobaczyła, że tuż obok niej coś leży.

Czaszka podzielona na dwoje. Połowa szkieletu, po prostu połowa człowieka. „Zanim rycerz Bertram rozplątał go na dwoje...”

Tiril wrzasnęła jak szalona i zaczęła się szamotać, chcąc zawrócić i wydość się na powierzchnię. Odeszła jednak dość daleka od dziury, przez którą tu się wślizgnęła, musiała się więc ponownie odwrócić, potykała się o kolejne części szkieletu, pewnie pochodzące z drugiej połowy złego mnicha, szlochała przerażona, starała się odczołgać z okropnego miejsca, ale oplątująca kolana spódnica powstrzymywała ją, widziała światło sączące się z innego niewielkiego otworu pomiędzy kamieniami...

Tuż przed nią, na czymś w rodzaju kamiennej ławki, leżał jakiś dziwny przedmiot.

To... księga?

Widziała kiedyś podobną książkę w Tiersteingram. Ta jednak była i grubsza, i dużo cięższa.

Księga nie może przetrwać w ziemi trzysta lat, przemknęło jej przez myśl. Rozpadnie się w proch i pył, gdy tylko jej dotknie.

Ale muszę to zrobić. Teraz! Nigdy w życiu nie zgodzę się wejść jeszcze raz do tego lochu!

Strumień światła był cieniuteńki, ledwie widoczny, otwór, przez który wpadał do środka, musiał być nie większy od paznokcia. Ale wskazywał kierunek do wyjścia, tyle przynajmniej miała z niego pożytku. Opanowała chęć, by zacząć krzyczeć i jak najszybciej uciec stąd w popłochu na świeże powietrze. Tiril łkała, zalewając się łzami, i szlochała ze strachu, ręce jej się trzęsły tak, że ledwie mogła ująć księgę.

Ta jednak okazała się potwornie ciężka. Była z kamienia! Bardzo cienkie płytki kamienne zostały zespolone niczym karty książki.

Nie było ich dużo, ale ważyły swoje. Tiril wzięła całość pod pachę i zaczęła pełznąć z powrotem, podpierając się drugą ręką. Kamienne płyty wyslizgiwały się co chwila i musiała je poprawiać.

Do wyjścia nie miała wcale tak daleko, zaledwie drugie tyle co do zwłok mnicha, ale musiała się precyzyjnie tuż-tuż obok szkieletu i ten odcinek drogi zdawał

się nie mieć końca. Wciąż z trudem przetykała ślinę, słyszała trzask łamanych kości pod swoimi kolanami, krzyczała głośno, ale wytrwale pełzła naprzód, kierując się w stronę światła. Zapłakana i rozszlochana.

— Jak ty wyglądasz — rozległ się nagle skrzekliwy głos Nidhogga, rozbawiony, ale i pełen czułości. Tak jej się przynajmniej zdawało. — Chodź!

Nietrudno było ją przekonać, że ma biec na skraj lasu do Erlinga i Móriego.

Tiril nie była w stanie wykrztusić ani słowa, płakała tylko wciąż w szoku i oddała im „księgę”.

— To więcej niż można wymagać od kobiety — powiedział Nauczyciel. — Jest nam wstyd, że musieliśmy ją popędzać.

Móri osuszył jej twarz i oczyścił ubranie. Dyskretnie usunął kości dłoni, które wczepiły się w fałdy jej sukni.

— Włosy masz w strasznym stanie — powiedział, próbując wytrząsnąć z nich ziemię. Potem wytarł jej nos. Tiril powoli odzyskiwała równowagę.

— Co ja takiego znalazłam? — spytała Erlinga, trzymającego w rękach kamienną księgę.

— To bardzo interesujące — odparł. — Te staroświeckie litery dość trudno pojąć, ale, Tiril... Myślę, że znalazłaś, śpiących wielkich mistrzów!

— Jednego na pewno — wykrztusiła z trudem i opowiedziała o tym, jakiego wstrząsu doznała na widok rozplatanego mnicha. — Jeśli to nie on jest wielkim mistrzem, to już sama nie wiem, kogo szukamy.

Zeszli dróżką kawałek w dół i znaleźli się w małym zagajniku, skąd nie było widać upiornych ruin. Ich samych też nikt by tu nie zobaczył. Niedaleko, w dole, widzieli małą kotlinkę i domyślali się, że są bardzo blisko skalistego wzniesienia. Tylko że teraz niżej niż poprzednio.

Podziękowali swoim przyjaciółom duchom za nieocenioną pomoc i obiecali, że odtąd będą ich wzywać znacznie częściej.

— Dlaczego zawsze mamy was wołać jedynie w potrzebie? — zastanawiał się głośno Móri. — Dlaczego nie pomyśleć o jakimś wspólnym przyjęciu w Theresenhof?

Wszyscy uznali, że to świetny pomysł. Tiril i Erling również, choć Tiril niepewnie pomyślała o menu. Bo co właściwie jadają duchy?

Na koniec wyściskała Zwierzę, przytuliła policzek do jego głowy i powiedziała cicho: „Dziękuję ci, mój przyjacielu. Często o tobie myślę”.

Wkrótce duchy zniknęły i nagle ludzie poczuli się bardzo samotni w ciemnym lesie.

— Wiecie co? — rzekł Erling nieoczekiwanie dla samego siebie. — Ja ich lubię!

— Oczywiście — odparł Móri spokojnie.

— No jasne — potwierdziła Tiril z naciskiem.

— Ale teraz nie mogę już dłużej tłumić ciekawości oświadczył Móri. — Chodźcie, rzućmy chociaż okiem na te tablice, zanim się całkiem ściemni. Potem szybko stąd zmykamy!

Wyszli na skalną półkę, gdzie było trochę więcej światła. Wszyscy pochylili się nad „księgą”.

— Zaczynamy od górnej — zaproponował Erling. — Patrzcie! Patrzcie na rysunek!

Wszyscy widzieli wyraźnie. Znak słońca z lekko falistymi promieniami. Ta płyta leżała na samym wierzchu i została chyba trochę nadgryziona zębem czasu, ale mogli bez trudu odczytać dość niewyraźne pismo.

— Uff, to okropnie stare — westchnęła Tiril.

— Powiniennem sobie z tym poradzić — rzekł Erling. — Jestem przyzwyczajony do starych hanzeatyckich dokumentów. To ten sam styl. Zaraz zobaczymy... Mój Boże, po francusku! Dlaczego akurat ten język, który znam najslabiej?

— Dziwne, ja też nie pojmuję, skąd się tu wziął napis po francusku — westchnęła Tiril zmartwiona.

— No cóż, znajdujemy się przecież w związku szwajcarskim, a to tereny trójjęzyczne. W Szwajcarii mówi się po niemiecku, po francusku lub po włosku. No i właśnie jesteśmy bardzo blisko francuskojęzycznych kantonów.

— To wygląda beznadziejnie — mruknęła Tiril. — Czyżbyśmy mieli do czynienia z jakąś organizacją obejmującą cały świat?

— Może nie cały świat — odparł Móri. — Ale przecież, od dawna wiedzieliśmy, że jest w to zamieszanych wiele krajów. No, co tam odcyfrowałeś, Erlingu?

Erling sylabizował:

— „Les Grand... Ma... res...” To ostatnie, to z pewnością ma być „Maitres”, potem brak rodzajnika i następuje słowo „Ordre”, znowu coś wypadło, a wszystko kończy się pompatycznie: „Soleil Sainte”. Tak, w swobodnym przekładzie powinno to chyba brzmieć: „Wielcy Mistrzowie Zakonu Świętego Słońca”. Tiril, ty naprawdę odnalazłaś „śpiących wielkich mistrzów”. Te tablice opowiadają chyba o nich.

Tiril rozpromieniła się, jakby sama była świętym słońcem.

Ale pod spodem jest coś jeszcze — wskazał Móri.

— No, masz rację. Zobaczymy, co to. Jakies takie małe i znowu po francusku — narzekał Erling.

— Tłumacz od razu, jeśli możesz — poprosiła Tiril.

— Spróbuję.

Erling mozolnie sylabizował napis. Wielu liter brakowało, w końcu jednak zdołał uchwycić sens.

— Tu jest napisane: „Mistrzowie nowego czasu”.

— Nowego czasu — jęknęła Tiril rozczarowana. — Nie było ich chyba zbyt wielu.

— Zobaczymy. Trzeba odwrócić kamień.
W milczeniu przyglądali się kolejnej płycie.
— Oj — szepnęli jednocześnie Tiril i Móri. Kiedy dwoje ludzi żyje ze sobą przez wiele lat, uczą się podobnych reakcji, które wyrażają w ten sam sposób.
— „ORDOGNO ZŁY Z LEON” — czytał Erling. — „Wielki Mistrz A.D. 953-960. Obrońca kamienia Ordogno”.
— Mamy zatem „Stain Ordogno” — powiedział Móri. — Co tam jest dalej?
— Brak nam teraz czasu, by studiować wszystko dokładnie, ale o tym drańniu to chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej — syknął Erling. — Tylko że mój francuski nie jest za dobry. Napisano tu mniej więcej coś w tym rodzaju „Pierwszy, który objął Zakon Świętego Słońca po tym, jak spoczywał on przez wiele wieków w spokoju. Ordogno Zły wiedział wszystko o starym zakonie z Rzymu i wrył wszystko, co mu było wiadome, na tak zwanym kamieniu Ordogno”.
— Dziękuję ci — szepnął Móri. — Czytaj dalej!
— „Ale zapis na tym kamieniu znany jest tylko wielkim mistrzom. I także to, gdzie się kamień znajduje”.
— Znakomicie! — zawołała Tiril. — Dalej!
— Nie, dalej już nic nie ma.
— No to następna tablica!
Erling odwrócił płytę. Nie, tablica jest potłuczona, tekst rozbity, całkiem się zatarł.
— Jaka szkoda — szepnął Móri. — A może kolejne...
Móri odwrócił jeszcze jedną tablicę, z tym samym, niestety, skutkiem. Ale później znowu natrafili na jako tako czytelny tekst i nadzieja powróciła.
— „ROBERT LE DIABLE, KSIĄŻĘ NORMANDII, Wielki Mistrz A.D. 1020-1035”. Nie, to przecież historyczna postać. Robert Diabeł zwany też Szczodrym lub Wspaniałym, czyż to nie on był ojcem Rolfa Piechura?
— Nie, nie ojcem, był jego krewnym, a poza tym ojcem Wilhelma Zdobywcy — wyjaśniła Tiril. — Rzeczywiście żelazny człowiek. Pomordował swoich zbuntowanych wasali, nikomu nie przepuścił. Co tam o nim mamy?
— Nic. Wszystko zatarte. Okazuje się, że zależy, z jakiego gatunku kamienia została zrobiona płyta. Na granicy zachowało się wspaniale, ale wapień jest kiepskim materiałem.
— Popatrzmy na następną tablicę!
— Czy mamy jeszcze na to czas? — zapytał Móri niespokojnie.
— Zostało ich jeszcze tylko parę — zapewnił Erling. — „DROGO Z NEAPOLU. 1040-1051”. O nim napisano niewiele. Tylko to, że był słaby. Chcieli pewnie przez to powiedzieć, że był sympatycznym człowiekiem, bo wydaje mi się, że w to wszystko zamieszane jest wiele zła i wszelkiego diabelstwa. Potem znowu mamy płytę z wapienia, ta rozsypuje mi się pod palcami. No, a następna... O, spójrzcie!

— Ha! — wykrzyknęła Tiril z triumfem. — Tutaj mamy dziadka z Tierstein!
— No, rzeczywiście! — ucieszył się Móri. — Erlingu, czytaj!
— Sam dałbyś sobie z tym radę równie dobrze jak ja, ponieważ teraz zaniechali francuskiego i przeszli na niemiecki. W każdym razie napisano tutaj, co następuje: „GILBERT, HRABIA Z TIERSTEIN, 1080-1096”.
— To musi być ten starszy, ojciec, który fragmenty klucza podzielił pomiędzy trzech synów.
— Świetnie — mruknęła Tiril. — Tak. To on, bo na następnej płycie mowa jest o synu. O naszym znajomym, potwornym hrabim von Tierstein, którego mieliśmy przyjemność spotkać w Tiveden. Kiedy on żył?
— Kiedy żył, nie wiem. Ale był Wielkim Mistrzem Zakonu Świętego Słońca od 1097 do 1140.
— To bardzo długo — stwierdził Móri. — I obaj z ojcem posiadali księgę o kamieniu Ordugno. Ale w tym mniej więcej okresie wiedza o kamieniu musiała zaginać, bo później już nic o tym nie słychać. Do naszych czasów zachowały się jedynie wzmianki w legendach.
— Masz rację — potwierdził Erling. Odwrócił kolejną płytę. — Ech, dlaczego oni ryli w wapieniu? Tu po prostu nic się nie da odcyfrować! Ale zaraz, zaraz, widzę coś bardziej czytelnego, chociaż też na wapieniu. Popatrzmy... Niech to licho! Tym razem znowu po włosku, a tego języka nie znam ani trochę.
— Ja myślałem, że potrafisz wszystko — rzekł Móri.
— Dziękuję za zaufanie, ale, jak widzisz, niestety nie. Chociaż co nieco mogę i z tego zrozumieć. Słuchajcie: „GUILIELMO ZŁY Z NEAPOLU, 1158-1166”. Okropnie dużo było tych różnych złych. Wiecie, coś nie bardzo mi się ta sekta podoba.
— Mnie się nigdy nie podobała — stwierdził Móri. — Co tam napisano o tym Guilelmo Złym? Guilelmo to imię, znaczy tyle samo co Wilhelm.
— Nie rozumiem ani słowa — musiał przyznać Erling. — Przestudiujemy wszystko bardzo dokładnie po powrocie do Theresenhof.
Następne płyty były przeważnie całkiem nieczytelne i na koniec trafili na wyraźniejszy zapis „PEDRO OKRUTNY Z KASTYLII, 1355-1360”.
— No to znowu jesteśmy w Hiszpanii — rzekł Erling. — Trzymamy się południowych i zachodnich obszarów Europy, to widać wyraźnie. To, że Tierstein na jakiś czas osiedlił się w Szwecji, jest całkowitym przypadkiem.
— Naprawdę? Nie byłabym taka pewna — zaoponowała Tiril. — Oni tam czegoś szukali, nie zapominaj o tym!
— Szukali „morza, które nie istnieje”, tak, masz rację.
— Dobrze, i co oznacza dalsza część napisu? — zapytał Móri.
— Pojęcia nie mam — odpad Erling. — Zobaczymy, może odnajdziemy jakiś trop. Kto następuje po Pedro Okrutnym? Iwan Groźny?
— Nie żartuj sobie — roześmiała się Tiril. — Ale chyba nie bardzo się myliłeś.

— Aha, „CARLOS ZŁY Z NAVARRY”! Znowu zły. „1360-1387”. Wróci-
liśmy do Hiszpanii, ale przeskok jest duży, bo płyty z wapienia się rozpadają.
Szkoda, szkoda! A tutaj? Znowu coś czytelnego. Granit. Błogosławiony granit!
Oj!

Erling zeszywniał, w mdłym świetle wieczoru widać było, że blednie. Tamci
patrzyli na niego nie pojmując, o co chodzi. Potem Tiril odczytała napis:

— „TOMAS DE TORQUEMADA, 1450-1498”. Co w nim było wyjątkowe-
go?

— Nigdy nie słyszeliście tego nazwiska?

— Nie.

— Ciarki przechodzą mi po plecach — powiedział Erling. — Tomas de To-
rquemada był najokrutniejszym człowiekiem na świecie w czasach inkwizycji. To
dominikanin wyznaczony przez papieża na wielkiego inkwizytora Hiszpanii. Bez-
litośnie prześladował odmiennie myślących. Nikt nie wie, ile tysięcy ludzi posłał
na stos lub kazał zgładzić za pomocą diabelsko wymyślnych tortur. A wszystko
na chwałę Boga.

— Okropne — mruknęła Tiril. — Kto go zastąpił?

Spojrzała na ostatnią już płytę.

— Jego własny uczeń — odparł Erling. — Popatrz, tutaj jest napisane: „Uczeń
Torquemady, dominikanin, WILFRED VON GRABEN”!

— Oto go mamy! „I wraz z nim niniejsza księga o śpiących wielkich mistrzach
została pochowana”.

— Z tych kamiennych płyt możemy się dowiedzieć jeszcze bardzo dużo —
stwierdził Erling. — Ale teraz już zmierzcha. Lepiej zróbmy to w domu, w The-
resenhof. Zbierajmy się stąd, to podejrzane miejsce!

— Ale jak zdołamy przetransportować kamienną księgę?

To był rzeczywiście problem. Księga ważyła sporo, była przy tym nieporęcz-
na, a w dodatku niesłychanie wrażliwa na wstrząsy, a należało ją chronić przed
dalszymi uszkodzeniami, dopóki treść nie zostanie możliwie jak najdokładniej
rozszyfrowana.

Erling rozstrzygnął sprawę.

— Włożę księgę do mojego plecaka. Będzie mi ciężko, ale to najlepszy spo-
sób.

Móri ofiarował się, że poniesie plecak, Erling jednak upierał się, że da radę
sam. Starannie ułożył pakunek na grzbiecie, a rzemienie plecaka skrzyżował na
piersiach.

— No! Jesteśmy gotowi opuścić te okropne skały — powiedziała Tiril zado-
wolona. — To cudowne uczucie!

Ledwie zeszedli ścieżką kawałek w dół, gdy Móri przystanął.

— Otrzymałem ostrzeżenie — rzekł zaniepokojony.

— Nie, proszę, już nic więcej — wyszeptała Tiril.

— A nie pamiętasz, że już w drodze pod górę wyczuwałem jakieś zagrożenie za nami? I Nauczyciel również ostrzegał przed czymś podobnym.

— Tak. Tylko że teraz ja już nie mam sił na nic więcej. Chcę wracać do domu, do dzieci. I zapomnieć o tych okropnych chwilach pod ziemią. . .

Nie zdążyła dokończyć zdania, bowiem rzuciło się na nich czterech mężczyzn o ponurym wyglądzie.

— Kobiętę brać żywcem! — krzyczał jeden z napastników.

— Nie, nie! — wrzeszczała Tiril i wrywała się rozpaczliwie dwóm opryszkom, którzy chcieli ją związać rzemieniami. Klęli siarczyście, bo Tiril kopała ich i tłukła pięściami, ale niewiele mogła poradzić i w chwilę później leżała na ziemi ze związanymi rękami i nogami, całkiem bezradna. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Tiril nieustannie wzywała Nidhogga i pozostałych.

Jeden z napastników przerzucił ją sobie przez ramię i zbiegł ścieżką w dół. Drugi został, by pomagać kompanom.

Tiril zdążyła odwrócić głowę i zobaczyła swego męża oraz przyjaciela zajadłe broniących się przed rzezimieszkami.

— Nie! Zostawcie ich! — krzyknęła, ale jej żalosne nawoływania nie były w stanie zapobiec temu, co działo się przed jej oczyma. — Duchy! Na pomoc!

Widziała, że Erling został rzucony na krawędź skały i jeden z napastników potężnym kopniakiem zepchnął go w dół. Plecak z bardzo ciężką zawartością nieuchronnie ściągał go w przepaść.

Równie źle było z Mórim. W ostatniej chwili, zanim została zniesiona niżej, Tiril zobaczyła, że jej ukochanego męża przeszył miecz. Wykrzykiwała pod adresem prześladowców jakieś słowa i przekleństwa bez związku.

Zobaczyła jeszcze, jak Móri kuli się pod wpływem nieznośnego bólu, po czym wszystko zniknęło jej z oczu.

— O, nie, nie! — krzyczała. — Nie, nie!

— Stul pysk, babo przekłeta — warknął mężczyzna, który ją niósł, ale w odpowiedzi dostał od niej wściekłego kuksańca.

Udręczona, szeptem gorąco prosiła:

— Duchy Móriego! Pomóżcie nam, zwracam się do was raz jeszcze! Wróćcie do nas! Ratujcie Móriego, ja sobie jakoś poradzę sama. Błagam was wszystkich, ratujcie go! I Erlinga! On sobie na to nie zasłużył. Ratujcie ich! Ratujcie! Oni nie mogą umrzeć! Nie z powodu tych ponurych nędzników, dlaczego dobrzy ludzie mają ginąć z rąk opryszków? Czy to sprawiedliwe? Co świat będzie miał z tych drani? Tak bym chciała odzyskać moich najdroższych przyjaciół!

Mężczyzna, który ją niósł, dość miał już jej nieustannych uderzeń i kuksańców. Z wściekłością rzucił ją teraz na ziemię i zaczął bić pięściami, gdzie popadło. Tłukł po plecach, po piersiach i po głowie, dopóki nie straciła świadomości.

Móri, Móri, to była jej ostatnia myśl.

Móri czuł, że otacza go jakaś czerwona mgła. Zdawało mu się, że napastnicy porzucili go pod drzewami, a ciało przykryli gałęziami i chrustem.

Umieram, pomyślał. Kochani pomocnicy, nie opuszczajcie mnie! Nie mogę teraz zostawić moich najbliższych na łasce losu. Tiril mnie potrzebuje, oni ją uprowadzili, odebrali mi światło mego życia. Ona potrzebuje pomocy. I Erling też. Został zrzucony ze skały. Wierny stary Erling, nie, nie zniosę tej myśli. Pomóżcie nam wszystkim!

Szumiało i dudniło mu w uszach, niczego już właściwie nie odczuwał, wszystko było ciemnoczerwone, czarnoczerwone, ale ból, który go na chwilę przeszył, rozpląnął się później i nie powracał, pewnie już więcej się nie pojawi. Skądś z daleka dochodził do niego poprzez szum i dudnienie głęboki, głuchy śpiew chóru umarłych czarnoksiężników, którzy czekali na niego, przyjmowali go tym smutnym śpiewem do swego grona, a on płynął ku nim przyzywany rzewnymi tonami pieśni.

Tiril, Tiril, moja ukochana! Dolg, mój pierworodny synu, który za mój szalony postępek w kościele w Holar musiałeś przyjąć część ciężącego na mnie przekleństwa. To moja wina, że ty...

Mała Taran o żywych szelmowskich oczach i Villemann, moje ukochane dzieci, czy nie zobaczę was już nigdy więcej?

Ciemnoczerwony mrok zrobił się czarny, śpiew chóru narastał tak, że bębenki w uszach groziły popękaniem.

Potem nastąpiła wielka cisza, a zaciśnięta pięść Móriego rozwarła się. Na bezwładnej dłoni leżał pęczek zmiętego mchu brunatnego koloru. To był też kolor Móriego.

Móri — brunatny niczym torf. Móri — duch czarnoksiężnika.

Wzgórze z ruinami twierdzy Graben trwało spokojne w ciszy kończącego się dnia.

„Jak morze wzburzone,
Gdy wicher nadciąga
Jak szum fali sunącej
Słyszałem westchnienie,
Przeczcucie dnia
Pośród Hadesowej nocy,
Stłumione, tajemne
I pełne zdumienia”.¹

¹Fragment czwartej części poematu Gustafa Frödinga „Sny w Hadesie”.

Rozdział 20

Dolg, gwałtownie obudzony, usiadł na łóżku.

Najpierw trwał bez ruchu, przerażony, jakby nasłuchiwał. Ale jedyne, co do niego docierało, to równy oddech śpiącego w pokoju obok Villemanna i skrzypienie łóżka, kiedy mała Taran przewracała się na drugi bok.

Dolg zsunął się na podłogę i bosy poszedł przez pokoje do sypialni babci Theresy.

— Babciu! Babciu, musisz się obudzić — wyszeptał. Theresa usiadła i patrzyła przed siebie zaspana. Zapaliła świecę i wtedy zobaczyła stojącego przy łóżku wnuka.

Ale zobaczyła też coś jeszcze. W drzwiach stał ogromny, czarny den.

Theresa głęboko wciągnęła powietrze. Wiele czasu minęło, odkąd po raz ostatni widziała dziwnego towarzysza Dolga, i nigdy też jego postać nie rysowała się tak wyraźnie jak teraz.

Bliźniaki, pomyślała ogarnięta trwogą. Gdzie są bliźniaki? Czy coś im się stało?

— Co się dzieje, Dolg? — spytała tak spokojnie, jak tylko potrafiła.

W kilkanaście minut później do sypialni babci wpadły też bliźniaki i zdumione patrzyły na starszego brata. Tymczasem Dolg i Theresa zdążyli porozmawiać i wiedzieli już, co trzeba zrobić.

— Dlaczego Dolg tutaj jest? — zapytała Taran i wślizgnęła się do łóżka babci.

Theresa uroczyście ujęła rękę dziewczynki. W jej oczach pojawiły się łzy.

— Taran i Villemann... moje dzieci, coś złego stało się z waszą mamą i z tatą. Dolg się o tym dowiedział, ale nie we śnie, nie spał wtedy. Wezwał go jego duch opiekuńczy. I teraz Dolg będzie musiał iść i spełnić swoje pierwsze zadanie. Prawdopodobnie on jest jedynym, który może pomóc rodzicom, a przynajmniej jednemu z nich.

— Jak to? Co się stało mamie i tatusiowi, i wujkowi Erlingowi, och, dlaczego ja nie mogę spełnić żadnego tajemniczego zadania? — pytał Villemann jednym tchem.

— Nie wiemy, co się stało z naszymi ukochanymi, ale wygląda na to, że

najbardziej poszkodowany jest tatuś. Dolg mówi, iż jego wielki czarny opiekun otrzymał wiadomość od towarzyszy Móriego, że sprawa jest okropnie pilna.

— A wuj Erling? — zapytała Taran. — Czy on nic nie może zrobić?

Odpowiedział Dolg:

— Zdaje się, że z nim też nie jest najlepiej. Nie wiem, co się stało, ale najpierw mam spróbować pomóc tacie.

— A co z mamą? — zapytała Taran; broda jej drżała.

— Też niedobrze, ale najwyraźniej z mamą nie ma aż takiego pośpiechu. Muszę się teraz zbierać, powinienem się ubrać i czym prędzej ruszać w drogę!

Theresa zsunęła stopy na podłogę.

— Przygotuję ci coś do jedzenia.

— Dolg! — zawołał Villemann za odchodzącym do swego pokoju bratem. — Czy to jest to twoje wielkie zadanie?

— Nie, nie, to coś ekstra. Przyszło całkiem niespodziewanie. — Zatrzymał się w drzwiach. — Chociaż może nie tak całkiem. Zdaje mi się, że cię przeczuwał, iż to nadejdzie.

— Skąd ty to wiesz?

— Ogniki — powiedział Dolg w zamyśleniu. — Przez całe życie wiedziałem, że wołania karłów kiedyś mnie wezwą. Ale w ostatnich latach pojawiły się również ogniki.

Ręce Theresy mechanicznie przygotowywały jedzenie na drogę dla chłopca. I dla Nera, bo przynajmniej tyle poczucia bezpieczeństwa Dolg powinien mieć, wiedzieć, że ma przy sobie swego najlepszego przyjaciela. Nieobecna myślami przygotowywała skromny posiłek, najprostszy z możliwych, bo czas naglił.

Wszystkie jej uczucia i myśli były jednak gdzie indziej.

Nie powtórzyła bliźniakom wszystkiego, co Dolg jej powiedział: Że ich ojciec przekroczył już granicę krainy zimnych cieni, ale że są jeszcze dwa elementy, które pozwalają mieć odrobinę nadziei. Przede wszystkim jego pomocnicy przy nim czuwają, by nie pogrążył się w najgłębszym mroku Śmierci, a po drugie on jako czarnoksiężnik już kiedyś odważył się wejść na terytorium Śmierci, jest więc teraz odporniejszy niż zwyczajni ludzie. Dlatego też towarzyszące mu duchy mogą go przez jakiś czas zatrzymać. Ale nie długo.

Wszystko zależy teraz od Dolga. Jest jedynym, który potrafi przeciągnąć ojca ponownie na stronę żywych.

Ale wszystko musi się ze sobą zgadzać, wszystko powinno się dokonać jednocześnie. Czas stanowił czynnik najważniejszy, a zarazem najmniej pewny. Drugim takim czynnikiem było to, czy Dolg zdoła wykonać swoje zadanie.

Ogniki.

Teraz one wkraczają na arenę.

W jakiś czas później Theresa uściskała Dolga i życzyła mu powodzenia. Przewiesiła chłopcu tornister przez ramię i wygładziła kurtkę, zdziwiona, jak bardzo ten dwunastolatek ostatnio wydorósł. Jego błyszczące czarne oczy patrzyły na nią poważnie i ze spokojem.

Dolg Lanjelin Matthias.

Trochę Islandczyk. Trochę Habsburg. I jeszcze coś więcej.

Najważniejsze było jednak to coś nie znane, co nosił w sobie, a czego nikt nie pojmował. Nie było na tym świecie nikogo takiego jak Dolg.

Obok niego stał Nero. Theresa pochyliła się i szepnęła psu do ucha:

— Opiekuj się dobrze swoim panem, Nero! Zadbaj, żeby wrócił do domu!

Nero stał bardzo spokojnie, przejęty atmosferą chwili.

Po czym w szarym brzasku ruszyli obaj przed siebie w stronę głównej drogi. Theresa długo stała i patrzyła w ślad za nimi, a potem poszła do kapliczki, by modlić się w intencji wszystkich swoich ukochanych.

Rozdział 21

Duży cień posuwał się przed Dolgiem i Nerem, by wskazywać drogę. Sam chłopiec nie bardzo wiedział, co właściwie ma robić.

Kiedy doszli do ostatniego zagajnika przed główną drogą, niemal spod stóp Dolga wyskoczyły dwie nieduże istoty. Nero witał przybyłych radośnie, natomiast Dolg patrzył na nich zmartwiony.

— Taran i Villemann, co wy tu robicie z tymi węzełkami i kosturami, jakbyście się wybierali w daleką drogę?

— Idziemy, żeby się tobą opiekować! — zawołała Taran szczerze i bez śladu wyrzutów sumienia.

— Ale nie możecie tego zrobić! Macie zaledwie po dziesięć lat i nie wolno wam samym wychodzić poza obręb dworu.

— Zostawiliśmy babci list, więc nie będzie się o nas niepokoić — zapewniał Villemann.

— O, to bardzo pocieszające — odpowiedział Dolg sarkastycznie. — Ale ona musi przecież kogoś mieć przy sobie, chyba to rozumiecie! Nie może utracić wszystkich!

— No pewnie, ale ma pokojówki i służące, i zarządcę, i parobków, i . . .

— I własną rodzinę — przerwał mu Dolg spokojnie. — Nie wolno wam zrobić babci czegoś takiego. Pominąwszy już, że będziecie mi tylko zawadą.

W oczach bliźniaków pojawiły się łzy.

— Ale my też chcemy ratować mamę i tatę — żalił się Villemann.

— Tak, my też chcemy — poparła go Taran. — Myślisz, że tylko ty chciałbyś przeżywać zabawne przygody?

— Absolutnie nie przypuszczam, że to będzie zabawna przygoda — odpowiedział Dolg. — Ale ja zostałem do tego wybrany, a wy nie. Mogłoby się to dla was bardzo źle skończyć.

— W jaki sposób? — dopytywała się Taran.

— Tego nie wiem.

Taran odwróciła się i zaczęła prosić wielkiego towarzysza Dolga. Wbiła w niego swoje najbardziej niewinne i uwodzicielskie spojrzenie.

— Wujku Cieniu — prosiła. — Czy Villemann i ja nie moglibyśmy z wami pójść na ratunek tacie i mamie?

Dolg popatrzył na cienia przepraszająco:

— Pojęcia nie mam, co z nimi zrobić. Czy powinienem ich odprowadzić do domu? Mamy na to czas?

Cień trwał przez chwilę w bezruchu. Widzieli wyraźnie kontury jego postaci, widzieli długi mnisi habit z kapturem, ramiona, ręce. Wszystko było czarne i jakby trochę rozmazane.

W końcu wykonał chwiejny gest ręką, jakby wskazywał dzieciom drogę — ze sobą.

— Dziękuję, och, dziękuję, wujku Cieniu, nigdy ci tego nie zapomnę — szczebiotą Taran i rzuciwszy Dolgowi triumfujące spojrzenie ruszyła w drogę za Villemannem tuż przy powiewającej opończy cienia.

Dolg westchnął zrezygowany.

— Wybacz nam, babciu — szepnął. — Ty wiesz, jaka jest Taran, kiedy sobie coś wbije do głowy.

Ale on widział więcej niż jego rodzeństwo. Zobaczył dwie nowe, podobne do elfów postaci, które się do nich przyłączyły i szły teraz po bokach cienia. Jedna kobieca i jedna męska. Były bardzo piękne i bardzo delikatne — duchy opiekuńcze Taran i Villemanna.

Bardzo się ucieszył, że idą z nimi.

Najgorsze, że nie mógł się złościć na swoje małe rodzeństwo. Rozumiał ich znakomicie, na ich miejscu zrobiłby dokładnie to samo.

A poza tym naprawdę bardzo ich kochał. Tego pozbawionego złych cech Villemanna, który zdawał się nie znać granic, jakie natura postawiła człowiekowi, który żył w ogromnym tempie, jakby go wciąż poganiała jakaś kometa z wielkim ogonem, zawsze szczerze, szeroko uśmiechnięty, z otwartymi szeroko oczyma płonącymi entuzjazmem. I Taran... Dolg musiał się uśmiechnąć sam do siebie nawet w tej tak strasznej sytuacji. Tę dziewczynkę najlepiej opisywały słowa takie, jak żywiołowość, szczebiot, wdzięk. Jej ufne, niewinne oczy wszystkich potrafiły wprowadzić w błąd. Dokładnie wiedziała, jak zawrócić dorosłym w głowach, by spełniali jej życzenia, ale kiedy już otrzymała to, czego pragnęła, dziękowała słodka i kochająca tak, że wprost trudno to wypowiedzieć. Zresztą oboje, i Taran, i Villemann, mieli gorące serca, Dolg nigdy nie widział, by popełnili coś złego, szaleństwa, owszem, ale nigdy złe uczynki.

Słońce czaiło się jeszcze za szczytami austriackich Alp, a dzieci i ich przyjaciele wędrowali w stronę głównej drogi. Dołączyła do nich jeszcze jedna istota: duch opiekuńczy Dolga, wysoka kobieta o blond włosach.

Ku wielkiemu zdumienia Dolga duchy kierowały ich ku wschodowi, choć pamiętał przecież, że rodzice i wuj Erling wyjechali na zachód.

Dolg jednak nie protestował, ufnie podążał za swoim cieniem. Nero tym razem zaniechał biegania od jednego skraju drogi do drugiego, szedł bardzo spokojnie, starał się hamować tempo i iść „przy nodze”. Dolg był zaskoczony i pełen uznania.

Ptactwo zaczynało się budzić w zaroślach nad rzeką, ciche stadka małych ptaków przelatywały nad głowami wędrowców, ale wciąż jeszcze ranek był raczej mroczny niż jasny. Bładość księżyca wskazywała, że nadchodzi dzień. Bliźniaki szczebiotały zachwycone tą przygodą o zakazanej porze doby.

Dolg czuł ciężar w sercu. Skoro jego ojciec, potężny czarnoksiężnik, znalazł się w kłopotach, to co może zrobić taki młody chłopiec jak on?

Dotknął swojej opiekuńczej runy, którą nosił na szyi. Dostał ją od ojca. Bliźniaki też miały podobne.

Dolg zapytał teraz rodzeństwo, czy mają runy przy sobie. Oboje bez słowa wyciągnęli je spod koszul i pokazali mu z przejęciem.

Uspokojony skinął głową.

Szli dalej w milczeniu.

Czy tylko on to dostrzegał? Czy naprawdę czuło się pełne napięcia oczekiwanie i szczerą nadzieję w niebieskich przestworzach ponad nim i na całej ziemi?

„I na oblicze
Chwilami spływał
Błysk światła
Jaśniejszy niż dawniej,
Jednak wciąż blady
Jak promień księżyca,
Co z nocy życia przenika
Przez śmierci drzwi”.¹

¹Zakończenie czwartej części poematu Gustafa Frödinga „Sny w Hadesie”. Cytowane części poematu wchodzi w skład zbioru zatytułowanego „Z głębin i przestworzy”.